



*Na rozkaz damy*

AWANTURNICZY KWARTET

STEPHANIE  
LAURENS



Stephanie Laurens

Na rozkaz damy

Tłumaczenie:  
Agnieszka Walulik

## Jeden

Londyn, kwiecień 1824

Declan Fergus Frobisher stał u boku lady Edwiny Frobisher z domu Delbraith, swej świeżo poślubionej małżonki. Otaczał go zgłęb modnego towarzystwa, zgromadzonego w salonie lady Montgomery. Gwar rozmów nie ustawał ani na chwilę, na podobieństwo krzyków mew – lecz w końcu rozmowa stanowiła jedyny cel podobnych wieczorków. Śmietanka wyższych sfer nieustannie krążyła po sali, grupki przemieszczały się jak w wielobarwnym kalejdoskopie lekkich jedwabi i satyn oraz ciemnych fraków z delikatnej wełny, przypominając gobelin o stale zmieniającym się wzorze. Przestronne pomieszczenie rozjaśniał blask kilku żyrandoli; światło lśniło w przemyślnie ułożonych lokach, wypomadowanych puklach i załamaniach niezliczonych klejnotów zdobiących szyje, uszy oraz nadgarstki licznie zgromadzonych dam.

Jedna z takich mocno obwieszonych pań podpłynęła do nich, rozsiewając dokoła diamentowe błyski.

– Edwino, kochanie! – Uścisnęła końce palców i musnęła policzek ukochanej Declana, która powitała ją z typowym dla siebie pogodnym wdziękiem. Lecz wzrok nowo przybyłej zdążył się już przesunąć w kierunku samego Declana. Dama zmierzyła jego wysoką postać od stóp do głów, po czym skierowała pod jego adresem wyraźnie drapieżny uśmiech.

– Musisz, po prostu musisz przedstawić mnie swemu mężowi. – Jej głos opadł do zmysłowego pomruku.

Declan spojrzał na Edwinę, ciekaw jej reakcji na tak jednoznaczne zachowanie.

Żona nie sprawiła mu zawodu: uśmiechnęła się z rozkoszą, jak kotka, która spiła całą miseczkę śmietanki i spodziewa się kolejnej porcji. Jej twarz promieniowała niewzruszoną pewnością siebie; na ten widok Declan uśmiechnął się szeroko w myślach. Jakby wyczuwając jego rozbawienie, Edwina przelotnie skierowała na niego swe piękne błękitne oczy i powiedziała, machając lekko ręką:

– Lady Cerise Mitchell, oto mój mąż, Declan Frobisher.

Słyszając subtelny, lecz mimo to wymowny nacisk na słowa „mój mąż”, Declan wygiął usta w uprzejmym uśmiechu, ujął dłoń wyciągniętą przez lady Cerise i się uklonił. Dama wymruczała uwodzicielskie „*Enchanté*”, lecz on stracił już zainteresowanie. Owszem, poświęcał część uwagi parady osób, które podchodziły, by z nimi porozmawiać, odpowiadaniu na jedne pytania i zbywaniu innych, które uważał za zbyt natrętne, lecz nie po to przecież tam przyszedł.

Po drugiej stronie Edwiny stała jej matka Lucasta, księżna wdowa Ridgware; przystojna, wyniosła dama o szlachetnej, lecz nieprzystępnej powierzchowności.

Za nią starsza o kilka lat siostra Edwiny, lady Cassandra Elsbury, miła młoda mężatka. Resztę ich kółka tworzyło kilka ciekawskich pań i zaintrygowanych panów, gorliwie pragnących popisać się znajomością z damami z książęcego rodu i, co bodaj ważniejsze, dowiedzieć się czegoś o nieznanym osobniku, który zdobył rękę jednej z najbardziej pożądanых panien śmietanki towarzyskiej. Declan ze wszystkich sił starał się sprostać ich oczekiwaniom, rozsiewając wokół siebie atmosferę tajemniczości.

Po prawdzie jednak jego pochodzenie nie kryło w sobie żadnej tajemnicy. Historia rodziny Frobisherów sięgała daleko w przeszłość – za czasów królowej Elżbiety jej członkowie walczyli pod wodzą Raleigha. W ich żyłach płynęła szlachetna krew i już sam ten szacowny rodowód gwarantował im trwały dostęp do najwyższych sfer, lecz mimo to Frobisherowie z dawien dawna woleli podążać własnymi tajemniczymi – by nie powiedzieć ekscentrycznymi – ścieżkami, tradycyjnie trzymając się z dala choćby od obrzeży modnego towarzystwa. I podczas gdy Raleigh walczył przede wszystkim dla własnej chwały, a dopiero potem dla królestwa, Frobisherowie niechętnie rzucali się w wir walki i czynili to tylko na królewski rozkaz. Dynastia ich była dynastią żeglarzy, a bitwy kosztowały przecież zarówno ludzkie życie, jak i statki, toteż walczyli wyłącznie, kiedy zaszła taka potrzeba, co oznaczało: jedynie wtedy, gdy ich pomoc była niezbędna.

Byli pod Trafalgarem, ale nie pod dowództwem Nelsona – ich flota pilnowała, by żaden z francuskich statków nie umknął na północ celem przegrupowania. Ojciec i wujowie Declana skutecznie wykorzystali swe chyże okręty, by uszkodzić i przejąć niejedną francuską fregatę.

W konsekwencji nazwisko Frobisherów było dobrze znane w wyższych sferach. Jeśli wiązała się z nim jakakolwiek tajemnica, to dotyczyła wyłącznie tego, kim byli obecni członkowie rodu i czym się zajmowali, a także sposobu, w jaki dorobili się swej fortuny i tejsze fortuny rozmiarów. Frobisherowie nigdy nie przejawiali zainteresowania ziemią, zaś ich włości – takie, jakie były – leżały daleko na północy, w pobliżu Aberdeen; od Londynu dzieliła je bardzo znaczna odległość. Rodowe mienie znajdowało się głównie na morzu, to zaś dawało asumpt dywagacjom, czy ta skądinąd szacowna rodzina nie splamiła się handlem. W modnym towarzystwie fetowano ludzi żyjących ze swych majątności, lecz z trudem pojmowano, że owe majątności mogą mieć postać statków.

Wielu z obecnych słyszało też pogłoski o niedawnych wyczynach rodziny Frobisherów. Większość tych doniesień – a dotyczyły one wypraw w dzikie krainy i wysoce rentownych kontraktów transportowych – opierała się na faktach. Jeśli już, fakty te były jeszcze bardziej zdumiewające niż najśmielsze spekulacje plotkarzy.

Oczywiście w towarzystwie niepotwierdzone plotki generują tylko większe zainteresowanie. I to właśnie zainteresowanie – ta ledwo skrywana ciekawość –

błyszczało jasno w oczach wielu gości lady Montgomery.

– Powiadam, Frobisher – zagadnął niejaki pan Fitzwilliam, przeciągając głoski. – Słyszałem, że ktoś z pańskiej rodziny przekonał niedawno amerykańskich kolonistów do przyjęcia jakiegoś nowego traktatu handlowego. Co to za historia, he? Czy chodziło o pana?

Mowa była o Robercie, jednym z dwóch starszych braci Declana, który najbardziej z nich wszystkich interesował się dyplomacją. Traktat, z którym powrócił z Georgii, miał przynieść rodzinie jeszcze większe bogactwo, a przy tym znacząco przyczynić się do wypełnienia kufrów korony.

Declan jednak uśmiechnął się tylko i odrzekł:

– Nie chodziło o mnie. – Gdy zaś spostrzegł, że Fitzwilliam nie zamierza rezygnować, dodał szybko: – Nie dotarła do mnie ta pogłoska.

Bo i po cóż miałby zważać na pogłoski, kiedy znał fakty?

Nie miał jednak zamiaru zaspokajać niczyjej ciekawości i tłumaczyć się z rodzinnych spraw. Jedynym powodem jego obecności na wieczorku była stojąca u jego boku urzekająca i pełna życia dama.

Przyciągała go jak magnetyt, promieniała niczym roziskrzony brylant, z natury swej fascynujący. Od najmniejszego pukla na czubku jasnej głowy po koniuszki delikatnych palców u stóp przykuwała i zajmowała jego myśli. Częściowo była to reakcja czysto fizyczna – jakież mężczyzna z krwi i kości oparłby się urokowi gęstych złocistych loków, okalających twarzyczkę w kształcie serca, jasnych błękitnych oczu, dużych i dobrze osadzonych pod delikatnie wygiętymi brwiami, długich brązowych rzęs, cery barwy brzoskwiń ze śmietanką, nieskażonej niczym poza kilkoma piegami na małym nosku, wreszcie pełnych różanych ust, aż proszących się o pocałunek? A przecież usta te były na dodatek wymowne i zazwyczaj wygięte w uśmiechu, wyraz twarzy zmienny i odbijający nastroje oraz myśli, zaś lśniące życiem, intensywnie niebieskie oczy stanowiły okno na bystry umysł.

Jeśli dodać do tego zgrabną figurkę, będącą uosobieniem ideału drobnej Wenus, to trudno się dziwić, że żadna inna istota nie potrafiła z taką łatwością przykuć uwagi Declana. Zaiste stanowiła zdobycz godną pożądaną; od chwili gdy po raz pierwszy ją ujrzał, nie potrafił się jej oprzeć – przemawiała do jego zachłannego pragnienia przygody.

Byli małżeństwem dopiero od ponad trzech tygodni. Jakiś rok wcześniej Declan wrócił z Nowego Jorku do Londynu, gdzie – skazany na miesięczne oczekiwanie przed kolejnym rejsem – uległ w końcu znudzeniu i naleganiom starych znajomych i przyjął zaproszenie na bal dla wyższych sfer. Przez całą podróż do Ameryki i z powrotem dręczył go uparty, drażniący niepokój, jakiego nigdy przedtem nie doświadczył; zupełnie niespodziewanie myśli jego zwróciły się ku wygodom domowych pieleszy, ku rodzinie.

Ku małżeństwu.

Ku jakiejś żonie.

A gdy podczas tamtego zeszłorocznego balu jego oczy spoczęły na Edwinie, wiedział już dokładnie, kto ma tą żoną zostać. Z typowym dla siebie zdecydowaniem zaczął się ubiegać o jej rękę, nie zwracając uwagi na fakt, że ta niekiedy wyniosła córą książeckiego domu w wieku dwudziestu dwóch lat (trzy lata od swego towarzyskiego debiutu) zyskała już reputację osobki, która nie pozwoli się łatwo złowić.

Od pierwszego zetknięcia palców, od pierwszego spotkania oczu zaiskrzyło między nimi uczucie. Zaloty do Edwiny okazały się cudownie nieskomplikowane. Po kilku miesiącach Declan zwrócił się z prośbą o jej rękę i został przyjęty.

W jego mniemaniu wszystko zmierzało gładko w kierunku wygodnego, konwencjonalnego małżeństwa, jakim – w tych rzadkich chwilach, kiedy w ogóle zaprzętał sobie tym głowę – widział ich przysły związek.

I wtedy, trzy miesiące przed weselem, Lucasta i Edwina postanowiły stawić czoło zimowym śnieżycom, by odwiedzić rodową posiadłość Frobisherów pod Banchory-Devenick. Z początku, kiedy Declan poznał cel wizyty, uznał, że inicjatywa wyszła ze strony Lucasty. Dopiero potem odkrył, iż to Edwina uparła się, że jej przyszli krewni muszą przed ślubem (nie zaś po nim) zostać dopuszczeni do sekretu skrywanego przez jej rodzinę od ponad dziesięciu lat.

Wielce zaintrygowany Declan, jego rodzice oraz trzej bracia zasiedli w zaciszu dużego rodzinnego salonu i wysłuchali opowieści Lucasty. Informacja, że jej starszy syn, ósmy książę Ridgware, targnął się na własne życie z powodu gigantycznych długów, młodszy zaś, lord Julian Delbraith, wcale nie zaginął z domniemaniem śmierci, jak powszechnie sądzono, lecz ukrywał się pod nazwiskiem Neville Roscoe, król londyńskich szulerów, była niewątpliwie sporą niespodzianką.

Niespodzianka ta jednak, wbrew wyraźnym obawom Edwiny, okazała się nie tyle szokująca, ile nieskończenie intrygująca i wręcz miła.

Wszyscy Frobisherowie jak jeden mąż natychmiast dostrzegli korzyści mogące płynąć z koneksji z człowiekiem pokroju Roscoe – posiadającym jego władzę, autorytet i zasoby – a to sprawiło, że ich opinia o planowanym przez Declana mariażu podniosła się z bardzo dobrej do nadspodziewanie wręcz doskonałej.

Potem, na osobności, jego ojciec Fergus klepnął go po ramieniu i wykrzyknął:

– Na Boga, chłopcze, nie mógłbyś lepiej wybrać! Osobiste dojdzie do Neville'a Roscoe... No, no, któż by się spodziewał, że coś takiego w ogóle wchodzi w grę! Taka koneksja umocni jeszcze naszą rodzinę.

I on, i matka Declana, Elaine, a także wszyscy jego bracia od początku

cieszyli się z planowanego małżeństwa, lecz to zgoła nieoczekiwane odkrycie okazało się dla nich największą zaletą związku.

Ślub odbył się z pompą w kościele położonym w książęcych włościach w Staffordshire, a następne kilka dni Frobisherowie spędzili w Ridgware z parą młodą i najbliższą rodziną Edwiny – wtedy też mieli sposobność poznać nieuchwytnego lorda Juliana Delbraitha, znanego powszechnie jako Neville Roscoe. Najwyraźniej jego niedawny ożenek z Mirandą, obecnie lady Delbraith, zmusił go do zmiany mocnego postanowienia, by już nigdy nie występować pod prawdziwym nazwiskiem. Oboje z Mirandą pojawili się na ślubie, choć skryci za parawanem, z dala od oczu pozostałych gości.

Obecność brata ogromnie ucieszyła Edwinę i choćby z tego powodu sprawiła przyjemność także Declanowi. Zorganizowane potem prywatne spotkanie Frobisherów z Roscoe i jego prawą ręką, Jordanem Draperem, stanowiło zaś niemal dosłownie wisienkę na weselnym torcie. Omówiono wszelkie możliwości potencjalnej współpracy; szybko też stało się jasne, że Roscoe zapatruje się na to małżeństwo z równą przychylnością, co Frobisherowie. Krótko mówiąc, było to prawdziwe zetknięcie pokrewnych dusz.

Taki był bezpośredni efekt poznania prawdy o rodzinie Delbraithów, lecz niczym zmarszczki rozchodzące się po stawie za wrzuconym kamieniem, podążyły za nim inne.

Po ślubie Declan i Edwina wrócili z Frobisherami na północ, by spędzić kilka tygodni w Banchory-Devenick. Kilka dni po przyjeździe Fergus zaprosił Declana na spacer.

Gdy znaleźli się z dala od domu, oświadczył, wbijając wzrok w ziemię:

– Przyszło mi do głowy, mój chłopcze, że moglibyśmy się sporo nauczyć od rodziny twojej Edwiny. Nie mówię tu o Roscoe, ale o pozostałych... a zwłaszcza o paniach.

Niepewny, co ojciec ma na myśli, Declan zachował milczenie.

Po kilku krokach Fergus mówił dalej:

– Ułynęło sporo czasu, odkąd jakiś Frobisher poruszał się w wyższych sferach. Można powiedzieć, że nigdy nie było to pole, na którym toczylibyśmy nasze bitwy. Ale patrzę na starą księżnę, tę wdowę, i na jej córki, na moją synową... i myślę, ile udało im się osiągnąć w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Tyle miały do ukrycia, a mimo to zdołały... może nie tyle oszukać śmietankę towarzyską, ile zamaskować prawdę, i to z jakim taktem, jaką elegancją... Do tego trzeba talentu z rodzaju, którego nam, jako rodzinie, brakuje.

Bystre agatowe spojrzenie ojca przyszpiliło młodzieńca.

– Mówiłeś, że zamierzasz zabrać Edwinę do Londynu... Że nająłeś tam dom i że Edwina oraz księżna wdowa sądzą, że musicie pokazać się w towarzystwie, by ugruntować swoją pozycję, cokolwiek to znaczy. Tak sobie myślę, że to może być



dla ciebie wyśmienita okazja do obserwacji i nauki tego, jak one sobie radzą z takimi rzeczami.

– Z takimi rzeczami... – Po chwili Declan zrozumiał. – Chcesz, żebym się nauczył, w jaki sposób manipulują ludźmi, by widzieli to, co one chcą.

– Właśnie! – Fergus popatrzył przed siebie. – Rodem Delbraithów pod małoletniość księcia kierują może kobiety, ale żadnej z nich nie brak oleju w głowie. Wszystkie wiedzą, jak postępować w wyższych sferach i jak naginać opinie dla własnej korzyści. To umiejętności, które mogłyby się nam przydać, mój chłopcze. Może i wyrzekamy się modnego świata, sądząc, że nie ma z nami nic wspólnego, ale nie da się strząsnąć ciężaru rodowych zobowiązań, a kto wie, co przyniesie przyszłość?

Rozmowa ta rozbrzmiewała teraz w głowie Declana, kiedy uśmiechał się i komplementował pięknie rzeźbiony orientalny wachlarz jakiejś młodej damy. Już dawno nauczył się ufać opiniom ojca; Fergus Frobisher słynął szeroko jako stary przebiegły Szkot. Tak więc zgodnie z planem zjechali z Edwiną do Londynu i urządzili się w najętym domu na Stanford Street. Lucasta również przyjechała do miasta, ale zatrzymała się na Mount Street u swej najstarszej córki, lady Millicent Catervale. Declan doceniał delikatność teściowej, która rozumiała, że młodemu małżeństwu potrzeba prywatności.

W następnej kolejności Edwina i Lucasta naradziły się z Millie i Cassie i razem ułożyły listę wydarzeń, na których zdaniem Edwiny koniecznie należało się pokazać. Declan został zwolniony z udziału w rozrywkach dziennych, ale wieczorami jego obecność była wymagana, na co skwapliwie przystał.

W ciągu ostatniego tygodnia wzięli udział w kilku balach, proszonych kolacjach, wieczorkach i rautach. Podobnie jak przy poprzednich okazjach, tak i dziś Declan postawił sobie za cel obserwację – miał przyglądać się i uczyć, w jaki sposób jego żona i pozostałe kobiety z jej rodziny „radzą” sobie ze śmietanką towarzyską.

Początkowo jego uwaga skupiała się na Lucaście – przypuszczał, że to ona była główną autorką nieszokującej, towarzysko akceptowalnej wersji zgonu jej starszego syna oraz zniknięcia młodszego; tylko dzięki wnikliwej obserwacji zdołał zauważyć różnicę pomiędzy Lucastą w życiu prywatnym a Lucastą w towarzystwie. To było jak zasłona, welon, ale taki, którego żaden obserwator nie mógł przeniknąć; nawet wiedząc o jego istnieniu, Declan nie potrafił go uchylić – przynajmniej tak długo, jak się nim okrywała. Zasłona Lucasty nadawała jej pozór większej sztywności, zdecydowanego chłodu, a także arogancji i dumy. Była to zasłona emocji, której zadaniem było utrzymać innych na dystans i przepuszczać na zewnątrz wyłącznie te odczucia, które księżna wdowa sama pragnęła okazać.

Welon Edwiny był jeszcze bardziej subtelny. Declan zdołał go zauważyć wyłącznie dlatego, że domyślił się jego istnienia. Prawdziwa natura Edwiny była



tak jasna i błyskotliwa, że jej zasłona była niemal jak lustro – ukazywała to, co inni spodziewali się zobaczyć, ale niekoniecznie to, co naprawdę kryło się pod spodem.

Declan przyglądał się też Millie oraz Cassie; ich zasłony były skuteczne, lecz mniej określone, delikatniejsze i pozbawione konkretnego kształtu – one również stanowiły odbicie ich charakterów. Lucasta niewątpliwie miała żelazną wolę i kręgosłup ze stali – jak inaczej zniosłaby przez tyle lat wszystkie koleje losu? – a ze wszystkich córek Edwina była do niej najbardziej podobna, obdarzona zbliżoną elastyczną, lecz niezwykłą kobiecą siłą.

Prawda ta dotarła do Declana zaledwie dwa wieczory temu – i stała się początkiem kolejnej zmarszczki na wodzie.

Kiedy zaczął się zalecać do Edwiny, sądził, że książęca rodzina Delbraithów okaże się konwencjonalna, konserwatywna i dość nadęta. Zamiast tego Delbraithowie skrywali sekret tak szokujący i potencjalnie katastrofalny dla ich towarzyskiej pozycji, że stało się kryształowo jasne, iż pod względem oryginalności mogą spokojnie stanąć w szranki z Frobisherami.

Lucasta okazała się w niczym nie przypominać spętanej tradycją wdowy, za jaką ją uważał. Co zaś do Edwiny...

Jego myśli o zwyczajnym, przewidywalnym, typowym małżeństwie całkiem wyparowały.

Poślubiona przez niego dama cechowała się zupełnie innym charakterem, niż się spodziewał.

Jej drobna dłoń spoczywała na jego rękawie; czuł delikatny nacisk, nie większy niż ciężar ptaszka. A przecież sama obecność Edwiny przykuwała jego uwagę z taką siłą, urzekła go tak doszczętnie, że z trudem zmuszał się do słuchania cudzych słów na tyle, by z sensem na nie odpowiadać. Nie interesowali go otaczający ich ludzie – interesowała go wyłącznie ona.

Wyjaśniła mu, że muszą pokazywać się w towarzystwie, by „ugruntować swoją pozycję”. Cokolwiek miała na myśli, wyraźnie pragnęła coś osiągnąć. Nie mając pod tym względem żadnego doświadczenia, Declan nie zdołał się jeszcze domyślić, do jakiego dokładnie celu zmierza Edwina, rozumiał jednak i akceptował tego celu istnienie.

Całkiem niedawno dokonał ważnego odkrycia: jego delikatna, przypominająca elfa żona miała całkiem tęgi rozum. Wyznaczała sobie zadania i planowała kampanie, a potem wprowadzała je w życie. Declan był teraz właściwie pewien, że Edwina ma również określone poglądy na to, jak powinno wyglądać ich małżeństwo, lecz do tej pory nie udało mu się uzyskać wglądu w jej zapatrywania na to kluczowe zagadnienie. Czy zasady, według których chciała grać, wzbudzą jego uśmiech, czy będzie mógł je zaakceptować i realizować? Czy też...

W tej chwili nie miał najmniejszego pojęcia, co przyniesie im przyszłość pod

tym względem. A przecież ożenił się z nią i nie zamieniłby tego na całe złoto świata. Dla niego głównym celem było pojąć ją za żonę – i wreszcie należała do niego.

Spojrzał na nią i zobaczył błysk jej oczu, ożywienie rozjaśniające twarz, kiedy wdzięcznie przyjmowała gratulacje z okazji ślubu od jakiejś innej pary.

Ogólnie rzecz biorąc, nie posiadał się z radości, że została jego żoną. Musiał się tylko dowiedzieć, czego będzie wymagać rola jej męża.

Edwina stała u jego boku z uśmiechem na ustach, ani na chwilę nie zapominając o swoim celu. Uzgodniła już z matką i siostrami, że jest rzeczą absolutnie kluczową, by razem z Declanem zaprezentowali się w towarzystwie w odpowiednim świetle. Opinia zaś towarzystwa, teraz i w przyszłości, zależała od wrażenia, jakie sprawią w trakcie tych kilku najważniejszych początkowych tygodni. Fakt, że dziś wieczór od momentu przybycia tkwili mniej więcej na środku pomieszczenia, stale otoczeni tłumem zaintrygowanych gości przepychających się, by zawrzeć z nimi znajomość, świadczył o tym, jak wysoko już teraz oceniali ich modne kręgi.

Zrodziło się w niej poczucie tryumfu; jej pierwszy cel jako mężatki został już prawie osiągnięty.

Kiedy lady Holland przystanęła, by zamienić z nią słowo, i po prezentacji Declana łaskawie uśmiechnęła się z aprobatą, Edwina z trudem powstrzymała się przed okazaniem ulgi i zbyt wyraźnej radości. Wyższe sfery potrafiły być surowe w swych sądach, lecz błogosławieństwo tak znamienitej damy stanowiło pieczęć ostatecznej akceptacji: zostali przyjęci do towarzystwa.

Oczywiście lady Holland zawsze miała słabość do przystojnych, czarujących mężczyzn.

Patrząc z ukosa na Declana, Edwina pozwoliła sobie zatrzymać wzrok na jego rzeźbionych rysach – na wyraźnie arystokratycznym czole, smukłych licach pod wydatnymi kośćmi policzkowymi, na stanowczej linii wyrazistych ust i męskiego podbródka. Jego błękitne jak niebo oczy, ocienione mocnymi brązowymi brwiami, otoczone były leciutkimi zmarszczkami, które wraz z ogorzałą cerą świadczyły o długich miesiącach spędzonych na morzu. Obrazu dopełniały jasnobrązowe włosy, jakby w modnym nieładzie, który to efekt potęgowały pasemka i koniuszki rozjaśnione pod wpływem słońca.

Wzrost Declana w połączeniu z barczystą budową, sam sposób, w jaki się trzymał – zarazem prosto i swobodnie, zawsze w idealnej równowadze i z niewypowiedzianą pewnością siebie – wyróżniał go spośród wszystkich niemal mężczyzn obecnych na sali.

Lady Holland oddaliła się, a wtedy Lucasta dotknęła rękawa Edwiny, by zwrócić na siebie jej uwagę.

– Moja droga, widzę, że lady Marchmain ulokowała się ze swoją switą pod

ścianą. Sądzę, że dobrze by było, gdybym dołączyła do niej i dopilnowała, by zapoznała się z kluczowymi faktami.

Edwina podążyła za wzrokiem matki do grupki starszych dam zgromadzonych wokół szezlonga. Kiwnęła głową.

– Dziękuję, mamó. Przyjdziemy po ciebie, kiedy będziemy gotowi do wyjścia.

Lady Marchmain należała do najbliższych przyjaciółek jej matki, a zarazem była jedną z prowodyrek modnego towarzystwa; jeśli człowiekowi zależało na tym, by jakaś wiadomość dotarła do całych wyższych sfer, dama ta stanowiła doskonałego posłańca.

Wracając do pochlebiająco licznej grupy pań i panów pragnących zawrzeć znajomość z Declanem, Edwina zaczęła się zastanawiać, ile czasu powinni jeszcze tu zabawić. Uprzednio ani ona, ani jej matka nawet nie starały się oszacować, jak długo potrwa ugruntowanie jej pozycji jako mężatki oraz, co ważniejsze, pozycji Declana jako uznanego członka towarzystwa. Obydwie sądziły, że wymagać to będzie znacznie dłuższych zachodów – więcej domowych wizyt, więcej porannych i popołudniowych herbatek, podwieczorków, bali i spotkań. Przyjechali do Londynu przed tygodniem; ich kampania trwała zaledwie od sześciu dni. Nie spodziewały się tak rychłego sukcesu.

Niemniej Edwina radowała się, że wszystko poszło tak dobrze. Spędzanie wieczorów na staniu u boku Declana – wysokiego, pełnego atencji i swobodnego uroku – okazało się o wiele łatwiejsze, niż przypuszczała. Sądziła, że będzie musiała ratować go przed towarzyskimi wpadkami, lecz wcale tak nie było; dostrzegał wszelkie sidła i sam zręcznie je omijał. Jak na kogoś, kto rzadko obracał się w towarzystwie, radził sobie doskonale.

Wymieniając uwagi i prowadząc z otoczeniem zwykle żartobliwe pogawędki, których każde słowo umacniało i uwypuklało ich sukces, zaczęła zdawać sobie sprawę ze swego rosnącego zniecierpliwienia. Skoro zwyciężyli już na tym froncie, nadszedł czas, by postąpili krok dalej na drodze do związku, jakiego pragnęła. A w tym celu musieli znaleźć się gdzie indziej – wszędzie, byle nie w samym centrum towarzyskiego wieczorku.

\*\*\*

Declan nie miał żadnych oporów przed opuszczeniem Montgomery House. Za sugestią Edwiny przeszli razem z Cassie do miejsca, gdzie Lucasta rozmawiała z kilkoma starszymi damami. Wdowa podniosła się i przedstawiła ich przyjaciółkom. Gdy wymieniono niezbędne uprzejmości, zabrała swój szal i całe ich towarzystwo pożegnało się z gospodynią, po czym zeszło na dół. Cassie, ku niejkiej uldze Declana, zaoferowała, że zabierze Lucastę swoim powozem, dzięki czemu on i Edwina mogli nacieszyć się własnym towarzystwem podczas krótkiej

przejażdżki na Stanhope Street.

Gdy tylko drzwi pojazdu się zamknęły, towarzyski welon Edwiny zniknął. Przez całą drogę mówiła z ożywieniem i zaangażowaniem, wspominając słowa kilku napotkanych osób, tłumacząc znaczenie danego komentarza lub zawartej znajomości. Te uwagi były dla Declana bardzo pouczające; miał też wrażenie, że kiedyś już słuchał podobnego sprawozdania. W miarę jak koła ich powozu terkotały dalej po bruku, zdał sobie sprawę, że bardzo przypomina mu ono narady, jakie odbywał po swoich tajnych misjach.

Im więcej o tym myślał, tym trafniejsza wydawała się ta analogia.

Edwina podsumowała relację oświadczeniem:

– Wygląda na to, że mama miała rację. – Spojrzała Declanowi w oczy poprzez cienie powozu. – Była przekonana, że jeśli chodzi o nasz związek, wszyscy w towarzystwie będą się kierować moim zachowaniem, a także mamy, Millie, Cassie i ich mężów. Mama była pewna, że muszę tylko stale trzymać cię przy sobie i otwarcie okazywać radość z faktu, że za ciebie wyszłam, a wszystko będzie dobrze. – Westchnęła zadowolona. Oparła się o siedzenie i spojrzała przed siebie. – Jak zwykle nie myliła się.

Przez głowę Declana przemknęło kilka pytań, ale na głos zadał tylko to najważniejsze:

– A czy naprawdę czujesz radość?

Drobne ząbki Edwiny błysnęły w promiennym uśmiechu. Spojrzała na męża w spowijającym ich mroku.

– Wiesz przecież, że tak. – Wsunęła dłoń w jego rękę i uściśniła ją lekko. – Nie mogłabym być szczęśliwsza.

W jej słowach brzmiała niezachwiana szczerłość; uradowany Declan nie potrafił zapanować nad uśmiechem.

Powóz skręcił na rogu i Edwina mimowolnie przechyliła się w stronę męża.

Uniosła wzrok, a on opuścił głowę.

Ich oczy spotkały się; spojrzenia skrzyżowały.

Declan podniósł palec i delikatnie, powoli przesunął nim po pełnej wardze Edwiny.

Przymknęła powieki, odchylając głowę. Declan nachylił się niżej.

Powóz zwolnił i się zatrzymał.

Edwina otworzyła oczy. Spojrzała na Declana, którego twarz znajdowała się zaledwie kilka cali od niej, a potem jej usta wygięły się pod dotykiem jego palca.

Declan usłyszał, jak służący zeskakuje z tyłu powozu, i wyprostował się z westchnieniem.

– Wygląda na to, że dotarliśmy do domu, jaśnie pani.

– Istotnie. – Edwina nawet w mroku widziała błysk pożądania w jego oczach. Kiedy służący otworzył drzwi, szepnęła: – Sugeruję, drogi mężu, byśmy

weszli do środka.

Między nimi rozgorzał płomień oczekiwania, tak gorący, że niemal namacalny. Z ostatnim prowokującym spojrzeniem Edwina odwróciła się w stronę drzwi. Declan podniósł się, wyszedł na chodnik i pomógł jej wysiąść.

Nie puszczając jej palców, poprowadził ją po stopniach wiodących do domu.

Drzwi otworzyły się, zanim zdążyli do nich dojść. Nowo zatrudniony kamerdyner Humphrey wpuścił ich z ukłonem do środka.

– Witamy w domu, jaśnie państwo.

– Dziękuję, Humphrey. – Edwina wysunęła dłoń z uścisku Declana i skierowała się prosto ku schodom.

Declan natychmiast ruszył za nią.

Humphrey zamknął drzwi.

– Czy będą państwo jeszcze czegoś potrzebować?

– Nie sądzę. – Declan oderwał spojrzenie od krągłych bioder swej żony, okrytych błękitną satyną. – Możesz już pozamykać. Lady Edwina i ja udajemy się na spoczynek.

Edwina, nie zatrzymując się, dodała:

– I powiedz, proszę, Wilmot, że nie będzie mi dzisiaj potrzebna.

Wilmot była jej garderobianą. Declan uśmiechnął się.

Edwina dotarła do drzwi ich wspólnej sypialni, otworzyła je i wsunęła się do środka. Declan deptał jej po piętach. Przystąpił próg, przystanął tylko, by zamknąć za sobą drzwi, po czym kontynuował pościg, nie odrywając wzroku od swej zdobyczy.

Nim dotarła do łoża – dużego, z baldachimem z niebieskiego jedwabiu – odwróciła się nagle. Jeden jej krocze, jeden jego krok, i się spotkali.

Głową ledwie sięgała mu do ramienia. Wspinając się na czubki palców, oplótła jego szyję rękami. Przywarła do niego, gdy zacisnął dłonie na jej wąskiej talii, i w oczekiwaniu rozchyliła usta.

Ich wargi zetknęły się, musnęły, przycisnęły mocno.

W noc poślubną Edwina była dziewicą, lecz nie odczuwała żadnego zawstydzienia: rzuciła się w wir płomiennej, chciwej, zbyt długo wstrzymywanej pasji z entuzjazmem, który oszołomił Declana. Jej otwarte i gorliwe pragnienie poznania wszystkich tajemnic podbiło go bez reszty. Jej nieustraszony duch przygody w tej sferze nadal go urzekał.

Oddawał go całkowicie w jej władanie.

Ani odrobinę mu to nie przeszkadzało. Kiedy sterował nią w stronę łóżka, jedyną pozostałą w jego głowie myślą było pytanie, jak najlepiej cieszyć się owocami swego poddaństwa.

Edwina miała wrażenie, jakby unosiła się na falach tryumfu. Pragnęła uczcić to, co można było uznać za pomniejsze zwycięstwo – udało im się zaprezentować

ich związek jako coś nie tylko do przyjęcia, ale wręcz jak najbardziej pożądanego w oczach wyższych sfer.

Buzowały w niej radość i szczęście. Kiedy poczuła za sobą łóżko, ogarnęło ją płomienne podniecenie. Palce Declana odnalazły tasiemki jej sukni, a ona sama zaczęła szukać i zręcznie rozpinąć duże guziki jego ubrania. Declan przerwał na sekundę tylko po to, by strząsnąć z siebie frak i kamizelkę, pozwalając im upaść, gdzie popadnie, podczas gdy ona w pośpiechu rozpiniała płaskie guziczki jego koszuli.

Od samego początku nie miała najmniejszych wątpliwości co do tego obszaru ich związku. Wiedziała, że zawdzięcza tę pewność pasji Declana, jego zrozumieniu, szczerości i wprawę. Był tak skupiony na Edwinie, tak otwarcie jej pożywał i tak zdecydowanie pragnął ją podbić, był tak oddany i zaangażowany, że całkowicie się przed nią odsłonił.

Okazał wszystko, co do niej czuł.

Wszystko, co dla niego znaczyła.

Wyłączyła na morza namiętności z sercem otwartym na przygodę, niesiona wiarą, że jest godna pożądania.

Żadna kobieta nie mogłaby prosić w noc poślubną o więcej.

Od tamtej pory razem badali, co jeszcze mogą im przynieść takie intymne spotkania.

Oddała się nauce wszystkiego, co chciał jej pokazać i czego sama mogła się nauczyć. I każdej nocy, choć rozkoszny cel pozostawał ten sam, podróż do niego była inna, droga zmieniała się lekko, odsłaniając widoki świeże i absorbujące.

Usta Declana karmiły się wargami Edwiny, jego język drażnił się z jej językiem. Odpowiedziała, wykorzystując wszystko, czego się nauczyła, by kusić go i uwodzić. Wyciągnęła mu koszulę ze spodni i rozpięła ostatni guzik. Zatopiona w pocałunku, w gorącu i pasji, które tak łapczywie ich pochłaniały, błogosławiła męża za wrodzoną elegancję, która kazała mu wiązać krawat w schludny, prosty węzeł. Rozwiązała materiał i natychmiast ściągnęła go z szyi Declana, a potem odrzuciła daleko w radosnym zapamiętaniu.

Wreszcie pozbywszy się przeszkód, przywarła do męża, zapadła w jego ramiona i oddała się sercem i duszą temu, co przyniesie noc.

Rozedrgane zmysły. Gorąco.

Wprawny dotyk, który rozpalał i żądał, podniecał, kusił i wciągał ich oboje na ścieżkę, którą mieli dziś podążyć.

Szepty jedwabiu. Szelest pościeli. Czubki palców przesuwające się po niezdolnie wrażliwej skórze.

Mięśnie spinające się i falujące, a potem zastygające na kamień.

Niezrozumiałe pomruki.

Naga skóra na nagiej skórze, ciało przy ciele. Razem ruszyli w drogę.

Pokonywali zasadzki pożądania, liżące płomień namiętności, jechali szybciej i szybciej, skakali w głębinę, a potem wypływali z powrotem w kierunku wspaniałego końca.

Wreszcie ekstaza wybuchła i roztrzaskała ich, ciskając w przepaść zapomnienia...

Aż w końcu wyczerpani, zdyszani, oślepieni tą wspaniałością, opadli z powrotem na ziemię, ku rozkoszy wzajemnych objęć, ku zachwytowi swoją podróżą.

Kiedy wreszcie umysł Edwiny się przebudził i znowu mogła myśleć, stwierdziła, że nadal jest zbyt przejęta swoim tryumfem – na kilku frontach – by osunąć się w przyjemny sen, jak to zwykle się zdarzało. Nie była pewna, czy Declan zasnął; leżała w objęciach mężczyzny z głową na jego ramieniu i nie widziała twarzy, a nie mogła na nią spojrzeć bez poruszenia się i zakłócenia im spokoju.

W tej chwili była wyciszona, zaspokojona i bezpieczna. Nie czuła potrzeby, by rozmawiać. Wyglądało na to, że on również nie; powolne unoszenie się i opadanie jego piersi pod jej policzkiem koilo i napełniało poczuciem spokoju.

Jej myśli płynęły swobodnie, odruchowo klasyfikując informacje – gdzie byli teraz i dokąd pragnęła ich poprowadzić.

Jaką drogą powinni pójść – jaki związek zdecydowana była wypracować.

Edwina nigdy nie kwestionowała swego założenia, że wszystko zależy od niej i że pokierowanie ich w odpowiednim kierunku to jej obowiązek. Małżeństwa jej rodziców i zmarłego brata stanowiły jaskrawy przykład tego, do jakiej katastrofy może dojść, jeśli kobieta nie ustanowi i nie wyegzekwuje właściwych zasad. To zaś będzie o wiele prostsze, jeśli zabierze się do pracy od razu, nim zdążą się ugruntować jakiegokolwiek szkodliwe przyzwyczajenia.

Wiedziała, czego pragnie; miała przed oczami kilka świetlanych przykładów – małżeństwa swych sióstr, Juliana i Mirandy, a ostatnio też, o ile mogła się zorientować, związek Fergususa i Elaine, rodziców Declana.

Fakt, że Declan od małego miał możliwość przyglądania się takiemu małżeństwu, opartemu na współpracy i partnerstwie – że przesiąkł tą ideą, widział jej zalety i, jak liczyła Edwina, sam pragnął podobnej wspólnoty – stanowił doskonały początek.

Kiedy były bardzo młode, ona i jej siostry spędzały całe godziny, przesiadując w saloniku w Ridgware i omawiając, jaki związek małżeński najbardziej by im odpowiadał. Zarówno Millie, jak i Cassie, każda na swój sposób, usiłowały osiągnąć ten ideał i odniosły sukces. I Catervale, i Elsbury wyraźnie uwielbiali swoje żony, byli dobrymi i zaangażowanymi ojcami dla swych dzieci i wszystkim się dzielili; ich małżonki miały swój udział w każdej sferze ich życia.

Edwina nie miała zamiaru ustawiać sobie poprzeczkę niżej od sióstr.



W istocie podejrzewała, że mając u swego boku Declana, może pragnąć jeszcze więcej. W porównaniu z Millie i Cassie była bardziej otwarta, bardziej ciekawa świata i głodna życia oraz wszystkich możliwości, jakie ze sobą niosło.

Pragnęła, by jej małżeństwo stanowiło związek równych sobie osób na każdym możliwym poziomie, od początku do końca.

Teraz, kiedy zapewnili już sobie pozycję w towarzystwie, a ich fizyczna relacja układała się tak doskonale, mogła wreszcie poświęcić uwagę i energię pozostałym elementom, składającym się na nowoczesne małżeństwo.

Co się týczyło domu, wszystko było pod kontrolą. Wybrali go wspólnie na cały sezon, być może na dłużej, a w kwestii naboru i zatrudnienia służby Declan całkowicie oddał ster w jej ręce. Miała szczęście, że udało jej się znaleźć Humphreya, pani King zaś – ochmistrzyni – oraz nowa kucharka też zaczynały się zadomawiać. Kilkuosobowa służba w pełni odpowiadała ich potrzebom; poza układaniem jadłospisu Edwina nie musiała robić prawie nic, by zapewnić gładkie funkcjonowanie domostwa.

Co pozostawiało do rozwiązania jedną kwestię: jak scalić pozostałe części ich życia – jak skierować na wspólne tory ich zainteresowania, zajęcia i energię w chwilach poza sypialnią, domowym zaciszem czy wydarzeniami towarzyskimi.

Innymi słowy: cała reszta.

Sama myśl o tym uzmysłowiła jej, jak mało wie o sprawach męża – czym właściwie zajmuje się Declan, jaką rolę odgrywa w transportowym imperium swojej rodziny, czy angażuje się w jakieś szczególne kwestie. Powiedział jej, że nie spodziewa się wypłynąć w kolejny rejs przed lipcem, a może jeszcze później, to zaś pozostawiało jej mnóstwo czasu na pytania i odkrycie wszystkiego, co musiała wiedzieć, by zorientować się, jak mogą współpracować i w jaki sposób ona sama może pomóc mu w karierze.

Pragnęła zbudować partnerstwo podobne do tego, jakie łączyło rodziców Declana: takie, do którego mogłaby wносить tyle, ile będzie w stanie, kiedy zajdzie taka potrzeba – partnerstwo, które pozwoli jej zrozumieć, na czym polegają jego obowiązki i z jaką presją się wiążą. Pomimo jej przedsiębiorczej i aktywnej natury nie oznaczało to wcale, że musiała brać czynny udział we wszystkim, co dotyczyło męża; powinna raczej zawsze mieć możliwość zorientowania się, co się dzieje. Żywiła głębokie przekonanie, że taki układ jest niezbędny do stworzenia związku, jaki miała zamiar wypracować.

Nadchodził sen; rozluźnione mięśnie Edwiny wyzbyły się ostatnich resztek napięcia.

Jednak mimo ogarniającej ją senności czuła, jak rodzi się w niej niecierpliwość, optymizm i determinacja. Rano będzie mogła rozpocząć kampanię zmierzającą do zbudowania upragnionego modelu małżeństwa.

Dopiero kiedy Edwina wreszcie usnęła, Declan odzyskał jasność w głowie

i zdołał pozbierać myśli. Do tej chwili tkwił jeszcze między światami, całkowicie skupiony na swych wezbranych emocjach. Rozgorzały w noc poślubną i sądził, że z czasem osłabną, że rozbudzane co dnia – a raczej co noc – stopniowo stracą nad nim władzę. Zamiast tego rozpalały się i rosły w siłę.

Wreszcie jednak cichy oddech Edwiny się pogłębił, ona sama mocniej do niego przyłgnęła, a jego zmysły wyciszyły się, otrząsnęły z tego całkowitego i poddańczego skupienia na niej i pozwoliły rozumowi na powrót dojść do głosu.

Ustały również te wszechogarniające emocje, lecz pozostawiły za sobą pewien ślad: Declan uzmysłowił sobie z niepokojącą wyrazistością, jak wiele Edwina teraz dla niego znaczy. Po chwili zagrzebał głęboko tę myśl, zapamiętując tylko, iż postawienie żony w sytuacji jakiegokolwiek zagrożenia – lub pozwolenie, by sama się w takiej sytuacji postawiła – jest absolutnie wykluczone.

Pomyślał jeszcze o potencjalnym konflikcie między tą decyzją a nie do końca zdefiniowaną nieprzeciętnością Edwiny i nad wpływem, jaki mogłoby to mieć na ich związek. Doszedł do wniosku, że wypracowanie praktycznych zasad funkcjonowania ich małżeństwa okaże się o wiele bardziej skomplikowane, niż się spodziewał. Będzie musiał wytyczyć jakieś granice, by odsunąć Edwinę od drugiej części swojego życia, by ją przed nim osłonić.

Jak zdoła to osiągnąć, skoro coraz bardziej sobie uświadamiał, że tym, co go zafascynowało w przyszłej żonie, była właśnie jej awanturnicza żyłka?

A przecież wszelka awanturniczość w nieunikniony sposób prowadzi do niebezpieczeństwa. Jak zatem miał poskromić w Edwinie tę cechę, tak by jednocześnie nie stłamsić jej ze szczerem?

Zasnął, nim w jego głowie pojawiła się choćby najlżejsza sugestia odpowiedzi.

## Dwa

Następnego ranka Edwina, nadal rozmyślając o małżeńskim wyzwaniu, wsunęła się do pokoju śniadaniowego, gdzie zastała swego urodziwego męża, marszczącego brwi nad jakimś listem.

– Co się stało? – spytała, przystając.

Declan podniósł wzrok. Popatrzył na nią przez chwilę, po czym złożył list i wsunął go do kieszeni fraka.

– To tylko liścik z wezwaniem na spotkanie. Interesy.

Edwina już miała na czubku języka dalsze pytania; przez sekundę zabawiła się nawet myślą, by zaproponować Declanowi swoje towarzystwo, choćby po to, by zobaczyć jego reakcję. Jednak... na to było jeszcze za wcześnie. Otwarty atak rzadko skutkował na mężczyzn pokroju Declana; instynktownie opierali się oni wszelkiej presji, przez co potem przekonanie ich do zmiany zdania stawało się jeszcze trudniejsze. Najpierw musiała utorować sobie drogę.

Odwróciła się do kredensu, skinęła z uśmiechem Humphreyowi i przyjęła od niego talerzyk. Smakując potrawy z gorących półmisek, rozmyślała nad tym, że właściwie nie ma pojęcia, czym tak naprawdę zajmuje się jej mąż. Na indagowanie o szczegóły jego spotkań przyjdzie jeszcze czas, lecz najwyższa pora zacząć wypytywać o inne sprawy.

Uniosła wzrok znad filiżanki z herbatą i popatrzyła na Declana; wydawał się zaabsorbowany pochłanianiem góry jajecznic.

– Wiem, że jesteś kapitanem jednego z rodzinnych statków, ale na czym właściwie polega twoja praca?

Kiedy podniósł wzrok, spojrzała mu w oczy i uniosła pytająco brwi.

– W jakim celu wyruszasz na morze? Jakie zadania wykonujesz dla spółki Frobisher i Synowie?

Declan popatrzył na żonę. Odpowiedź na to pytanie nie stanowiła dla niego problemu, zwłaszcza jeśli w ten sposób zdoła odwrócić uwagę Edwiny od spraw, które wolał zachować dla siebie. Zaspokoi jej ciekawość w taki sposób, by nie zachęcać do drażnienia tematu.

– Aby dać ci odpowiedź, musiałbym najpierw opowiedzieć o naszej rodzinnej flocie.

Edwina dała znak, że jest zainteresowana tematem, więc uśmiechnął się i zaczął wykład.

– Flota dzieli się na dwie części. Na pierwszą składają się zwyczajne statki transportowe. Są to większe, a zatem szersze, głębsze, cięższe i, co za tym idzie, wolniejsze jednostki, które rozwożą wszelkiego rodzaju towary po całym świecie, choć ostatnio skupiamy się głównie na żegludze atlantyckiej. W tej chwili nasz

najdalej wysunięty port na wschodnich trasach to Kapsztad.

Przerwał, by nabrać na widelec ostatnią porcję jajecznicy, i przez te kilka sekund zastanowił się nad dalszym ciągiem. Edwina skorzystała z okazji i posmarowała dżemem grzanekę, po czym odgryzła porządny kęs. Odgłos chrupnięcia sprawił, że Declan spojrzął na jej usta; patrzył, jak koniuszek języka przesuwa się po jędrnej wardze, sprawia, że staje się wilgotna...

Odchrząknął cicho i przywołał nieposłuszny umysł do porządku. Zebrawszy myśli, mówił dalej:

– Ja i moi bracia zaangażowani jesteśmy w drugą część rodzinnego interesu. Każdy z nas ma pod sobą własny statek. Można powiedzieć, że także zajmujemy się transportem. Nasze statki są jednak z założenia o wiele szybsze, nowsze i lepiej znoszą niesprzyjające warunki.

Odłożył sztućce i sięgnął po filiżankę kawy, dodając z cichym parsknięciem:

– Zauważyłaś może, że Royd ma swego rodzaju obsesję na punkcie tego, jak się spisują. – Royd (jego pełne imię brzmiało Murgatroyd, choć nikt poza rodzicami nigdy nie odważył się go tak nazwać) był to najstarszy brat Declana, który ostatnimi czasy właściwie przejął stery spółki. – Cały czas zmienia projekty statków i wprowadza unowocześnienia. „Kormoran” od trzech tygodni nie może pływać. Stoi w suchym doku w stoczni w Aberdeen, a Royd cały czas majsterkuje przy nim i wciela w życie swoje najnowsze pomysły, które przyjdzie mi potem przetestować.

Tu Declan przerwał, by się napić, po czym dodał sucho:

– Trzeba przyznać, że zazwyczaj jesteśmy mu bardzo wdzięczni za te usprawnienia. – Nieraz to właśnie one przechylały szalę między śmiercią a życiem, wolnością a niewolą.

– Mówiąc „my”... – Edwina strząsnęła z palców okruszki – ...kogo dokładnie masz na myśli?

– Naszą czwórkę: Royda, Roberta, mnie i Caleba, oraz kilku naszych kuzynów. Inni krewni obsadzają statki handlowe, ale my wszyscy, w sumie około ośmiu kapitanów, zajmujemy się właśnie tą drugą stroną działalności.

– Wczoraj wieczorem jeden pan wspominał o jakimś traktacie, przy którym pomogła twoja rodzina. Czy byłeś zaangażowany w to przedsięwzięcie?

– Nie. To była sprawa Roberta. Specjalizuje się w co bardziej dyplomatycznych zleceniach.

Edwina zmarszczyła lekko brwi.

– Na czym więc polega ta druga strona działalności? Jakież to zlecenia, dyplomatyczne czy inne, są wam powierzane?

Declan zastanowił się i wreszcie rzekł:

– Istnieją różne rodzaje ładunków.

Edwina uniosła brwi.

– Na przykład?

Declan błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

– Ludzie. Dokumenty. Przedmioty dużej wartości. I, co najcenniejsze, informacje. – Urwał, wiedząc, że nie powinien malować swojej działalności w zbyt intrygujących barwach. – Nie ma w tym nic specjalnie niezwykłego. Po prostu przewozimy tego rodzaju towary z portu do portu szybko, bezpiecznie i dyskretnie.

– Aha. – Edwina zamyśliła się, po czym dodała: – Przypuszczam, że to wyjaśnia obsesję Royda.

Declan odstawił filiżankę. Właściwie nie zastanawiał się nad tym wcześniej, ale...

– Chyba rzeczywiście można powiedzieć, że jego pasja znacząco przyczynia się do tego, iż nasza firma oferuje najlepsze na świecie usługi w zakresie specjalistycznego transportu.

Edwina uśmiechnęła się.

– Transport specjalistyczny. Rozumiem. Przynajmniej teraz wiem, jak opisać twój zawód.

I nic więcej, pomyślał Declan, nie musisz już wiedzieć ani ty, ani ktokolwiek inny.

Zanim jednak zdążył zmienić temat, Edwina zaczęła dalej wypytywać:

– Mówiłeś, że przeważnie jesteś na morzu około sześciu miesięcy w roku. Czy pływasz, kiedy zajdzie taka potrzeba, czy też rokrocznie wyruszasz mniej więcej o tej samej porze?

– Zazwyczaj pływamy latem i jesienią, kiedy są najlepsze warunki do żeglugi.

– Ale nie spodziewasz się wyruszyć na „Kormoranie” przed lipcem?

Declan kiwnął głową.

– Do tego czasu nie mamy żadnych... – już miał powiedzieć „misji” – ...żadnych zamówień, którymi musiałbym się zająć osobiście. Pozostali przejęli tymczasowo moje obowiązki. – Uśmiechnął się szeroko i popatrzył Edwinie w oczy. – Jak sądzę, miał to być rodzaj ślubnego prezentu.

Zanim zdążyła zadać kolejne pytanie, odwrócił się i popatrzył na zegar na kominku po przeciwnej stronie pokoju. Zgodnie z oczekiwaniami Edwina podążyła za jego spojrzeniem. Kiedy zorientowała się, która godzina, otworzyła szeroko oczy.

– Wielkie nieba! Muszę się przygotować na wizytę u lady Minchingham.

Declan podniósł się i odsunął jej krzesło.

– A ja muszę iść na to spotkanie, a potem chyba zajrzę do biura, żeby zorientować się, co słychać w świecie transportu – odparł. Biura spółki Frobisher i Synowie mieściły się tam, gdzie wiele innych kompanii transportowych, nad Tamizą w centralnej części miasta.

Edwina, zajęta już swoimi myślami, kiwnęła tylko głową i ruszyła do holu.

– W takim razie zobaczymy się wieczorem – rzuciła, po czym przystanęła i dodała: – Planowałam dziś udział w raucie lady Forsythe, ale zdaje mi się, że chyba wypełniliśmy już nasze towarzyskie zobowiązania. – Uśmiechnęła się, rzucając mu jedno ze swoich lekko badawczych i sugestywnych spojrzeń. – Może lepiej wykorzystalibyśmy nasz czas, spędzając cichy wieczór w domu, tylko we dwoje.

Propozycja ta spotkała się z pełną akceptacją Declana. Zatrzymał się w progu pokoju i uśmiechnął, patrząc w duże niebieskie oczy żony.

– Zdecydowanie wolę spokojny wieczór w twoim towarzystwie.

Na twarzy Edwiny rozkwitł szeroki uśmiech radości. Stanęła na palcach i kiedy Declan posłusznie nachylił głowę, złożyła przelotny pocałunek na jego ustach.

Declan powstrzymał odruch, by objąć ją i przedłużyć pieśczętę – w końcu, nie licząc innych względów, w zasięgu wzroku znajdowali się Humphrey oraz lokaj.

Sądząc po współczującym uśmiechu, Edwina czytała mu w myślach; jej wzrok sugerował, że i ona opiera się pokusie, lecz twarz wyrażała aprobatę dla jego samokontroli. Poklepała go przelotnie po piersiach i z beztróskim machnięciem dłoni skierowała się ku schodom.

Declan pozostał na miejscu, patrząc w ślad za nią. Kiedy zniknęła na galerii wiodącej do ich sypialni, sięgnął do kieszeni i wyciągnął złożony liścik, który przez cały ten czas niemal parzył go przez frak. Jego uśmiech przybladł po ponownym odczytaniu kilku krótkich linijek. Nie mówiły mu nic poza tym, że oczekiwano go jak najszybciej w Ripley House.

– Humphrey, poproszę mój płaszcz i kapelusz – zwrócił się do stojącego pod ścianą kamerdynera.

– Natychmiast, proszę pana.

Gdy Humphrey pomógł mu włożyć płaszcz, Declan pomyślał, że wzywająca go osoba nie należy do tych, którym każe się czekać. Po kilku sekundach, z kapeluszem na głowie, wyszedł z domu i przyspieszając kroku, skierował się ku Whitehall.

\*\*\*

Z Whitehall skierował się do Ripley House. Kiedy przedstawił się pełniącemu służbę sierżantowi, bez zdziwienia usłyszał, że ma przejść do gmachu Admiralicji. Zdziwił się natomiast, że skierowano go nie do jakiegoś małego znaczącego biura na dolnych piętrach, lecz na górę do gabinetu Pierwszego Lorda Admiralicji. Jednakże wojna dawno się skończyła i o ile Declan mógł się zorientować, wzywający go człowiek nie był teraz aktywnie zaangażowany

w obronę kraju; zapewne nie posiadał już więc oficjalnego biura, dokąd mógłby wzywać podwładnych.

Zabiegany sekretarz zapytał Declana o nazwisko; poznawszy je, natychmiast zaprowadził go do bogato zdobionych drzwi. Zapukał, zajrzał do środka i powiedział coś cicho. Otrzymawszy odpowiedź, głośniejszym tonem zapowiedział Declana, odsunął się na bok i gestem ręki zaprosił go do środka.

Declan wszedł, nie posiadając się z ciekawości, co go czeka.

Drzwi zamknęły się za nim cicho, a on rozejrzał się po komnacie. Znajdowało się w niej dwóch mężczyzn.

Książę Wolverstone – ten, który go wezwał – stał przy oknie, wyglądając na plac apelowy. Tytuł książęcy nadano mu wkrótce po wojnie, lecz Declan w myślach nadal nazywał go imieniem Dalziel, którym posługiwał się on przez wszystkie lata kierowania tajnymi operacjami brytyjskiej korony na obcych ziemiach – i morzach. Declan podszedł bliżej, a wtedy Wolverstone odwrócił się, by go powitać.

Jeśli księżęca ranga, ożenek i wielokrotne ojcostwo w jakikolwiek sposób złagodziły emanującą z niego aurę niebezpieczeństwa, to Declan nie potrafił tego dostrzec. Dalziel nadal poruszał się z tą samą drapieżną gracją, a bijąca od niego siła charakteru ani odrobinę nie zmalała.

Declan przeniósł wzrok na drugą znajdującą się w przestronnym pomieszczeniu osobę – był nią wicehrabia Melville, obecny Pierwszy Lord Admiralicji. Declan rozpoznał go, choć nie zawarli wcześniej znajomości. Melville miał grube kości oraz lekko zaokrągloną figurę, pełną twarz, rumianą cerę i poirytowaną minę człowieka, który lubiąc porządek, zmuszony jest stale obcować z chaosem. Nie podniósł się zza biurka, lecz skrzętnie porządkował dokumenty, którymi się dotąd zajmował, i odkładał je na bok.

Ewidentnie podchodził do ich spotkania z powagą.

Widok ten bynajmniej nie napełnił Declana radością. To miał być przecież ich miodowy miesiąc. Bracia i kuzyni specjalnie przejęli jego obowiązki.

Niestety wyglądało na to, że korona nie bardzo się tym przejmuje.

– Frobisher. – Wolverstone wyciągnął rękę. Kiedy Declan ją uściśnął, książę dodał: – Chcę... to jest, chcemy cię przeprosić, że odrywamy cię od świeżo poślubionej małżonki. Jesteśmy jednak w potrzebie. Sprawa jest tak pilna, że nie możemy czekać, aż inny członek waszej rodziny dotrze do Londynu i podejmie się misji. – Puścił jego dłoń i gestem kazał spocząć na jednym z dwóch krzeseł przed biurkiem Melville'a. – Siadaj, jego lordowska mość i ja wyjaśnimy ci sprawę.

Declan był za młody, by w trakcie niedawnych wojen dowodzić własnym okrętem, lecz w ostatnich latach konfliktu pływał jako porucznik pod dowództwem ojca lub któregoś z wujów i podobnie jak jego bracia i kuzyni – ci zajmujący się drugą stroną rodzinnej działalności – znał z pierwszej ręki przeważnie niepisane



zasady współpracy, łączącej brytyjską koronę z rodem Frobisherów. Poza zwyczajną żeglugą transportową jego przodkowie trudnili się także korsarstwem; prawdę rzekłszy, dokładnie na tym polegała wciąż druga działalność firmy – jej listy kaperskie nadal pozostawały w mocy, nigdy ich nie cofnięto. W zamian za świadczenie na rzecz korony pewnych specjalistycznych i zazwyczaj tajnych usług spółka Frobisher i Synowie cieszyła się monopolem na realizację kontrolowanych przez rząd, a wysoce lukratywnych kontraktów transportowych.

Ta współpraca z brytyjską koroną trwała już od wieków. Na czymkolwiek polegała więc misja, dla której wezwano Declana do gabinetu Melville'a, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Frobisherowie w taki czy inny sposób podejmą się jej wykonania.

Sposób realizacji leżał jednak w ich własnej gestii – i wyglądało na to, że w tym przypadku decyzja należała do Declana.

Usiadł na jednym z krzeseł. Wolverstone zajął drugie.

– Dziękujemy, że stawił się pan na wezwanie, panie Frobisher. – Melville skinął Declanowi głową, po czym spojrzał na Wolverstone'a. – Nie miałem jeszcze okazji powołać się na przywilej korony i skorzystać z pomocy pańskiej rodziny. Obecny tu Wolverstone zapewnia mnie jednak, że w tym przypadku spółka Frobisher i Synowie to nasza największa szansa na sukces. – Brązowe oczy Pierwszego Lorda znowu powędrowały do twarzy Declana. – Jego książęca mość ma większe doświadczenie w komunikowaniu takich spraw, poproszę zatem, by on wszystko wyjaśnił.

Declan popatrzył na Wolverstone'a i leciutko uniósł brew.

Wolverstone spojrzał mu w oczy.

– Wieści o tej sytuacji dosięgły mnie w moim domu w Northumberland. – Declan wiedział, że główna siedziba Wolverstone'a znajduje się pod południową granicą Szkocji. Książę mówił dalej: – Natychmiast wysłałem wiadomość do Aberdeen. Odpowiedział mi Royd, wyznając niechętnie, że z całej rodziny tylko ty jesteś w tej chwili dyspozycyjny. Napisał, że jednocześnie z odpowiedzią do mnie posyła na południe twój statek, „Kormorana”, z pełną załogą. Zanim zdążysz się przygotować do wyjazdu, powinien już czekać na kei waszej kompanii w Southampton. – Wolverstone zrobił pauzę, po czym dodał: – Chciałbym raz jeszcze przeprosić cię, w imieniu własnym i twojej rodziny, za zakłócanie ci miesiąca miodowego. Sądzę, że Royd sam odpowiedziałby na wezwanie, gdyby nie to, że twoja matka i ojciec wyjechali do Dublina i nie miałby kto przejąć sterów firmy.

Declan przypomniał sobie, że matka istotnie wspominała coś o tej podróży.

– Robert tymczasem wyruszył niedawno do Nowego Jorku i nie spodziewają się go jeszcze przez kilka tygodni, a wspominałem już, że sprawa jest pilna. Pozostali także nie mogą się podjąć zadania... – usta Wolverstone'a wygięły się

w chłodnym uśmiechu – ...podczas gdy ty, z uwagi na swój miesiąc miodowy, jesteś tu na miejscu, w Londynie.

Declan pochylił głowę, godząc się z nieuniknionym.

– Royd pisał także, że skoro misja dotyczy naszych kolonii w Afryce Zachodniej, nie ma wątpliwości, iż najlepiej się nadajesz do jej wypełnienia.

Declan otworzył szerzej oczy.

– Afryka Zachodnia?

Wolverstone kiwnął głową.

– Jak rozumiem, dobrze znasz porty leżące na tamtejszym wybrzeżu i odbyłeś kilka wypraw do różnych miejsc w głębi lądu.

Declan wytrzymał jego spojrzenie. Royd może i wspominał o jego znajomości tych okolic, lecz na pewno nie wyjawiałby żadnych szczegółów, i Declan nie widział powodu, by z kimkolwiek się nimi dzielić, a już na pewno nie z Wolverstone'em.

– Istotnie.

By zaś uciąć dalsze pytania, dodał:

– Royd się nie myli. Jeśli chcecie odnaleźć coś lub kogoś w tym rejonie, jestem najlepszym człowiekiem do tego zadania.

Wolverstone wygiął lekko wargi – jego przenikliwość wytrącała Declana z równowagi – lecz zgodził się nie drażnić tematu i wrócił do sprawy:

– W tym przypadku potrzebujemy, byś uzyskał pewną informację.

Melville nachylił się nad biurkiem i wtrącił z napięciem:

– Uzyskał... i wrócił z nią do nas.

Wolverstone rzucił w jego kierunku lekko karcące spojrzenie, po czym skierował swe ciemne oczy z powrotem na Declana i ciągnął spokojnie:

– Sytuacja wygląda następująco. Jak na pewno wiesz, obecna baza Eskadry Zachodnioafrykańskiej znajduje się we Freetown. Mamy tam także spory oddział armii, stacjonujący w Forcie Thornton, skąd wspiera rezydującego tam gubernatora tych okolic.

– Urząd gubernatora sprawuje w tej chwili Holbrook – rzekł Melville, ściągając na siebie wzrok Declana. – Zna go pan może?

– Niezbyt dobrze. Spotkałem go raz, ale było to jakiś czas temu.

– To akurat pomyślna okoliczność – stwierdził Wolverstone. – Cztery miesiące temu zaginął kapitan Dixon, inżynier garnizonowy w Forcie Thornton. O ile zdołaliśmy się zorientować, zwyczajnie zniknął; jednego dnia był na miejscu, a drugiego rozplątał się w powietrzu. Żaden z jego towarzyszy nie ma pojęcia, dokąd mógł się udać lub czy planował jakąś wyprawę. Dixon jest dość młody, ma jednak spore doświadczenie i cieszył się poważaniem. Jego rodzina ma dobre koneksje w marynarce. Na prośbę tych właśnie osób Melville upoważnił pewnego porucznika z Eskadry Zachodnioafrykańskiej do przeprowadzenia śledztwa.

Tu Wolverstone przerwał, wbijając wzrok w Declana.

– Porucznik ów również zaginął. Zniknął bez śladu.

– To jakaś bzdura – burknął Melville. – Znam Hopkinsa, nie odszedłby bez pozwolenia.

– Istotnie. – Wolverstone pochylił głowę, przytakując. – Z tego, co wiem od rodziny Hopkinsa, skłonny jestem zgodzić się z tą opinią. Dlatego też Melville wysłał kolejnego porucznika nazwiskiem Fanshawe, człowieka z większym doświadczeniem śledczym i lepiej znającego ten region. On także rozplątał się w powietrzu.

– I wtedy – powiedział ponuro Melville – zwróciłem się o radę do Wolverstone’a.

Wolverstone kontynuował, jakby tego nie słyszał.

– Zasugerowałem, by na stanowisko radcy w biurze gubernatora wysłano niejakiego Hillsythe’a. Nie ma on jeszcze trzydziestu lat, ale pracował dla mnie podczas kilku tajnych operacji. Nie brak mu doświadczenia. Wiedział, na czym polega jego zadanie i jak się do niego zabrać. – Wolverstone znowu przerwał, po czym kontynuował, zniżając głos: – Hillsythe także zaginął. O ile nam wiadomo, zdarzyło się to jakiś tydzień po jego przybyciu na miejsce.

Declan wiedział, że sytuacja zaiste musi być trudna, jeśli zniknął ktoś od samego Wolverstone’a. Zmarszczył brwi, próbując sobie wyobrazić, co może się za tym wszystkim kryć.

– A co na to gubernator Holbrook? I dowódca garnizonu? Przy okazji, jak on się nazywa?

– Oficerem dowodzącym jest niejaki major Eldridge. Jeśli chodzi o zniknięcie Dixona, wie tyle, co my. Co do Holbrooka... – tu Wolverstone i Melville wymienili spojrzenia – ...wydaje się on wierzyć w krążące po okolicy, z braku lepszego słowa, dyrdymały; że mianowicie ludzie, którzy zniknęli, cytują, „uciekli szukać szczęścia w dżungli”. – Wolverstone wbił spojrzenie w Declana. – Jeśli dobrze czytam między wierszami listu Royda, sam nieźle poznałeś okoliczne dżungle w poszukiwaniu szczęścia. Zastanawiam się więc, co sądzisz o ocenie Holbrooka.

Declan popatrzył w oczy księcia, zastanawiając się nad odpowiedzią. Zamierzał podważyć opinię samego gubernatora, toteż należało ostrożnie dobrać słowa.

– Rzeczywiście byłem w tamtejszej dżungli. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zagłębiłby się w nią ot, tak. Wiodące przez nią drogi to zwykłe ścieżki, częstokroć pozarastane. Wioski są prymitywne, nieliczne i położone daleko od siebie. Teren jest trudny, a las gęsty i często nie do przejścia. Wody z zasady nie brakuje, ale nie zawsze nadaje się do picia. Jest zupełnie możliwe, a wręcz prawdopodobne, że napotka się na swej drodze wrogo nastawionych tubylców. –

Przerwał, po czym podsumował: – Mówiąc krótko, każdy Europejczyk pragnący zapuścić się poza obrzeża kolonii musiałby zabrać ze sobą obławę, a także dużą ilość zapasów i odpowiedniego wyposażenia. Trudno zaś przygotować to wszystko w taki sposób, by nikt dookoła się nie spostrzegł.

Melville prychnął.

– Potwierdził pan właśnie to, co mówił mi Wolverstone. A mianowicie, że nie możemy... to jest, korona nie może ufać Holbrookowi. Co z kolei oznacza, że nie możemy ufać nikomu z obecnej obsady Freetown. – Pierwszy Lord przerwał, skrzywił się i spojrzał na Wolverstone'a. – Zapewne nie powinniśmy też polegać na nikim we flocie.

Wolverstone skinął głową.

– Sądzę, że tak będzie najlepiej.

– I właśnie dlatego – ciągnął Melville, wracając spojrzeniem do Declana – tak pilnie potrzebna nam pańska pomoc. Potrzebujemy kogoś zaufanego, by udał się do Freetown i dowiedział, co do diaska się tam dzieje.

Wolverstone poruszył się i Declan odwrócił się z powrotem do niego.

– Powiniennem nadmienić, że z naszej strony ten pośpiech wynika z dodatkowych okoliczności – powiedział książę, patrząc na młodzieńca. – Z pewnością przypominasz sobie sprawę Czarnej Kobry, która zakończyła się publicznym wieszaniem zaledwie rok temu. – Declan kiwnął głową; któż o tym nie słyszał? Wolverstone mówił dalej: – Kult Czarnej Kobry, pod przywództwem trzech poddanych angielskiej korony, spowodował wielkie straty w naszych koloniach. To, że zdołał się tak bardzo rozprzestrzenić i działał przez tak długi okres, dowodzi, że brytyjski rząd nie jest w stanie zarządzać swymi koloniami. – Wolverstone zacisnął wargi. – Rząd... korona... musi unikać podobnych incydentów, które wzbudzą dalsze wątpliwości co do naszej zdolności kierowania imperium.

Declan nie potrzebował kolejnych wyjaśnień. Rozumiał teraz doskonale, że presja na Melville'a, by dowiedzieć się, co dokładnie dzieje się we Freetown; by rozwiązać problem i przywrócić porządek, pochodziła z o wiele wyższych szczebli politycznej drabiny.

– Doskonale. – Spojrzał na Wolverstone'a. – Czy wiadomo, kiedy „Kormoran” ma dotrzeć do Southampton?

– Royd pisał, że statek wypłynął... wyglądałoby na to, że przedwczoraj.

Declan kiwnął głową.

– Przypuszczam, że wyszli z portu dość późno, więc najwcześniej mogą być w Southampton jutro rano, ale biorąc pod uwagę wiatry i prądy, dotrą pewnie nieco później. Załoga potrzebować będzie pełnego dnia, by zaopatrzyć statek z naszych magazynów w mieście. Wykorzystam te dwa dni, by sprawdzić, czy nie dowiem się czegoś o sytuacji we Freetown w londyńskich dokach, a pojutrze wyjadę do

Southampton i wypłynę z wieczornym odpływem.

– Ile czasu przewiduje pan na dotarcie do Freetown? – spytał Melville.

– Przy sprzyjających wiatrach „Kormoran” może tam dopłynąć w czternaście dni.

– Jest jeden szczegół, który obaj z Melville’em musimy podkreślić.

W gruncie rzeczy – stwierdził Wolverstone – możesz to uznać za część swoich rozkazów: polecenie, którego nie wolno ci zignorować.

Declan uniósł brwi.

– Gdy tylko czegoś się dowiesz, czegokolwiek... masz tu wrócić i przekazać nam tę informację. – Głos Wolverstone’a przybrał sztywny ton nieodwołalnego rozkazu. – Nie stać nas na stratę kolejnych ludzi, podczas gdy nadal nie mamy pojęcia, co się tam dzieje. Chcemy, żebyś popłynął tam i naprowadził nas na pierwszy trop. Nie chcemy jednak, powtarzam: nie chcemy, byś za tym tropem podążył.

– Ma pan tu wrócić i przekazać nam, co odkrył – powtórzył Melville.

Declan nie musiał się długo zastanawiać, by zrozumieć, że polityczna presja na zdobycie odpowiedzi, jakichkolwiek odpowiedzi, wzrastać będzie z każdym dniem.

Wolverstone zauważył sucho:

– Zdaję sobie sprawę, że jako lubiący przygody osobnik wolałbyś nie być związany takimi ograniczeniami. Ta sprawa ich jednak wymaga. Gdy tylko dowiesz się czegokolwiek... a zwłaszcza jeśli wyczujesz, że ktoś stara się rzucić ci kłody pod nogi... masz natychmiast opuścić Freetown i wrócić tu z tą informacją. – Przerwał, po czym dodał ciszej: – I tak straciliśmy już na próżno zbyt wielu zdolnych ludzi. To nie może dłużej trwać.

Declan co prawda nigdy wcześniej nie otrzymywał rozkazów bezpośrednio od Wolverstone’a, lecz wiedział o nim dostatecznie dużo, by rozumieć, że to ostatnie zastrzeżenie było bardzo nie w jego stylu. Dalziel słyszał z tego, że wyznaczał swoim agentom konkretne cele, sposób ich osiągnięcia pozostawiając w gestii danej osoby. Zawsze cenił sobie elastyczność w działaniu. Oczekiwał też stuprocentowego powodzenia.

I przeważnie to oczekiwanie było spełniane.

Fakt, że teraz postępował z taką ostrożnością, a wręcz surowo jej wymagał, wynikał zdaniem Declana z powagi sytuacji, nie zaś z jakiegokolwiek zmiany w charakterze księcia.

To zastrzeżenie, to ograniczenie jego swobody działania wcale mu się nie podobało, lecz...

– Dobrze więc.

Jeśli żądano od niego tylko dostarczenia informacji, zajmie mu to zapewne nie więcej niż jeden dzień. A to oznaczało, że szybciej będzie mógł wrócić do

Edwiny. Uznał zatem, że bardziej wypada mu okazać wdzięczność niż niezadowolenie. Spojrzał na Melville'a, potem na Wolverstone'a.

– Jeśli to wszystko...

– Napisałem list, który zobowiązuje Eskadrę Zachodnioafrykańską do udzielenia panu wszelkiej potrzebnej pomocy – powiedział Melville. – List ma mój sekretarz, może pan go odebrać, wychodząc.

Declan wstał. Wolverstone również podniósł się z krzesła.

– Sugerowałbym jednak, byś z niego nie korzystał, chyba że znajdziesz się w wielkiej potrzebie. Niech będzie on dla ciebie ostatecznością. – Popatrzył Declanowi w oczy. – Na twoim miejscu nikomu bym nie ufał. Nikomu nie mów, na czym polega twoja misja. Nie mów nic, czego inni nie muszą wiedzieć.

Chłodna rzeczowość pobrzmiwająca w słowach Wolverstone'a była dla Declana jasnym sygnałem, że ani książę, ani Melville nie ufają gubernatorowi Holbrookowi, majorowi Eldridge'owi ani wiceadmirałowi Deckerowi, dowodzącemu obecnie Eskadrą Zachodnioafrykańską. Jeśli zaś nie ufali tej trójce, to nie ufali też nikomu innemu.

We Freetown działo się coś złego i cokolwiek to było, sięgało daleko i głęboko.

Declan skinął Melville'owi głową i uściśnął dłoń, którą wyciągnął do niego Wolverstone.

– Spodziewamy się zobaczyć cię za jakiś miesiąc. – Książę przerwał, po czym puścił rękę Declana i dodał pod nosem: – A jeśli nie wrócisz w ciągu sześciu tygodni, poślę po ciebie Royda.

Declan uśmiechnął się szeroko na tę groźbę, która żadną groźbą w istocie nie była. Może i często spierali się z bratem, lecz nie potrafił wyobrazić sobie, kogo w potrzebie wolałby mieć przy sobie zamiast niego.

– Wrócę najszybciej, jak będę mógł.

Zasalutował i skierował się do drzwi, już teraz myśląc o niezbędnych przygotowaniach przed rejssem – i o wieściach, jakie będzie musiał przekazać żonie.

## Trzy

Wiedząc, że Edwina wyszła już z domu na poranne spotkania, Declan poszedł do biura spółki Frobisher i Synowie, położonego tuż przy Burr Street pomiędzy Dokami św. Katarzyny a Dokami Londyńskimi. Tam puścił w ruch swoją machinę informacyjną, wysyłając kilku dawnych marynarzy kompanii, by rozpytali się ukradkiem po okolicznych oberżach i tawernach. Wątpił, że dowiedzą się czegoś bezpośrednio związanego z jego misją, ale jeśli na rzeczy było coś większego, co mogło spowodować jakieś komplikacje, to wołał o tym wiedzieć, zanim odbije od zielonych brzegów Anglii.

Resztę dnia spędził na zbieraniu wszelkich możliwych informacji o obecnym stanie gospodarki i przemysłu w koloniach Afryki Zachodniej od pracowników biura, a także od kolegów i kontaktów w pobliskich biurach innych kompanii transportowych.

W głębi serca był poszukiwaczem przygód. Skoro więc i tak wybierał się w tamte strony, równie dobrze mógł się przygotować na wypadek, gdyby trafiła mu się jakaś okazja.

Na Stanhope Street powrócił późnym popołudniem. Czekał na powrót Edwiny w zaciszu biblioteki, zabijając czas dreptaniem przed kominkiem i ćwiczeniem wymówek, które miały tłumaczyć jego rychły a niespodziewany wyjazd.

Usłyszawszy w holu ciężkie kroki Humphreya i głos powracającej Edwiny, wziął głęboki oddech i podszedł do drzwi. Otworzył je i wyjrzał na zewnątrz.

Edwina przystanęła na jego widok.

Podszedł do niej i sięgnął po jej dłoń.

– Jeśli masz chwilę, moja droga, to mam ci do przekazania pewne wieści.

Podawała mu rękę, wpatrując się badawczo w jego twarz. To, co z niej wyczytała, sprawiło, że spoważniała.

– Oczywiście – rzekła. Wręczyła kapelusz kamerdynerowi i poszła z Declanem do biblioteki.

Declan zamknął drzwi i zaprowadził ją przed kominek. Nie mogąc się powstrzymać, przyciągnął ją do siebie i nachylił głowę do pocałunku. Edwina wspięła się na palcach, jak zwykle chętnie wychodząc mu naprzeciw. Smakowała ciastkami miodowymi...

Przerwał pocałunek, nim sytuacja wymknęła się spod kontroli, po czym puścił żonę i poprosił ruchem, by usiadła na małej otomanie przed paleniskiem. Sam pozostał przykominku, odruchowo przyjmując postawę kapitana przemawiającego do załogi. Zdawał sobie z tego sprawę, lecz że pozycja ta przydawała mu pewności siebie, odrzucił wątpliwość, czy przystoi w takiej



sytuacji.

– Nie każ mi czekać. Co się stało? – spytała Edwina.

Declan zastanawiał się właśnie, jak przekazać wieści, i uznał, że najlepiej zrobić to szybko i zwięźle.

– Poproszono mnie o odbycie krótkiej podróży do kolonii w Afryce Zachodniej. Nie potrwa to długo, nie będzie mnie tylko przez kilka tygodni, ale z uwagi na interesy muszę niezwłocznie wyruszyć w drogę. Żaden z moich braci ani kuzynów nie da rady się tego podjąć. Royd nie może płynąć z powodu innych zobowiązań, a pozostali są na morzu i nie zdążą wrócić na czas.

Przez kilka sekund Edwina wpatrywała się w niego w milczeniu. Następnie spytała zupełnie spokojnie:

– Jak niebezpieczna może być ta podróż?

– Wcale, albo w najgorszym razie tylko trochę. – Mając na względzie rozkaz powrotu, gdy tylko się czegoś dowie, Declan nie sądził, by cokolwiek mu groziło. Nie chciał też niepokoić żony. Uśmiechnął się uspokajająco. – Wrócę cały i zdrowy, zanim się zorientujesz.

– A czy pogoda na tych szlakach jest o tej porze roku sprzyjająca?

– Zazwyczaj owszem. Nie spodziewam się napotkać żadnych sztormów.

Edwina ponownie patrzyła na niego przez kilka sekund, po czym nie odrywając wzroku od jego twarzy, oświadczyła:

– W takim razie chciałabym ci towarzyszyć.

Declan zaniemówił. W jego umyśle zapanowała pustka. Zaskoczony – całkowicie zbity z pantofelów – mógł tylko wpatrywać się w żonę ze zdumieniem.

Jakby nie dostrzegając jego oszołomienia, Edwina mówiła dalej lekkim tonem:

– Osiągnęliśmy już najważniejszy cel naszego przyjazdu do Londynu, a skoro wszystko inne toczy się gładko, doprawdy nie ma powodu, bym musiała pozostać tu przez następne tygodnie. – Oczy jej rozbliły, na ustach pojawił się entuzjastyczny uśmiech. – A tak bardzo chciałabym popłynąć... Obejrzeć świat z tobą u boku!

Declan wreszcie odzyskał mowę.

– Nie.

Edwina zamrugła i jej jasne błękitne oczy spochmurniały, na czole pojawił się mars.

– Dlaczego? Czy istnieje jakiś powód, którego mi nie wyjawieś, a przez który moja obecność nie wchodzi w grę?

Owszem. Declan zawahał się. Nie mógł wyjawić jej żadnych szczegółów. Poruszała się w kręgach, w których obracali się znajomi Holbrooka, Deckera czy Eldridge'a; jedno nierozważne słowo, a zupełnie nieświadomie gotowa była sprowadzić niebezpieczeństwo na niego i jego załogę – niebezpieczeństwo, którego

w przeciwnym wypadku by uniknęli. Nie mógł wyjawić jej swojej misji i z całą pewnością nie mógł jej zabrać ze sobą. Wielkie nieba! Dopiero co uświadomił sobie, jak drogą mu się stała, jak kluczową rolę odegra w jego przyszłym życiu i szczęściu, a ona chciała wybrać się z nim w nieplanowaną podróż do jednej z najmniej przyjaznych kolonii w całym imperium?

– Nie... to jest, zgadza się. – W ostatniej chwili powstrzymał się przed odruchowym przeczesaniem włosów. – Istnieje bardzo wiele powodów, dla których nie możesz ze mną płynąć – oświadczył niezłomnym tonem.. – I bardzo mi przykro, ale nie mogę ci ich wyłożyć. Twój udział w wyprawie jest w tym przypadku zupełnie niemożliwy. – W tym i prawdopodobnie w każdym innym; Declan rzadko kiedy podróżował w sprawach niezwiązanych z interesami, zaś jego interesy rzadko kiedy nie wiązały się z jakimś ryzykiem.

W zasadzie w żegludze oceanicznej nigdy nie można było wykluczyć niebezpieczeństwa. Statki tonęły. On sam mógłby się uratować, ale wątpił, czy jego żona, tak drobna i delikatna, zdołałaby przeżyć.

Edwina zaczęła tracić nadzieję, lecz powiedziała sobie, że przecież kiedyś i tak musieli natrafić na ten problem. Oto jej pierwsze wyzwanie: musi przekonać Declana, aby zabrał ją ze sobą na morze.

Nie przypuszczała tylko, że nastąpi to aż tak szybko. Złożyła ręce na kolanach i utkwiała spojrzenie w jego twarzy.

– Declanie, zdaję sobie sprawę, że nie omawialiśmy szczegółowo tej kwestii, ale przyjmując twoje oświadczenia, wiedziałam, że co najmniej pół roku zajmują ci podróże. Wyszłam za ciebie, w pełni oczekując, że będę ci towarzyszyć na morzu, jeśli nie przez cały czas, to przynajmniej przez większość... Spodziewałam się podróżować u twego boku, na pokładzie twego statku.

Wyraz twarzy Declana uświadomił jej, że ta deklaracja najwyraźniej była dla niego zaskoczeniem. Lecz chyba nie wyobrażał sobie, że Edwina należy do kobiet, które wolą grzać się przy ogniu w domowym zaciszu, niepomne na niebezpieczeństwa, jakim stawiają czoło ich mężowie gdzieś na drugim końcu świata?

– To przecież niemożliwe, byś zupełnie się tego nie spodziewał – zaczęła. – By zaskakiwała cię myśl, że pragnę mieć swój udział w twoim życiu, całym życiu, że nie zadowolę się tylko jego lądową częścią. – Popatrzyła na męża z błagalnym wyrazem twarzy. – Proszę cię, Declanie. Tak bardzo chciałabym popłynąć w rejs twoim statkiem.

Declan wytrzymał przez chwilę jej spojrzenie, a potem wypiął pierś, biorąc głęboki wdech. Na moment Edwina poczuła nadzieję, że... Ale wtedy ujrzała, jak jego twarz tężeje, jak zaciska zęby.

– Muszę przyznać, że nie do końca zdawałem sobie sprawę z twego zainteresowania żeglugą. Jeśli chcesz, to po powrocie z wyprawy zabiorę cię gdzieś

na „Kormoranie”, może do Amsterdamu, a potem wzdłuż wybrzeża Francji i Hiszpanii, na Morze Śródziemne.

Edwina przez pół minuty zastanawiała się nad ofertą – wyraźnie była to gałązka oliwna – po czym sama przybrała stanowczą minę.

– Taka wycieczka sprawiłaby mi wielką przyjemność, jednak nie rozwiązuje to problemu, z jakim musimy się zmierzyć, a mianowicie, że pragnę i spodziewam się mieć udział w całym twoim życiu, nie tylko w jego części.

Declan wytrzymał jej spojrzenie; błękit jego oczu zdał się nagle jakby mniej głęboki, nie tak pełen życia – bardziej skryty, podobnie jak skryte były teraz jego emocje.

– Nie mogę i nie zabiorę cię w tę podróż – oświadczył.

Edwina zmrużyła oczy.

– Zatem wolno mi będzie dzielić z tobą tylko to, co uznasz za stosowne... lecz mam być wykluczona z tych przedsięwzięć i wypraw, które wolisz zachować dla siebie.

Przerwała, by dać mu szansę na odpowiedź, lecz choć Declan zaczerpnął głęboki oddech, nie skorzystał z okazji, by zaprzeczyć jej słowom.

Biorąc to za znak – niepomyślny znak – Edwina ciągnęła miarowo:

– Powiedziałam już, że nie spodziewałam się tego rodzaju ograniczeń w naszym związku; chciałabym, by opierał się on na wspólnocie. Z tego, co wiem, twoja matka zawsze podróżuje z twoim ojcem. Nie sądziłam, że będziesz oczekiwał, iż ja zadowolę się siedzeniem w domu.

Declan zacisnął usta.

– Moja matka to zupełnie inna sprawa.

– A dlaczegóż to? – spytała Edwina, unosząc brwi.

– Ona... – Declan urwał. Nie oderwał wzroku od jej oczu, lecz jego twarz przybrała nagle wyraz zniecierpliwienia. – Moja matka to nie ty – oświadczył w końcu ostrym, twardym tonem. – Za nią odpowiada mój ojciec, a za ciebie odpowiadam ja.

Edwina kiwnęła lekko głową.

– Owszem. Ponosisz za nasze małżeństwo taką samą odpowiedzialność jak ja. Posunę się więc dalej i powiem jasno, że nie zgadzam się na takie restrykcje, o ile nie podasz mi konkretnych powodów i przekonujących argumentów przemawiających za tym, bym z tobą nie płynęła. Nie zgodzę się na podobne ograniczenia dzielonego przez nas... to jest, naszego małżeństwa – zakończyła wojowniczo. Wiedziała, czego pragnie, czego potrzebuje, i była przekonana, że mimo jego oczywistego uporu Declan również skorzysta na związku opartym na wspólnocie. Chodziło przecież o to, by mogli wspierać się wzajemnie, by żadne z nich nie było samo. By nie musieli w pojedynkę stawiać czoła losowi ze wszystkimi jego wyzwaniem i niebezpieczeństwami.

Musieli być partnerami.

Choćby więc Declan spierał się do utraty tchu – ona i tak nie zamierzała ustąpić.

Declan odczytał z jej twarzy nieugiętą determinację i zrozumiał, że zupełnie nieoczekiwanie znalazł się na bardzo cienkim lodzie.

Żałował, że nie poznał jej oczekiwań wcześniej, zanim doszli do tego punktu. Mógłby lepiej przygotować się na taką sytuację i uniknąć zatargu. Żałował, że nie potrafił wmówić sobie, iż to tylko przelotny kaprys, że Edwina nie mówi poważnie, zaś jej deklaracje nie wypływają ze szczerego przekonania... ale nie potrafił. Edwina była najmniej rozkapryszoną ze wszystkich znanych mu kobiet. I choć nie znał dotąd jej poglądów na małżeństwo, to przecież żywił niezachwianą wiarę w jej szczerść, zwłaszcza kiedy chodziło o ich związek.

Dlatego właśnie zdobycie jej było tak diabelnie łatwe. Ponieważ pragnęła go tak samo jak on jej, i nie wahała się tego okazać.

Choć zatem bardzo cenił sobie tę szczerść w kwestiach uczuciowych, teraz niezwykle utrudniała mu to, co musiał zrobić.

Zaczerpnął tchu, spojrzął Edwinie w oczy, po czym powiedział cicho i spokojnie:

– Przykro mi, moja droga, ale w tym przypadku nie zabiorę cię ze sobą. Zrobiłbym to, gdybym mógł; złożyłbym u twoich stóp słońce, księżyc i gwiazdy, gdybyś sobie tego zażyczyła i gdyby leżało to w moim zasięgu. Co się jednak tyczy tej wyprawy, choć nie będzie obfitować w niebezpieczeństwa, nie możesz mi towarzyszyć.

Przerwał, po czym uznając, że równie dobrze może postawić sprawę jasno raz na zawsze, dodał:

– Nie będzie to ostatnia taka podróż. Przy innych... być może po moim powrocie dojdziemy do jakiegoś porozumienia. Teraz jednak moja decyzja jest nieodwołalna. To ja jestem kapitanem „Kormorana” i to ja decyduję, kto wejdzie na pokład statku. Nie mogę i nie zabiorę cię ze sobą.

Zamilkł, spodziewając się wybuchu, choć po prawdzie nigdy jeszcze nie widział, by Edwina straciła nad sobą panowanie. Widywał ją rozdrażnioną, zirytowaną, ale wściekłą – nigdy. Teraz jednak pojmował, że ta sprawa ma dla niej ogromne znaczenie, wiedział też, że Edwina jest uparta, że należy do osób, które walczą o to, w co wierzą... Instynktownie spiął się w oczekiwaniu na jej gniew.

Który nie nadszedł.

Edwina przyglądała mu się zmrużonymi oczami, które lśniły nietypowo twardym, jasnym błękitem spod delikatnych rzęs. Stopniowo jej twarz przybrała zamyślony wyraz.

Po kilku chwilach napiętego milczenia i oczekiwania przez Declana potoku oskarżeń przemówiła względnie normalnym tonem:

– Czy chodzi o to, że wbrew zapewnieniom o braku realnego zagrożenia lękasz się narazić mnie choćby na niewielkie niebezpieczeństwo?

– Freetown, czyli stolica Sierra Leone, to nie Bombaj, Kalkuta ani Kapsztad – wyjaśnił Declan. – To prymitywna kolonia w każdym możliwym sensie tego słowa i z całą pewnością nie stanowi odpowiedniego miejsca dla córki księcia.

– Czy tam właśnie się udajesz? – spytała Edwina. Kiedy potwierdził skinieniem głowy, dodała: – Rozumiem. Twoja decyzja wynika więc z pragnienia, by mnie chronić.

– Tak. – Dokładnie! Nie wymówił tego słowa, lecz nie miał wątpliwości, że wyczytała w jego oczach zniecierpliwienie. Czemuż inaczej miałby jej odmawiać?

Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, po czym – ku jego całkowitemu zdumieniu -lekko pokiwała głową i podniosła się.

– Dobrze. To mogę zaakceptować.

Nagle Declan poczuł dziwną niepewność, jakby jakiś nieoczekiwany wiatr zaczął miarowo spychać go z kursu. Usiłował zajrzeć Edwinie w oczy, ale spuściła głowę, zajęta wygładzaniem sukni.

– Dla jasności więc: zaakceptujesz wszelkie moje decyzje, o ile podjęte będą przez wzgląd na twoje bezpieczeństwo? – upewnił się.

Edwina podniosła głowę, spojrzała na niego i uśmiechnęła się łagodnie, uspokajająco. Potem podeszła bliżej, stanęła na palcach i lekko musnęła wargami jego usta.

– Akceptuję, że pragnąc mnie chronić, będziesz podejmować takie decyzje – rzekła, kładąc dłoń na jego piersi.

Opadła na pięty, popatrzyła na niego przez sekundę i uśmiechnęła się szerzej.

– A teraz... – odwróciła się i pomaszzerowała do drzwi – zgodnie z ustaleniami zjemy kolację w domu, tylko we dwoje, a potem spędzimy spokojny wieczór w salonie.

Podążył za nią, jakby ciągnięty niewidzialnymi nitkami.

Przy drzwiach Edwina odwróciła się i uśmiechnęła szelmowsko.

– Chyba że wolałbyś wziąć udział w jakimś wydarzeniu towarzyskim?

– Nie, nie. – Declan nieomal się wzdrygnął. – Z największą przyjemnością spędzę wieczór, podczas którego nie będę musiał dzielić się tobą z nikim innym.

Dopiero ponieważ dotarło do niego, jakim słowem się posłużył, lecz Edwina uśmiechnęła się tylko słodko i wyszła przodem.

Declan podążył za nią. Czuł się tak, jakby dopiero co uniknął zniszczenia głównego masztu, lecz nie do końca wiedział, jak tego dokonał. Uporali się z problemem i jakimś sposobem zdołali przy tym zachować spokój i harmonię. Powiedział sobie, że powinien być wdzięczny.

\*\*\*

Wieczorem dzień po dyskusji w bibliotece Edwina stała na uboczu sali balowej lady Comerford, udając, że słucha otaczających ją panów. Co prawda było wśród nich także kilka dam, lecz mimo to ku jej rozpaczy wyglądało na to, że z jakiegoś niepojętego powodu stała się przedmiotem zabiegów całego zastępu dżentelmenów.

W grupce znalazło się kilku osobników, o których słyszała szeptane pogłoski z ust co śmielszych młodych mężatek z towarzystwa. Musiała przyznać, że niektórzy z nich posiadali pewien czar, lecz nawet oni nie byli w stanie zwrócić na siebie jej uwagi.

Declan zapowiedział swój wyjazd z Londynu na następny dzień; ubłagał ją, by zwołała go z uczestnictwa w tym balu z uwagi na ostatnie przygotowania do podróży. A ponieważ Edwina zawnajmowała, że udało im się osiągnąć cel, dla którego tak czynnie uczestniczyli w życiu towarzyskim, musiała przystać na to z uśmiechem. Ukrywała rosnącą frustrację; nie zdecydowała jeszcze, jak najlepiej zareagować na decyzję Declana, by zostawić ją bezpiecznie w Londynie.

Rozumiała jego motywy, ale wiedziała też, że nie może się poddać i zrezygnować z tematu. Skoro zamierzała towarzyszyć mężowi we wszystkich podróżach, pozwolenie mu na zwycięstwo choćby ten jeden raz byłoby nierozsądne. Jeśli teraz ustąpi w obliczu jego obaw, jeśli ulegnie w sytuacji, gdy chodzi o podróż niemal pozbawioną ryzyka, Declan uzna, że ma rację, i jeszcze trudniej będzie go przekonać.

Żadne z nich na tym nie skorzysta.

Pozornie wesoła, starała się odpowiadać na uwagi i żarty na tyle, by nie zdradzić swojego rozkojarzenia. Jednocześnie umysł miała zajęty roztrząsaniem potencjalnych rozwiązań, jakie wymyśliła w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Nie należała do kobiet, które zamartwiają się i dąsają, kłócą i krzyczą; przez lata doszła do przekonania, że najlepszym sposobem pokonywania przeszkód jest nie zwracać na nie uwagi i postępować zgodnie z własnym zdaniem. Ta sytuacja była jednak bardziej złożona, dotyczyła bowiem nie tylko jej samej, lecz również Declana, a zatem mogła mieć wpływ na ich przyszły związek.

Zastanawiała się, czy nie poprosić kogoś o radę, ale niewiele знаła osób, do których mogłaby się zwrócić, a jeszcze mniej takich, które miały na tyle rozsądku i doświadczenia, by brać pod uwagę ich zdanie. Tylko nieliczne damy z towarzystwa miały mężów, którzy prowadzili awanturniczy tryb życia. Spośród znanych jej ludzi najbardziej podobny do Declana był jej brat Julian, ale jego małżeństwo było w całości zasługą działań Mirandy; gdyby ona nie podjęła zdecydowanych kroków, sprzecznych ze skłonnościami Juliana, w ogóle nie doszłoby do szczęśliwego związku, jaki ich teraz łączył.

Impuls, obserwacja i własne przemyślenia pchały Edwinę do działania.

Skoro naprawdę wierzyła, że dla dobra ich małżeństwa musi towarzyszyć Declanowi w tej podróży, to przez wzgląd na nich oboje miała obowiązek do tego doprowadzić.

Nadal toczyła wewnętrzną debatę, odrzucając subtelnie zawołowane awanse panów, kiedy uwagę jej przyciągnęła złocistobrazowa czupryna po przeciwnej stronie sali balowej. Edwina nie była dość wysoka, by dojrzeć twarz jej właściciela, lecz ta barwa, ta niedbała, potargana fryzura...

W kilka sekund tłum przeredził się i ujrzała Declana, idącego zdecydowanym krokiem w jej stronę. Poczowała przyspieszone bicie serca; nieporna na otoczenie, widziała tylko swego męża.

On najwyraźniej czuł to samo; kilka dam próbowało go zatrzymać, lecz choć odpowiadał im z powierzchowną uprzejmością, praktycznie nie odrywał wzroku od Edwiny.

– Przepraszam za spóźnienie, moja droga – powiedział, podchodząc i całując jej dłoń. – Interesy zajęły mi więcej czasu, niż się spodziewałem.

Chłodnym wzrokiem powiódł po grupce niemile widzianych zalotników, którzy mieli śmiałość obskakiwać jego żonę. W głowie zaświtała mu niepokojąca myśl – przecież kiedy on żeglował będzie w służbie korony, nikt nie pomoże Edwinie pozbyć się tych chłystków.

– Może przedstawiś mnie swym... znajomym? – zapytał, choć miał ochotę użyć słowa „konkurentom”.

Kilku ze wspomnianych znajomych zrobiło miny, jakby uszło z nich powietrze.

Declan powściągnął niechęć i zdołał jako tako uprzejmie odpowiedzieć na prezentację, której Edwina natychmiast dokonała.

Był to zaledwie pierwszy wieczór, kiedy nie towarzyszył jej publicznie, a przecież miało go nie być co najmniej przez cztery tygodnie, może dłużej...

Stłumił odruch, który się w nim zbudził; na balu gderanie byłoby nie na miejscu.

Ledwo zakończyli wszystkie prezentacje, kiedy niewielka orkiestra na końcu sali zabrała się do pracy i ponad szmer rozmów wybiło się wezwanie do walca. Declan natychmiast skorzystał z okazji i poprosił Edwinę do tańca.

– Mam nadzieję, że zachowałeś dla mnie tego walca – rzekł z uśmiechem.

– Owszem... to jest, wydaje mi się, że mogę zaryzykować – odparła z pewną ostrożnością Edwina.

Popatrzył na nią zdziwiony, ale nie wnikał w szczegóły jej odpowiedzi; w końcu zgodziła się, dając mu tym samym sposobność wyrwania jej spośród otaczającej hordy. Uśmiechnął się szeroko do pozostałych mężczyzn, próbując zamaskować nieco wyraz tryumfu na twarzy, po czym przeprosił i odszedł z Edwiną.



Parkiet znajdował się zaledwie dwa kroki dalej. Declan wszedł na niego, biorąc Edwinę w ramiona, po czym uniósł brew.

– Co to miało znaczyć? – spytał.

Edwina westchnęła.

– Wymówiłam się nadwyrężoną kostką, by z nimi nie tańczyć.

Declan poczuł, jak wypełnia go szczęście.

– Bystra dziewczynka – pochwalił z szerokim uśmiechem.

– Muszę zwrócić twoją uwagę na fakt, że przez ciebie wyszłam na kłamczuchę. – Edwina skrzywiła się lekko.

Declan zastanowił się przez chwilę, po czym stwierdził:

– Większość z nich pewnie i tak wiedziała, że kłamiesz.

Edwina prychnęła. Ale po dwóch energicznych obrotach przyznała:

– Bardzo prawdopodobne.

Były to ostatnie słowa, jakie zamienili na temat jej zalotników. Declan postawił sobie za cel dopilnować, by Edwina dobrze się bawiła, i w niezbyt subtelny sposób monopolizował jej czas. Widział, że jej matka, siostry i kilka innych starszych pań zwróciło na to uwagę i zaczęło komentować ich zachowanie, lecz niech go diabli, jeśli pozwoli komukolwiek, czy to panom, czy damom, żywić jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, że Edwina należy do niego i że zamierza dopilnować, by tak pozostało.

Wieczór płynął, zaś on podążał za radą pań z rodu Delbraith: najlepszym sposobem na zniechęcenie niedoszłych amantów było pokazać im, jaką przyjemność sprawia jemu i Edwinie wzajemne towarzystwo i jak są sobą zaabsorbowani – co też Declan z zapałem czynił. Otwarcie demonstrował swoje uczucia oraz zachęcał do tego samego Edwinę.

W konsekwencji wieczór okazał się najmiłszym, jaki spędzili poza domem od czasu ślubu. Declan poświęcał całą uwagę Edwinie, ona zaś odpowiadała mu tym samym; pozostali goście stanowili zaledwie barwne tło ich własnej sztuki.

Wcześniej tego dnia Declan zrobił przerwę w zbieraniu informacji, by odwiedzić Catervale'a i Elsbury'ego i zawiadomić o swoim wyjeździe. Obaj szwagrowie obiecali dołożyć wszelkich starań, by uchronić Edwinę przed niechcianymi zalotami. Oczywiście nie ulegało wątpliwości, że o wszelkiej potrzebie takich działań zawiadomić ich będą musiały jej siostry.

Dostrzegając tę słabość swego planu, Declan złapał dorożkę, pojechał na Dolphin Square i rozmówił się z bratem Edwiny. Julian nie obracał się może w wyższych sferach, lecz jako Neville Roscoe miał swoje oczy i uszy w całym mieście. Gdy tylko otrząsnął się ze zdumienia, że Edwina zgodziła się pozostać w Londynie, obiecał czuwać nad nią pod nieobecność jej męża.

Declan zabezpieczył się więc na wszelkie możliwe sposoby. A ponieważ Edwina nie była głupiutką kokietką skłoną do podejmowania niepotrzebnego

ryzyka, kiedy w końcu opuścili dom lady Comerford i w zaciszu powozu ruszyli z powrotem na Stanhope Street, czuł taki spokój, jakiego nie zaznał od momentu otrzymania misji. Był pewien, że w czasie jego nieobecności nic jej nie zagrozi, i z ulgą myślał, że udało mu się pomyślnie przebrnąć przez małżeńskie mielizny, spowodowane nieoczekiwanym wyjazdem.

To, że Edwina siedziała tuż przy nim z dłonią w jego dłoni, przytulona do niego, stanowiło przypieczętowanie zawartego pokoju.

Kiedy powóz skręcił za róg, spojrzała mu w twarz.

– Wiesz, o której godzinie musisz wyjechać?

Mówiła spokojnym tonem, w jej pytaniu nie kryło się drugie dno.

– Gdy tylko otrzymam raporty, na które czekam, ale spodziewam się, że nastąpi to po południu. Bez względu na to będę musiał wyruszyć przed trzecią, by zdążyć do Southampton przed wieczorną falą.

– Więc twój statek odbije wieczorem?

Declan kiwnął głową.

– Jeśli nie ruszymy wtedy, będziemy musieli czekać do następnego dnia, a zależy nam na czasie.

– Rozumiem. – Po chwili dodała: – Byłam kiedyś na wycieczce jachtem po cieśninie Solent i widziałam pływające tam większe okręty. Czy statek taki jak twój mógłby wypłynąć na wody cieśniny i tam przed dalszą podróżą poczekać na prom, który dowiozłby z portu pasażerów?

– Owszem, gdybyśmy się tak nie spieszyli. Ale musimy złapać falę, żeby wydostać się z samego Solentu, a kiedy wypłyniemy na wody kanału La Manche, nie ma powrotu, przynajmniej aż do kolejnego przypływu.

Zamilkła, jakby przyswajając te informacje, a potem nachyliła się bliżej, oparła głowę o ramię męża i łagodnie ścisnęła jego dłoń.

– Opowiedz mi o swoim statku. Czy wasza spółka ma w Southampton własną keję? Bo w Londynie owszem, prawda?

Declan odwzajemnił uścisk.

– W Londynie mamy dwie keje: jedną w Dokach św. Katarzyny, a drugą w Dokach Londyńskich. Nasze biuro mieści się mniej więcej w pół drogi między nimi. Ale w Southampton wszystkie nasze statki cumują przy jednej sekcji głównego nabrzeża.

– A sam „Kormoran”? Opowiedz mi o nim.

Usłuchał. Jechali przez nocne ulice, a Declan malował przed Edwiną obraz zaczerpnięty z miłych wspomnień, barwiąc słowa emocjami i radością, jaką zawsze odczuwał na morzu, gdy żagle łopotały mu nad głową, wanty i drzewce trzeszczały, fale szeptały i uderzały o kadłub, a pokład kołysał się pod stopami. Otworzył serce i całym podzielił się z ukochaną.

Kiedy powóz zatrzymał się pod domem, a Declan pomógł Edwinie wysiąść

i zaprowadził ją po schodach do drzwi, zdał sobie sprawę, że chciałby, aby ten wieczór – ich ostatni wspólny wieczór przed wielotygodniową rozłąką – był idealny. Aby przyjemności, jaką na nowo odkryli we wzajemnym towarzystwie, nie skaziło ani jedno słowo niezgody, ani jedna fałszywa nuta.

Edwina zdawała się żywić tę samą nadzieję. Weszli po schodach do sypialni, zamknęli drzwi przed światem i z niepohamowaną namiętnością oddali się sobie nawzajem we władanie.

Pomimo nadchodzącego wyjazdu wszystko było między nimi dobrze. Declan miał poczucie, że jest niezwykle szczęśliwym mężczyzną. A jeśli Edwina zamierzała przywiązać go do siebie za pomocą nieokiełznanej pasji, to powiodło jej się ponad wszelkie wyobrażenie. Dla tych doznań, dla niej, przeszedłby przez ogień. Żaden ocean, żaden sztorm, żadne niebezpieczeństwo na ziemi nie powstrzyma go przed powrotem do jej boku.

Wtulona w krzepiące, ciepłe ciało męża, Edwina pomyślała ze zdziwieniem, że w jej umyśle panuje całkowita jasność – podjęła decyzję i decyzja ta była ostateczna i nieodwołalna. Ten wieczór uwypuklił tylko, jak wiele osiągnęli, jak wiele już ich łączyło. Wbrew temu, co sama początkowo sądziła, jej namiętność wcale nie płynęła z chęci nowych doświadczeń i odkryć, lecz była potwierdzeniem jej zaangażowania..

Była ponownym zobowiązaniem do ochrony tego, co już zbudowali, i do dalszej walki o związek, jakiego Edwina pragnęła.

Wiedziała już, co musi uczynić – miała w głowie zarys planu działania. W ciągu ostatniego dnia wyrobiła sobie ogólne pojęcie o tym, jak zrealizować pierwszy i najważniejszy etap.

Jutro weźmie się do działania. Uczyni pierwszy krok, by zbudować małżeństwo, o jakim marzyła, małżeństwo, które da satysfakcję im obojgu.

Bez względu na wszystko inne, co przyniósł ten wieczór, wypełniało ją niemal namacalne, niezłomne postanowienie. Nie podda się – nigdy się nie podda i nie zrezygnuje ze swoich marzeń.

## Cztery

Następnego dnia Declan zwlekał z odejściem od stołu śniadaniowego, dopóki Edwina nie wsunęła się do pokoju.

Wymienili znaczące, intymne uśmiechy, po czym Edwina odwróciła się do kredensu. Gdy nakładała sobie na talerz śniadanie, Declan korzystał z okazji, by nacieszyć oczy widokiem jej zgrabnej postaci, odzianej w dzienną suknię z perkalu w biało-niebieskie prążki. Bładozłote włosy miała zebrane w węzeł na czubku głowy, z którego spływała kaskada loków okalających twarz i muskających kark.

Edwina odwróciła się, a wtedy Declan wstał i podsunął jej krzesło po swojej prawej stronie. Gdy usiadła, wrócił na miejsce u szczytu stołu.

Spojrzenie Edwiny powędrowało do licznych listów i liścików spiętrzonych obok jego talerza.

– Dostałeś jakieś wieści?

– Owszem. – Ruchem palca wskazał na korespondencję. – Przysłano mi większość raportów, na które czekałem. Po ostatnie będę musiał iść do biura, ale poza tym... – Pochwycił jej wzrok. – Wygląda na to, że wyjadę zaraz po obiedzie.

Przez kilka sekund patrzyła na niego obojętnie, po czym się skrzywiła.

– A niech to. Umówiłam się na obiad, a potem muszę wziąć w czymś udział i po prostu nie mogę się wymówić ani z jednego, ani z drugiego – wyjaśniła z przeproszającym spojrzeniem. Na twarzy Declana pojawił się wyraz przygnębienia. – Tak mi przykro. Pragnęłam tu być, żeby pomachać ci na pożegnanie, a teraz... – Uczyniła gest rezygnacji, po czym wzruszyła ramionami i ponownie skupiła uwagę na talerzu oraz kawałku grzanki, który smarowała dżemem. – Trudno, musisz jechać i już. Tymczasem ja nie potrafię nawet określić, kiedy dokładnie wrócę, bo udaję się poza miasto, do Essex.

Essex. Po przeciwnej stronie Londynu niż gościniec do Southampton; Declan nie mógł więc nawet zaplanować przystanku w drodze, by się z nią zobaczyć.

– Zatem to nasze ostatnie spotkanie do mojego powrotu – powiedział.

Kiwnęła głową.

– Niestety tak. Teraz muszę iść na poranną wizytę, a potem wybieram się na ten obiad razem z moimi siostrami.

Declan próbował sobie wmawiać, że rozczarowanie, jakie poczuł, z całym jego przytłaczającym ciężarem było zupełnie nie na miejscu. Edwina zachowywała się dokładnie tak, jak damie jej pokroju przystało się zachować w obliczu sytuacji, w jakiej ją postawił; nie rzuciła się na niego z pretensjami, nie płakała, nie robiła scen. Powinien być wdzięczny za jej zachowanie.

Nie miał żadnych podstaw, by sądzić, że czegoś w nim brakowało.

Stłamsił w sobie niezadowolenie, ale nie był w stanie się go pozbyć.

Siedział nad kawą, póki Edwina nie skończyła jeść tostów i pić herbaty. Wtedy podniósł się, wsunął korespondencję do kieszeni i odsunął jej krzesło. Razem wyszli do holu.

– Dobrze więc. – Edwina stanęła twarzą do męża i uśmiechnęła się niby wesoło. – Wygląda na to, że to nasze pożegnanie. – Chwyciła go za ramię, wspięła się na palce i pocałowała lekko w policzek. – Do zobaczenia, kochanie. Będę czekać na twój powrót.

I zanim zdążył odpowiedzieć, obróciła się na pięcie i energicznie weszła na schody.

Patrzył za nią z uczuciem bliskim niedowierzania. I już? To miało być jego wielkie pożegnanie? Nawet nie dostał porządnego całusa!

Spoglądał za nią, aż zniknęła na galerii, po czym otrząsnął się i przywołał do porządku błądzące myśli i nieproszone emocje. Czego się spodziewał? Pozostawiał żonę własnemu londyńskiemu życiu, a sam wyruszał w podróż. Jeśli miał być ze sobą szczery, musiał przyznać, że ciągnęło go w nieznane, gotów był na niebezpieczeństwo i czuł zew przygody.

Edwina też miała w sobie awanturniczą żyłkę.

– To prawda. Ale to przecież kobieta – powiedział Declan sam do siebie i przez głowę przemknął mu obraz jego kuzynki Catriny – Kat – która dowodziła własnym statkiem w rodzinnej flocie. Poprawił się w myślach: – To dama. Szlachetna dama.

Poza tym należała do niego i była mu teraz zbyt droga, by mógł znieść choćby myśl o narażeniu jej na jakiegokolwiek ryzyko.

On musiał wypłynąć na morze i wykonać powierzone mu zadanie, ona zaś musiała pozostać bezpiecznie tutaj.

Koniec pieśni.

Skinął na Humphreya i gestem ręki kazał mu przynieść swój płaszcz.

Minutę później ruszył do biura spółki Frobisher i Synowie, by wydobyć ze swych informatorów resztki wiadomości pozbieranych z cumujących w londyńskim porcie statków. Im więcej dowie się przed podróżą, tym mniej czasu będzie musiał spędzić w samym Freetown i tym szybciej wróci do żony i przekona się, jaki wpływ na ich małżeństwo wywiera przymusowa separacja.

Ze zdumieniem odkrył, że w głębi serca wcale się nie cieszy, iż pozostawia Edwinę w mieście.

\*\*\*

Edwina stała w oknie sypialni i patrzyła, jak Declan oddala się od domu. Gdy tylko skręcił za róg i zniknął jej z oczu, odwróciła się i wezwała swoją garderobianą, Wilmot, która pakowała ostatnie wybrane przez nią ubrania do małej

walizeczki.

– Szybko, pomóż mi zdjąć tę suknię.

Wilmot – surowo odziana kobieta w średnim wieku – pośpieszyła do niej.

– Jest pani tego pewna, milady? – spytała, zręcznie rozwiązując tasiemki jej sukni.

– Całkowicie. – Edwina strząsnęła z siebie poluzowaną suknię i dodała: – Nie martw się o mnie. Nic mi się nie stanie.

Wilmot towarzyszyła Edwinie od czasu jej debiutu w towarzystwie; była doskonałą służącą, ale miała dość bojaźliwy charakter.

– Skoro pani tak mówi, milady... – Była wyraźnie nieprzekonana, ale powstrzymała się przed dalszymi uwagami i pomogła Edwinie przebrać się w ciemnobrązową suknię podróżną.

Gdy tylko pozapinała czarne guziczki na plecach, Edwina odesłała ją z powrotem do pakowania, a sama podeszła do toaletki. W pośpiechu wrzuciła do dużej podróżnej torby szczotki, grzebienie i garść szpilek do włosów. Z szuflady wyjęła zwitek banknotów. Kilka wsunęła do małej sakiewki, którą włożyła do czarnej podróżnej torebki, zaś resztę schowała do kieszonki wszytej w podszewkę torby. Kiedy się odwróciła, Wilmot zapinała już paski walizki.

Edwina wsunęła troczki torebki na nadgarstek, poprawiła pasek torby podróżnej na ramieniu, wzięła kapelusz, który Wilmot trzymała już w pogotowiu, i gestem popędziła ją do drzwi.

– Pamiętaj, co ci mówiłam. Zejdź tylnymi schodami, to będziesz mogła wymknąć się z domu, podczas gdy ja będę rozmawiać z Humphreym w holu. Zobaczymy się za kilka minut.

Wilmot, nadal z wyrazem niepokoju na twarzy, podźwignęła walizkę, dygnęła i pośpiesznie wyszła.

Edwina po raz ostatni rozejrzała się po pokoju, po czym poszła w ślady garderobianej, zamykając za sobą drzwi.

Zeszła po głównych schodach. Kiedy Humphrey podszedł do niej w holu, uśmiechnęła się do niego wesoło.

– Humphrey, potrzebna mi będzie dorożka. Zajmij się tym, proszę.

– Oczywiście, milady. – Humphrey zawahał się, po czym dodał niepewnie: – Czy milady jest pewna, że nasz powóz się nie nada?

– Niestety tak – odparła Edwina, naciągając rękawiczki. – Na tę konkretną wyprawę niezbędna mi właśnie dorożka.

Humphrey skłonił się.

– Natychmiast ją wezwę, milady.

Poszedł wykonać polecenie, a Edwina pozostała w holu. Usłyszała przenikliwy gwizd; pół minuty później stukot kopyt poinformował ją, że dorożka czeka. Spokojnie wyszła z domu i zeszła na ulicę. Humphrey otworzył jej drzwi

i podał dłoń, gdy wsiadała do środka.

Edwina usiadła na czystym, całę szczęście, siedzeniu i skinęła mu głową.

– Dziękuję, Humphrey. Zobaczymy się niedługo.

Woźnica powiedział coś i kamerdyner popatrzył na nią.

– Adres, milady?

– Ach... Eaton Square.

Humphrey zatrzasnął drzwi i przekazał jej słowa fiakrowi. Po sekundzie powóz szarpnął i ruszył z miejsca.

Edwina poczuła, jak ogarnia ją podniecenie zmieszane z niepokojem.

– Wyruszam w podróż – szepnęła do siebie.

Gdy tylko dorożka zwolniła na rogu, podniosła się i zapukała mocno w klapkę osadzoną w suficie. Klapka otworzyła się i woźnica zapytał:

– Co tam?

– Kiedy skręci pan za róg, zobaczy pan kobietę w czarnej sukni, trzymającą walizkę. Proszę się przy niej zatrzymać – poleciała Edwina.

Woźnica zamilkł, po czym spytał:

– Pani posłucha... to chyba nie ucieczka i potajemny ślub, co?

– Nie, skądże.

– Aha. Szkoda. – Mężczyzna szarpnął cugłami i koń ruszył dalej. – Zawszem chciał przewieźć kogoś takiego.

Edwina zamknęła klapkę i opadła z powrotem na siedzenie. Szeroki uśmiech rozlał się po jej twarzy. Nie uciekała, by wyjść za kogoś nieodpowiedniego – przeciwnie, uciekała, by być z kimś jak najbardziej odpowiednim, kogo już poślubiła.

Nadal się uśmiechała, gdy powóz przystanął przy chodniku, gdzie – zgodnie z ustaleniami – czekała Wilmot. Choć Edwina otworzyła już drzwi i sięgnęła po walizkę, garderobiana wciąż rzucała spłoszone spojrzenia dokoła.

– Nie zamartwiaj się – uspokoiła ją po raz kolejny Edwina. – Pamiętaj tylko, żeby przekazać Humphreyowi te listy, które ci dałam. To bardzo ważne, podobnie jak to, żebyś wręczyła mu je dopiero o szóstej wieczorem.

Zostawiła wiadomości dla matki, sióstr, brata, Humphreya oraz pani King, by wiedzieli, dokąd się udała i kiedy spodziewa się wrócić. Biorąc pod uwagę jej zamiary, nie sądziła, by mieli powód się martwić; będzie równie bezpieczna jak w Londynie. Może nawet bardziej, bo przecież będzie z nią Declan.

– Nie zapomnę, milady. – Wilmot dygnęła po raz ostatni. – Nie wiem, jak pani sobie poradzi z włosami, milady, ale modłę się, żeby pani na siebie uważała.

Edwina uśmiechnęła się. Wilmot, choć strachliwa, była kochanym stworzeniem.

– Będę uważać. Wrócę, nim się spostrzeżesz, że mnie nie ma. A teraz wracaj szybko, zanim zauważą, że wyszłaś.

Wilmot jeszcze raz dygnęła, obróciła się na pięcie i pomknęła wąską alejką biegnącą na tyłach domów leżących wzdłuż Stanhope Street.

Edwina zatrzasnęła drzwi dorożki i z westchnieniem zadowolenia odchyliła się na oparcie. Zdołała wymknąć się z domu z całym bagażem i nikt poza wierną Wilmot nie zdawał sobie z tego sprawy.

Klapka otworzyła się i woźnica zapytał:

– Nadal na Eaton Square, pszepani?

Edwina otrząsnęła się z zamyślenia.

– Nie. Chcę jechać do biura firmy Higgins i Synowie przy Long Acre.

– Robi się. – Klapka się zatrzasnęła. Chwilę potem dorożka ruszyła z miejsca.

– Teraz – powiedziała do siebie Edwina – naprawdę wyruszyłam... wyruszyłam na prawdziwą przygodę.

\*\*\*

Kiedy zachód słońca zabarwił niebo na pomarańczowo, Declan wszedł po trapie „Kormorana”.

Zabawił w londyńskim biurze dłużej, niż zamierzał, bo jeden z jego ludzi spóźnił się z wieściami. A skoro tak, Declan postanowił zaczekać do ostatniej chwili na Stanhope Street w nadziei, że Edwina zdąży wrócić przed jego wyjazdem. Tak się jednak nie stało. Kiedy zaś dotarł do biura w Southampton, zastał kolejnych informatorów z ustnymi raportami o aktualnej sytuacji we Freetown.

Liczył, że gdzieś pośród tych wszystkich doniesień wpadnie na jakiś trop przyczyny, dla której czterech ludzi – kapitan Dixon, porucznik Hopkins, porucznik Fanshawe oraz Hillislythe – zniknęło bez śladu, lecz była to próżna nadzieja. Wieści z Freetown były zupełnie zwyczajne, nie zawierały nawet śladu wzmianki o niepokojach wśród tubylców.

Dotarłszy do burty „Kormorana”, przystanął i obrzucił wzrokiem port oraz las masztów, odcinających się na tle nieba zabarwionego pomarańczowym szkarłatem zachodzącego słońca. Ten widok zawsze zapierał mu dech w piersiach; niebo było tak piękne, a statki kołyszące się na kotwicy kryły w sobie obietnicę podróży, w którą miał wyruszyć, i odległych miejsc, które zobaczy, nim na powrót zawinie do tego portu.

Jego spojrzenie przesunęło się na wydęte żagle statków sunących majestatycznie z nabrzeża ku cieśninie Solent. Wkrótce „Kormoran” do nich dołączy.

Na końcu trapu czekał na niego z uśmiechem główny nawigator. Declan zszedł na pokład i skinął głową na jego energiczny salut. Sam miał na twarzy podobny, pełen oczekiwania uśmiech.



- Witam, panie Johnson. Jak statek?
- W doskonałym stanie i gotowy do drogi, kapitanie.
- Wyśmienicie.

Declan ponownie skinął głową, tym razem salutującemu sternikowi, którym był czekający przy kole krzepki Szkot nazwiskiem Elliot, po czym odsunął się na bok, by dwóch marynarzy mogło wciągnąć trap.

Operacją tą zawiadywał bosman Grimsby o wykrzywionych jak beczka nogach i muskularnej klatce piersiowej. Zasalutował Declanowi, szczerząc się w uśmiechu.

- Dobrze mieć pana znowu na pokładzie, kapitanie.

Przywitawszy się z bosmanem oraz z innymi członkami załogi, z których każdy pływał już pod jego dowództwem, Declan zrobił szybki obchód pokładu, odruchowo odnotowując wszystkie liny, żagle i osadzenie drzewców oraz sprawdzając, czy nic nie szwankuje. Wyglądało jednak na to, że wszystko jest w idealnym porządku; statek był gotowy do rejsu.

Wreszcie Declan wspiał się na nadbudówkę na rufie i dołączył przy sterze do swojego pierwszego oficera, Joshui Caldwell.

- Ruszamy w drogę, panie Caldwell?
- Tak jest, kapitanie. Statek gotowy, czeka na pańskie rozkazy.

Declan uśmiechnął się szeroko; on i Caldwell żeglowali razem od lat i te słowa stały się dla nich uświęconą tradycją.

- Dobrze być znowu na wodzie.
- Ja myślę. – Caldwell podniósł głos i polecił wciągnąć kliwer. – Wiatr mamy chyba dostatecznie silny, żeby wyjść z portu bez innych żagli.

Declan kiwnął głową. Odczekał, aż zrzucano cumy i statek odsunął się wolno od kei; pod uważną ręką Caldwell „Kormoran” odwrócił się dziobem do przodu i wsunął w kanał prowadzący z basenu portowego na morze. Dopiero wtedy Declan zapytał:

- Więc co Royd wymyślił tym razem?

Jego starszy brat nieustannie dłużył tu czy tam, próbując kolejnych udoskonaleń, by flota Frobisherów spisywała się jeszcze lepiej. Najbardziej lubił eksperymentować na własnym „Korsarzu”, należącym do Roberta „Trójzębie” oraz właśnie „Kormoranie”. Gdy tylko któryś z tych statków rzucał kotwicę w Aberdeen, można się było spodziewać, że Royd każe go przeciągnąć do suchego doku.

– Przemalował kadłub jakimś nowym lakierem; twierdzi, że stawia on mniejszy opór, więc statek będzie lepiej pruł wodę i zyska na prędkości. Zmienił też ustawienie steru, więc niech pan się na to przygotuje. Trzeba od nowa go wyczuć; reaguje trochę inaczej.

- Ale...? – podsunął Declan.

Caldwell skrzywił się.

– Niechętnie to przyznaję, ale „usprawnienia” Royda zazwyczaj działają. Niech pan chwyci za ster, sam się pan przekonaj, ale na moją głowę ten zmieniony kąt, czy co on tam zrobił, daje nieco większą kontrolę.

– Hm. Większa prędkość, lepsza kontrola. Nie mogę się uskarżać.

Caldwell zachichotał.

Declan uśmiechnął się szeroko i zostawił go przy sterze, a sam podszedł do balustrady. Popatrzył na oddalające się miasto, a myślami przeniósł się jeszcze dalej, aż do Londynu. Zastanawiał się, jakie plany ma Edwina na wieczór. Czy zostanie w domu i usiądzie przy kominku, myśląc o nim?

Czy będzie za nim tęsknić?

A może pójdzie z matką i siostrami na jakiś bal, gdzie obkoczą ją mężczyźni, których jej urzekająca uroda przyciągnie jak ćmy do ognia?

Zacisnął dłoń na balustradzie, aż pobieleły mu kłykcie. Spostrzegłszy to, rozluźnił mięśnie i powiedział sobie, że Edwinie może przecież ufać.

Odetchnął głęboko, próbując się skupić. Wiatr rozwiewał mu włosy, zmysły zalał kwaśny zapach soli i klucie morskiej piany. Kołysanie pokładu pod stopami niosło ze sobą ukojenie, było tak znajome, a jednak...

Czegoś brakowało. Nie w jego otoczeniu, lecz w nim samym.

Przez chwilę zastanawiał się nad pustką wypełniającą mu serce.

Odepchnął się od balustrady.

– Przejmę od ciebie ster, kiedy wypłyniemy na Solent – rzucił do Caldwell'a i zszedł na pokład główny.

To na nic – nie mógł przecież uciec od swoich uczuć. Nie rozumiał, jak do tego doszło, jak to możliwe, ale już tęsknił za Edwiną. Obecna chwila była dokładnym spełnieniem jego wyobrażeń o małżeństwie – on na morzu, ona w Londynie – ale teraz już wiedział, że tak nie może być. To się nie uda.

Nie miał jednak pojęcia, co mogliby na to poradzić ani czy mieli inny wybór.

W obecnej sytuacji musiało tak pozostać i już.

Doszedł do połowy długości statku, kiedy z zejściówki wyłonił się Johnson.

– Ach... Właśnie pana szukałem. – Nawigator przyłączył się do Declana. – Czy zmierzamy bezpośrednio do Freetown, czy chce pan rzucić kotwicę w którejś z okolicznych zatok?

Podobnie jak Declan, on także zawijał już do tej kolonii; znał wiele zatoczek po obu stronach Zatoki Kroo, w której leżał port Freetown i Keja Rządowa.

Nie przerywając przechadzki, Declan zaplótł ręce na plecach i zastanowił się nad swoją misją i otrzymanymi rozkazami.

– Jeszcze nie zdecydowałem – odparł po chwili. – Pomyślę o tym w ciągu najbliższych dni. A tymczasem niech pan nas ustawi na najszybszym możliwym kursie do Freetown.

Pierwszy oficer rozkazał wciągnąć grot. Declan i Johnson, stojący już prawie przy dziobie, odwrócili się, by popatrzeć, jak marynarze pod kierunkiem bosmana ciągną liny w taki sposób, by nie luzować nadmiernie żagla. Wiatr wypełnił płótno i „Kormoran” pomknął do przodu, po czym niemal od razu zwolnił i popłynął dalej statecznym, choć szybszym tempem.

Declan podniósł wzrok na trzy wyniosłe maszty. Jak wszystkie statki Frobisherów oddelegowane do „drugiej części działalności”, „Kormoran” był fregatą mogącą postawić maksymalną liczbę żagli.

– Gdy tylko wyjdziemy na wody Kanału, wciągamy wszystkie żagle i ruszamy tak szybko, jak pozwolą nam wiatry.

Johnson kiwnął głową.

– Sprawdzę wykresy i wyznaczę odpowiedni kurs.

– A tak na oko, ile powinna nam zająć żegluga?

– Jakież trzynaście dni, biorąc pod uwagę wszelkie udoskonalenia Royda – odparł po chwili namysłu Johnson. – Przeprowa z Aberdeen zajęła nam trzy godziny mniej, niż się spodziewałem.

Declan westchnął z udaną irytacją.

– Wygląda na to, że po powrocie muszę mu postawić kolejną skrzynkę whisky. Chodziło o niepisaną umowę, dzięki której Royd motywował braci do tego, by pozwalali mu eksperymentować na swoich statkach. Jeśli usprawieni się sprawdzały, wtedy kapitan danego statku – Robert, Declan czy Caleb – był mu dłużny skrzynkę jego ulubionej szkockiej whisky. Jeśli nie skutkowały żadnymi zmianami, to Royd ją stawiał. Gdy zaś efekty jego zmian były niekorzystne, musiał nie tylko przywrócić statek do poprzedniego stanu, ale jego dług się podwajał.

To, że zalegały u niego całe skrzynki whisky, stanowiło chlubne świadectwo jego przemyślności.

– Dziwne, że wybrał właśnie taki sposób. Nigdy nie słyszałem, by kiedykolwiek się upił.

Declan potrząsnął głową. Royd miał co prawda reputację wcielonego diabła, lecz nawet Robert, drugi w kolejności brat, nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział go choćby podchmielonego, o pijaństwie nie wspominając.

– To dla niego taka ukradkowa przyjemność; pozwala sobie tylko na bardzo małe ilości. – Declan parsknął śmiechem. – W takim tempie do śmierci nie zdąży wypić nawet tych zapasów, które zgromadził w piwniczce do tej pory.

Stali na dziobie, póki statek nie wyszedł na wody cieśniny Solent. Wtedy Johnson zniknął pod pokładem, Declan zaś poszedł na mostek.

Przejął ster w nasilającym się wietrze, który niósł im pierwszy powiew otwartego morza. Wieczorna fala pchała ich żwawo, a ponieważ wyszli z portu na końcu długiego szeregu statków, widzieli przed dziobem mnóstwo masztów i żagli. Od ociążałych jednostek Kompanii Wschodnioindyjskiej, przez chyże szkunery, po

mniejsze prywatne jachty, wszystkie żaglowce halsowały, próbując złapać wiatr i wcisnąć się w jakąś lukę między ścieśnionymi z przodu kadłubami, jednak niewiele z nich rozporządzało możliwościami „Kormorana”.

Declan wychodził z portu Southampton za sterami najróżniejszych statków więcej razy, niż potrafił zliczyć; wiedział, jaki wpływ na zmianę kierunku wiatru miały okoliczne wzgórza, znał różnice w sile, z jaką wiatr uderzał w marsle i bramsle, a z jaką w grota. Nie zdjął kliwra, ale w miarę jak nawigował między cięższymi, wolniejszymi jednostkami, stopniowo kazał wciągać coraz więcej żagli.

Wreszcie miał przed sobą wolną przestrzeń otwartych wód kanału La Manche. Podniósł wzrok, ocenił napięcie żagli i powiedział do stojącego obok Caldwell:

– Wciągnąć bombramzagle na fokmaszcie, grotmaszcie i bezanmaszcie. I poleć Grimsby’emu, żeby wciągnął sztaksle, jak wypłyniemy na ocean; niech sam zdecyduje kiedy.

Caldwell podszedł do balustrady, by przekazać rozkazy.

Żagle rozwijały się, chwytały wiatr, a statek zaczął niemal mknąć po falach. Declan trzymał ster mocną ręką.

Caldwell wrócił, pogwizdując przez zęby.

– Widać, że nam spieszno.

– To prawda – przyznał Declan. Obserwował żagle, zlecając poprawki w ich ustawieniu. Kiedy znaleźli się w samym Kanale, wydał jeszcze kilka poleceń, po czym skręcił kołem, a statek obrócił się szerokim łukiem i skierował dziobem na południowy zachód w kierunku głębszych, ciemniejszych wód Atlantyku.

Usatysfakcjonowany Declan oddał ster pierwszemu. Caldwell chwycił gładkie drewno i przejął kontrolę, po czym spytał:

– I jak, czuje pan różnicę?

– Tak, niech go diabli – potwierdził Declan po chwili zastanowienia. – Jest zdecydowanie lepiej; steruje się bardziej precyzyjnie.

– Właśnie tak. – Caldwell pokiwał głową i rzucił pełne znawstwa spojrzenie na reje. – A to co? Żadnych trumli i topsli? Myślałem, że zależy nam na prędkości.

– Zachowałem je na pełny ocean. – Declan roześmiał się. – Nie wciągaj ich za wcześnie, bo połamiesz mi maszty.

Caldwell burknął coś pod nosem.

Declan zbiegł po schodkach na główny pokład. Wciąż uśmiechnięty, na chwilę przystanął przy balustradzie. Znajdował się teraz w najszerszym miejscu statku; patrząc do przodu, widział, jak kadłub rozcina fale. Wiedział z doświadczenia, jak powinien wyglądać kilwater za rufą przy takiej fali, takim wietrze i dobrze ustawionych żaglach. Zadowolony, że wszystko idzie jak należy, odepchnął się od balustrady, otworzył drzwi zejściówki rufowej i szybko zszedł po

stromych schodkach, po czym zanurzył się w korytarz prowadzący do kabin na rufie.

Rozmowy z załogą i sterowanie uspokoiły go, choć nadal czuł w sobie pustkę. Trudno, musiał poczekać na powrót do Londynu i do Edwiny.

Teraz postara się jak najszybciej dotrzeć do Freetown, zdobyć informacje, na których zależy Wolverstone'owi i Melville'owi, i pogna z powrotem do domu.

Kabina kapitańska zajmowała całą szerokość rufy. Zanim do niej doszedł, wpadł na Henry'ego, ochmistrza statku.

– Witaj, Henry! Piękny wieczór na początek nowej przygody.

– Tak, panie kapitanie. – Henry rozpromienił się. – Bez dwóch zdań. Miło mieć pana znowu na pokładzie. – Otworzył Declanowi drzwi do kabiny i przepuścił go ruchem ręki. – Chciałem spytać, czy czegoś jeszcze pan potrzebuje. Jeśli nie, przygotuję kolację.

Declan stanął na środku kabiny i głęboko odetchnął. W tym pomieszczeniu spędził więcej nocy niż gdziekolwiek indziej, nawet w swoim pokoju we Frobisher Manor.

Duże okna biegnące przez całą szerokość rufy ukazywały spieniony kilwater za statkiem, ciemniejące wieczorne niebo nad cynowoszarzym morzem i niewyraźny zarys klifów południowej Anglii daleko na horyzoncie. Declan spojrzął na prawo, gdzie stało przytwierdzone do podłogi duże kapitańskie biurko, otoczone szafkami na mapy oraz regałami na książki pokładowe. W przeszklonej szafce przymocowanej do boazerii mieścił się sekstant i inne przyrządy.

Cała kabina wyłożona była dębowymi panelami. Rozsunięte w tej chwili zasłony uszyto z purpurowego aksamitu.

Wszystko wyglądało jak należy. Declan spojrzął przelotnie na lewą stronę kabiny, gdzie w rogu wbudowano łóże z baldachimem, a bliżej drzwi zainstalowano umywalkę i ubikację.

Już miał odwrócić się do Henry'ego, by upewnić go, że nic mu nie potrzeba, kiedy nagle do jego świadomości dotarło coś, na co nie zwrócił dotąd uwagi. Marszcząc brwi, wskazał duży kufer podróżny stojący w nogach łóżka obok jego własnego, mniejszego i wyraźnie używanego.

– A to co?

Gdy tylko wypowiedział te słowa i zobaczył wyraz zdziwienia na twarzy ochmistrza, ogarnęło go niejasne przeczucie.

Henry popatrzył na kufer.

– To nie pana kapitana?

– Nie. Skąd się tu wziął?

– Dostarczono go na statek dziś po południu. Tragarze mówili, że to pana i że mamy go wstawić do pana kabiny.

Declan sam nie wiedział, co czuje. Targały nim rozmaite emocje, zupełnie

wytrącając go z równowagi. Wbił spojrzenie w kufer.

To niemożliwe. Nie zrobiłaby tego.

Widział, że skrzynia ma skomplikowany zamek, który niełatwo byłoby otworzyć, ale teraz nie wydawała się zamknięta. Przeszedł przez kabinę, odsunął własny kufer, po czym nachylił się, uważnie przyjrzał zasuwce i wreszcie jednym ruchem ją otworzył. Podniósł wieko i zajrzał do środka. Edwina popatrzyła mu prosto w oczy.

Nie miał pojęcia, co wyczytała w jego twarzy, lecz podbródek wysunęła uparcie do przodu, a jej mina była pełna determinacji. Jej pierwsze słowa ani trochę go nie zaskoczyły:

– Powiedz, proszę, że jesteśmy za daleko od portu, by zawrócić.

Declan podniósł wzrok i spojrzał przez okna na unoszącą się delikatną morską mgłę, która zaczynała przesłaniać ostatni widok Anglii. Popatrzył na żonę, a potem z powrotem na ocean.

Nawet nie wiedział, czy ma ochotę zakląć.

## Pięć

Declan przecesał włosy rękami, po czym przystanął i wbił w Edwinę wzrok pełen frustracji i zniecierpliwienia.

– Powiniennem cię wysadzić w Bordeaux. Wynająć strażę i odesłać do domu.

W odpowiedzi obrzuciła go spojrzeniem, którego nie przebiłaby nawet jego matka. Mówiło ono wyraźnie, że Edwina nie rozumie, czemu Declan marnuje czas na udawanie.

– Doskonale wiesz, że tego nie zrobisz. Jeśli naprawdę obchodzi cię moje bezpieczeństwo... – podniosła rękę, uprzedzając jego zapewnienia – ...a wiem dobrze, że tak właśnie jest, to oczywiście musisz zatrzymać mnie przy sobie.

Usadowiona przed biurkiem na jednym ze składanych krzeseł dla gości, spokojnie wróciła do jedzenia zupy, którą Henry – dowiedziawszy się, że cały dzień nie jadła – pospiesznie jej przyniósł.

– Doskonała ta zupa. Spodziewałam się raczej cienkiej polewki i sucharów. – Skinęła głową w kierunku miski stojącej przed fotelem Declana. – Zjedz swoją, zanim ostygnie.

Declan od dobrych trzydziestu minut pieniał się, usiłując wyperswadować żonie jej szalony pomysł, jednak nie na wiele się to zdało. Edwina była zdecydowana. Nie potrafił na nią wpłynąć.

Podobnie jak jego ojciec nie potrafił wpłynąć na matkę, kiedy wbiła sobie coś do głowy. Czasem kobietom zwyczajnie zacina się ster i nie da się ich zawrócić – ojcu zdarzało się mruknąć te słowa pod nosem i Declan w zupełności się z tym zgadzał.

W pełni świadom, że oznacza to swego rodzaju kapitulację, okrążył biurko i opadł na swój fotel. Zupa pachniała zachęcająco. Podobnie jak Edwina. Jej kosztowne pachnidło, aromat kapryfolium i róż z jej mydła oraz pachnące słońcem włosy składały się na szczególną woń, którą z nią utożsamiał; drażniła jego zmysły i kusiała.

Podniósł łyżkę i zajął się zaspokojeniem bezpieczniejszego z pragnień.

Przyziemna czynność jedzenia zupy pozwoliła mu się uspokoić, nabrać dystansu i ocenić sytuację. Zdał sobie sprawę, jak wiele jeszcze nie wie. Spojrzał na kufer, w którym przybyła Edwina.

– Skąd to wzięłaś? – spytał.

Kufer był nowy, a w ozdobnym metalowym okuciu wokół górnej krawędzi kryły się sprytne otwory wentylacyjne. Zatrzask stanowił zręczne dzieło inżynierii: Edwina mogła otworzyć kufer od środka. Przy jej niskim wzroście i drobnej figurze był on dostatecznie duży, by mogła się wygodnie położyć; umościła sobie w środku poślanie z ubrań i wyglądało na to, że było jej wcale przytulnie.

– Mamy w Long Acre rzemieślnika, który od dawna obsługuje całą rodzinę. Bardzo mu się podobało to wyzwanie. Miał już gotowy kufer, więc musiał tylko wywiercić otwory i zainstalować zamek.

– Kiedy zdążyłaś to wszystko załatwić?

– Dziś rano. Wyszłam z domu zaraz po tobie i pojechałam prosto na Long Acre.

Declan zmarszczył brwi.

– I służba zwyczajnie pomachała ci na do widzenia?

– Nie wiedzieli o moich planach, ale się nie przejmuj. Zostawiłam listy dla Humphreya i pani King, a także dla mojej matki, sióstr i brata, więc wszyscy wiedzą, że pojechałam do Southampton i płynę z tobą.

Wzięła pod uwagę każdy szczegół – w tym, jak podejrzewał, jego sprzeciwi.

Pukanie do drzwi zapowiedziało przybycie Henry’ego w obstawie dwóch chłopców okrętowych – Ryżego i Cama – z resztą obfitego posiłku.

Declan odchylił się na oparcie i pozwolił, by Henry uprzątnął talerze do zupy i rozstawił drugie danie. Zazwyczaj jadał w mesie z załogą, ale od czasu do czasu musiał podejmować dygnitarzy, szczególnie kiedy zawijał do jakiegoś portu. Henry dysponował więc elegancką zastawą i czarami do wina, które teraz wystawił. Declan zastanowił się przelotnie, co jego załoga sądzi o obecności Edwiny i o tym, jak wkradła się na pokład. Sądząc po błyszczących oczach i promiennych uśmiechach Henry’ego oraz chłopców, kiedy odpowiadali na jej uwagi i pochwały, jego wilki morskie nie będą miały szans w starciu z księżęcą córą, od kołyski uczoną czarowania wdziękiem.

Nie widział jeszcze, by zdarzyło jej się popełnić jakiś błąd w relacjach z innymi ludźmi, i wątpił, by teraz miało do tego dojść. Pod tym względem zdawała się obdarzona jakimś szóstym zmysłem; potrafiła w ciągu kilkuminutowej zdawkowej rozmowy sprawić, by rozmówca zaczął postrzegać ją jako przyjaciółkę i powiernicę. Więcej nawet – wszyscy, których z taką łatwością sobie zjednywała, wydawali się ulegać jej urokowi i na wyścigi starali się sprawić jej przyjemność.

Kiedy Henry i chłopcy wyszli, zachowując się tak, jakby łaskawe podziękowanie Edwiny stanowiło ukoronowanie ich dnia, Declan sięgnął po karafkę, nalał do kielichów wina i zaczął je sączyć.

Edwina podniosła sztućce i wzięła się do jedzenia. Przyglądał się jej; niemal widział, jak układa w głowie pytania, którymi już za chwilę go zasypie.

Odstawił kielich, wziął nóż i widelec, wbił je w doskonale upieczoną wołowinę i począł się zastanawiać, co teraz.

Ze zdumieniem odkrył, że w jego głowie nie tylko zrodziła się, ale zapuszczała coraz głębsze korzenie niepokojąca, zgoła nieoczekiwana myśl.

Po chwili, nie podnosząc wzroku, zapytał:

– Nie wrócisz sama, prawda? Nawet jeśli miniemy w drodze jakiś statek pod



dowództwem kogoś, komu mógłbym zaufać, nie zgodzisz się przesiąść i popłynąć do domu.

– Nie – odparła krótko, także nie unosząc oczu znad talerza. Po chwili ciszy dodała: – Jestem tu, bo chcę odbyć z tobą tę podróż. Chcę poznać i dzielić twoje codzienne życie, dowiedzieć się, jak mogę cię wesprzeć. W Londynie byłoby to niemożliwe.

Kiedy nie odpowiedział, spojrzała na niego przelotnie; poczuł na twarzy jej wzrok niczym dotknięcie. Ale potem znowu skupiła uwagę na jedzeniu.

Po przerwie mówiła dalej:

– Wiem, że może jeszcze tego nie pojmujesz, ale to ważne, żebyś udała się z tobą w tę podróż... Ważne dla mnie, dla nas obojga. A już na pewno dla naszego małżeństwa. Może nie zawsze będę mogła wyruszać z tobą na morze, ale kiedy mam taką możliwość, muszę to robić.

Declan podniósł wzrok i zobaczył, jak Edwina wzrusza lekko ramionami.

– Ten rejs to twoja pierwsza podróż od naszego ślubu, a skoro mówiłeś, że nie wiąże się z żadnym prawdziwym niebezpieczeństwem... – Po sekundzie uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. – To chyba prawda? Rzeczywiście nic nam nie grozi? A może tak tylko powiedziałeś, żeby uśmierzyć żonine obawy?

Wytrzymał jej spojrzenie przez ułamek sekundy, po czym skrzywił się nieznacznie.

– To, co ci powiedziałem, było realistyczną oceną sytuacji. Jakikolwiek faktyczne ryzyko jest bardzo nieprawdopodobne... ale oczywiście nigdy nie można go wykluczyć.

Spojrzała na niego badawczo. Na jej czole z wolna pojawił się mars.

– A jaki jest cel tej wyprawy? Nie przypominam sobie, żebyś mi o tym wspominał.

Declan popatrzył w niebieskie oczy Edwiny i w głowie zaczęła mu się formować nieoczekiwana, bardzo nietypowa myśl.

Właściwie czemu nie?, zadawał sobie pytanie. Może to niekonwencjonalne, ale Frobisherowie słynęli przecież z niekonwencjonalności, a jej rodzina mogłaby im udzielać lekcji w tej dziedzinie.

Fakt, wiązałoby się z tym pewne ryzyko, ale mógł je zminimalizować, a potencjalne korzyści były ogromne.

W głębi serca był poszukiwaczem przygód – lecz któż by przypuszczał, że samo serce również mogło przeżywać własne przygody? Jeśli ktokolwiek miał się zdecydować na coś tak szalonego, to tym kimś powinien być właśnie on.

Edwina czekała cierpliwie, wyraźnie przeczuwając, że Declan próbuje podjąć jakąś ważną decyzję. Nie naciskała nawet, kiedy cisza zaczęła się przeciągać.

Wreszcie Declan oświadczył:

– To, co ci teraz powiem, to tajemnica zawodowa.

Nie odrywając wzroku od jej twarzy, opowiedział o relacji Frobisherów z brytyjskim rządem.

Nie zdziwiło go, że Edwina uznała to za intrygujące. A nawet ekscytujące.

– Zatem ta podróż...? – spytała z błyszczącymi oczami.

– Nie chodzi o handel. – Declan nakreślił ogólnikowo cel swojej misji. Nieco przerażało go to, co właśnie robił, ale śmiało podążał nowo wytyczonym kursem.

Rozłąka z Edwiną trwała zaledwie kilka godzin, lecz Declan zdążył się już zorientować, że musi zmienić małżeńską strategię, którą jeszcze do niedawna uważał za oczywistą. Działania Edwiny otworzyły przed nimi nieoczekiwane możliwości, a przecież żadna przygód dusza Declana zawsze chętnie zapuszczała się na nowe ścieżki, choćby po to, by przekonać się, dokąd prowadziły.

W tym zaś przypadku mogły się z tym wiązać znaczące i wielorakie korzyści.

Nim Henry i chłopcy wrócili, by uprzątnąć drugie danie i podać talerz z serami, owocami oraz orzechami, zdążył opowiedzieć Edwinie wszystko, co wiedział na temat sytuacji we Freetown.

Nagle wyczuł zmianę w ruchu statku.

– Kto stoi za sterem? – spytał, patrząc na Henry’ego.

– Pan Johnson.

Declan kiwnął głową.

– Przekaż mu, że podejść później, by sprawdzić żagle.

– Tak jest, panie kapitanie.

Gdy tylko drzwi się zamknęły za ochmistrzem, Edwina spytała:

– A co wiesz o tych ludziach? O gubernatorze Holbrook, majorze Eldridge’u i wiceadmirał Decke?

Declan zawahał się, niepewien, o co jej chodzi.

– Czy są żonaci? – uściśliła Edwina. – Czy ich żony mieszkają tam z nimi? Jakiego pokroju to ludzie?

Teraz już rozumiał.

– Holbrook to dość przeciętny typ gubernatora: jowialny, ale w głębi serca to biurokrata, lubi, żeby wszystko się zgadzało. Jest żonaty, jak na gubernatora przystało, i o ile wiem, małżonka mieszka z nim we Freetown. Widziałem go tylko raz, na służbowej kolacji dla samych mężczyzn. Jego żony nigdy nie spotkałem.

– I nic o niej nie słyszałeś?

Declan popatrzył jej w oczy.

– Mężczyźni zazwyczaj nie plotkują o żonach innych mężczyzn, a już na pewno nie podczas spotkań w interesach.

– Jakie to dziwne. – Edwina uniosła brwi. – Kobiety cały czas plotkują o swoich i cudzych mężach.

Declan parsknął śmiechem, po czym wrócił do tematu.

– Zdaje mi się, że Eldridge’a nigdy nie widziałem. Za moją ostatnią bytnością we Freetown nie było go tam, a w każdym razie nie zajmował stanowiska dowódcy. Co do wiceadmirała Deckera, jest to stary, zgrzybiały kawaler, ale nie słyszałem, by można mu było cokolwiek zarzucić, nie więcej niż pozostałym. Decker zna mnie i moją rodzinę; nie pochwała naszej działalności, choć mam wrażenie, że chodzi bardziej o fakt, iż ktoś, kto w jego oczach jest amatorem, dysponuje lepszymi statkami niż marynarka.

Po krótkiej przerwie ciągnął:

– Wątpię jednak, byśmy na niego wpadli podczas naszego pobytu. Będę też ze wszystkich sił starał się unikać Eldridge’a.

– Bo Wolverstone i Melville im nie ufają?

– Częściowo. Ale skoro mamy tam być tylko przez kilka dni, nie ma powodu, żeby ściągać na siebie ich uwagę. Po co podejmować niepotrzebne ryzyko. Holbrooka niestety nie unikniemy. Poinformują jego kancelarię, gdy tylko zawiniemy do portu. Lepiej złożyć mu wizytę, chyba że zabawimy we Freetown krócej niż jeden dzień; inaczej wzbudzimy tylko jeszcze większe zainteresowanie.

Jedząc figę, Edwina pozwoliła sobie pofolgować przez chwilę zadowoleniu, które odczuwała; odniosła znaczące zwycięstwo. Teoretycznie była pasażerką na gapę, lecz po pierwszym wstrząsie i nieuniknionym wybuchu gniewu Declan uspokoił się i pogodził z rzeczywistością. Milcząco zaakceptował jej obecność i nawet wtajemniczył w swoje poczynania, co było dla Edwiny wielkim tryumfem. Co więcej, z radością odkryła, że ich wyprawa to nie nudna podróż w interesach, lecz tajna misja w służbie królestwa.

Ledwo wierzyła we własne szczęście. Zawsze pragnęła przeżyć jakąś przygodę, a ta zapowiadała się wręcz idealnie: była w niej intryga i egzotyka, lecz raczej nie groziło im fizyczne niebezpieczeństwo. I co najlepsze, za towarzysza miała swego męża.

Wprost wymarzone warunki do scementowania ich związku.

Zwracając myśli ku czekającemu ich zadaniu, zaczęła się głośno zastanawiać:

– Czy we Freetown istnieje jakieś... no, jakieś towarzystwo? – zapytała. – To jest, czy panie zbierają się na herbatki, wydają proszone kolacje i tak dalej?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, ale zakładam, że tak. Kolonia nie obfituje w inne rozrywki.

– W takim razie możemy chyba mieć pewność, że jest tam również jakaś śmietanka towarzyska.

– Jakie to ma znaczenie?

– A takie, że jeśli zaginęło kilku dżentelmenów, i to z armii, marynarki, a ostatnio z kancelarii gubernatora, to panie na pewno będą coś o tym wiedziały.

Albo przynajmniej będą miały na ten temat jakieś opinie. I naturalnie gdy tylko dam do zrozumienia, że się nudzę i potrzeba mi rozrywki, zaczną na wrywki opowiadać mi wszelkie możliwe plotki.

Declan zmarszczył czoło i popatrzył na nią badawczo.

– Skąd ta pewność, że tak im będzie zależało, by cię zabawić?

Edwina uśmiechnęła się szeroko.

– Jestem córką księcia. Szczerze wątpię, by wiele takich kręciło się po Freetown.

Declan zastanowił się, po czym kiwnięciem głowy przyznał jej rację. Teraz już rozluźniony, rozsiadł się w fotelu i zaczął rozgryzać orzech. Po chwili znowu zwrócił się do Edwiny:

– Zastanawiałem się, jak wytłumaczyć Holbrookowi swoją obecność we Freetown. I nie tylko jemu, w końcu „Kormoran” raczej rzuca się w oczy. Gdy tylko zobaczą go w porcie, wiele osób dowie się, że jestem w mieście, i pierwszym pytaniem, jakie zadadzą, będzie „Dlaczego?”. Zazwyczaj odpowiedziałbym, że chodzi o interesy: jakiś ładunek albo umowę do wynegocjowania. Ale przedsiębiorców jest tu bardzo niewiele, więc niedługo potrwa, zanim ludzie się zorientują, że wprowadziłem ich w błąd. A kiedy na dodatek zaczną wypytywać o tych zaginionych... Potrzebny mi wiarygodny pretekst, który wyjaśni moją... naszą... obecność.

– To powinno być dość proste teraz, kiedy mowa jest o naszej obecności, a nie tylko o twojej – odparła Edwina, patrząc mu w oczy.

Wytrzymał jej spojrzenie.

– Teraz, skoro tu jesteś – domyślił się – i skoro nadal jesteśmy na etapie nowożeństwa, moglibyśmy powiedzieć, że to część naszej podróży poślubnej.

Edwina kiwnęła głową i spytała:

– Tylko dokąd planujemy się wybrać? I czemu postanowiliśmy zatrzymać się we Freetown, które, sądząc po twoim opisie, nie należy do miejsc, gdzie zakochane pary udają się w poszukiwaniu romantyzmu?

– Rzeczywiście. Ale jeśli płynęlibyśmy, dajmy na to, do Kapsztadu... może z wizytą do jakichś znajomych twojej rodziny... i jeśli usłyszałbym jakąś pogłoskę, na przykład o znalezieniu nowej żyły złota we Freetown, to nikt by się nie dziwił, gdybyśmy przy okazji zawinęli tam na kilka dni, żeby zgłębić sprawę. – Declan zastanowił się, po czym kiwnął głową. – Po londyńskim porcie krąży wiele takich plotek, więc nikt chyba nie będzie nic podejrzewał.

– Nadal będziesz musiał uważać, wypytyjąc o zniknięcie tych ludzi.

– To prawda. Ale skoro jesteśmy w podróży poślubnej, to nikogo nie zdziwi, jeśli będę chciał zajrzeć do kogoś z wizytą, może do znajomego ze szkoły czy uniwersytetu, żeby przekazać mu wiadomość od rodziny czy nawet wypytać o te pogłoski. – Wziął kielich i napił się wina, po czym dodał: – Ale ty będziesz musiała

unikać wypytywania o zaginionych. Byłoby dziwne, gdyby rozniosła się wieść, że oboje rozpytujemy o te same osoby.

Edwina także wzięła swój kielich.

– W ogóle nie zamierzam o nie pytać. Nie będę musiała. Jeśli ktoś zaginął, to na pewno będzie się o tym mówiło na mieście, a jeśli dobrze się uwinę, to miejscowe damy same z chęcią wyjawią mi wszystko, co wiedzą.

Twarz Declana wyrażała powątpiewanie, czy damy będą wiedziały cokolwiek użytecznego, ale szybko się przekona, jak bardzo się mylił.

Oboje w milczeniu wypili po łyku zaskakująco dobrego wina.

Pomimo swego zdecydowania, by wziąć udział w wyprawie, w głębi serca Edwina wcale nie była pewna reakcji Declana. Teraz wyczuwała, że zaakceptował wreszcie jej towarzystwo w podróży, ale jakby nie do końca zdążył oswoić się z jej obecnością. No cóż, kości zostały rzucone, wyruszyli razem z tajną misją i oboje musieli przywyknąć do nowej sytuacji.

Declan dopił wino i spojrzał na kielich, który Edwina wciąż trzymała w dłoniach.

– Muszę iść na pokład. Wolisz zostać tutaj czy też...?

Edwina ożywiła się i odstawiła czarę.

– Z radością zaczerpnę świeżego powietrza.

Declan parsknął śmiechem i podniósł się z fotela.

– Przy tym wietrze będzie chłodno. Przyda ci się szal, i to ciepły, jeśli taki wzięłaś.

– Tak się składa, że owszem.

Wstała i podeszła do kufra. Declan ruszył za nią. Podniósł ciężkie wieko i przytrzymał je, kiedy szperała w środku.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś; że ukryłaś się w kufrze.

Edwina znalazła w końcu dziergany szal i się wyprostowała.

– To był jedyny sposób, jaki potrafiłam wymyślić, by dostać się na statek bez cudzej pomocy.

Declan zamknął wieko. Edwina zarzuciła szal na ramiona i spytała:

– A kapelusz?

– Nie zabieraj, o ile nie chcesz go stracić. Wkrótce wpłyniemy na wody Atlantyku i wiatr przybierze na sile. – Odczekał, aż zawiązała końce szala, po czym wyciągnął rękę.

– Jest pani gotowa, pani Frobisher?

Wsunęła palce w jego dłoń i uśmiechnęła się promiennie.

– Przy tobie, drogi mężu, zawsze.

Declan nie mógł powściągnąć uśmiechu. Poprowadził żonę do drzwi, otworzył je i puścił ją przodem.

\*\*\*

Edwina doszła do wniosku, że pokład statku takiego jak „Kormoran” to niezwykle ekscytujące miejsce.

Razem z Declanem dokonała obchodu głównego pokładu, podczas którego przedstawiono jej wszystkich napotkanych członków załogi. Wreszcie wspięli się na mostek, gdzie znajdowało się ogromne koło sterowe, i Declan przedstawił jej nawigatora, pana Johnsona, po czym zastąpił go za sterem.

Johnson, wyraźnie zadowolony, został na chwilę, by porozmawiać, po czym zszedł pod pokład na wieczorny posiłek.

Edwina pozostała u boku Declana, trzymając się balustrady obok wielkiego koła; rozejrzała się po całym statku i popatrzyła na wznoszące się wysoko maszty oraz ogromne, przypominające latawce żagle. Wreszcie, spoglądając dokoła, poczuła otaczającą ją potęgę natury, ogrom nieba i morza, siłę wiatru i fal. W tym momencie zrozumiała, dlaczego Declan nigdy nie zrezygnuje z żeglugi, nigdy nie wyrzeknie się obcowania z żywiołem.

Po jakimś czasie, zadowolona, wyciągnęła dłoń i położyła ją na sterze, nieco poniżej ręki Declana. Dzięki napięciom i wibracjom drewna – był to efekt siły napierającej na płetwę sterową – ze zdumieniem i zachwytem poczuła potęgę morza falującego pod kadłubem.

Declan spojrział na nią z ciekawością, mrużąc oczy przed chłostaniem wiatru.

– Zapomniałem spytać: to twój pierwszy raz na morzu?

Pokręciła głową, rozkoszując się podmuchami, które szarpały jej loki.

– Julian uwielbia żeglować. Kiedy byliśmy młodszy, jeszcze przed śmiercią George’a, zabierał mnie na wycieczki swoim jachtem. Pływaliśmy po Morzu Irlandzkim. – Wystawiła twarz do wiatru. – Sądziłam, że tamto było ekscytujące, ale to... to jest ucieleśnienie potęgi natury.

Declan słyszał zapał w jej głosie, widział podziw na jej twarzy – gdyby już nie był w niej zakochany, zrobiłby to w tej chwili.

Stali tak obok siebie. Edwina sprawiała wrażenie zupełnie zadowolonej; przypatrywała się, obserwowała, chłonęła.

Po jakimś czasie spytała bez ogródek:

– Rozumiesz, dlaczego musiałam to zrobić, prawda?

– Tak – odparł zgodnie z prawdą po krótkiej chwili wahania.

Jej plan był zuchwały, ale jednocześnie przemyślany i zręcznie wykonany. Declan zrozumiał też, co było nadrzędnym celem działania Edwiny: scalenie ich związku. On także tego pragnął, miał nadzieję osiągnąć dokładnie ten sam cel.

Edwina uczyniła to, co uczyniła, ponieważ wierzyła, że nie ma wyboru – że to konieczne dla ich wspólnego dobra. Uczyniła to, ponieważ była zaangażowana w ich związek duszą i ciałem.

A swoim działaniem prowokowała go – być może nie celowo, ale na to

wyszło – by dowiódł równego oddania; ich małżeństwu, jej samej i temu, co przyniesie im przyszłość.

Jak mógłby odmówić podjęcia tego wyzwania?

Edwina nie powiedziała już nic więcej, ale Declan uświadomił sobie, że tak jak on zaczynał rozumieć ją, tak ona coraz lepiej rozumiała jego. Już teraz zdawała się wyczuwać, kiedy może naciskać, a kiedy lepiej pozwolić mężowi samemu wyciągnąć wnioski.

I kiedy nie muszą nic mówić, by zbliżyć się do siebie nieco bardziej.

Wreszcie Declan przełamał czar, jaki rzucał na nich wieczór, morze oraz gwiazdy.

– Muszę pozostać za sterem, póki nie wypłyniemy na otwarty Atlantyk – powiedział. – Będziemy zmieniać kurs na południe-południowy zachód, a do tego ustawienie żagli. Może mocno kołysać. Jeśli chciałabyś zejść do kabiny, to Grimsby – tu kiwnął głową na bosmana, który stał na pokładzie pod nadbudówką – zaprowadzi cię na dół.

Edwina nachyliła się i spytała, przekrzykując wiatr i odgarniając z twarzy rozwiane włosy:

– Czy będzie ci przeszkadzać, jeśli zostanę?

Declan pomyślał o krzątaninie podczas zmiany kursu, do której sam dobrze już przywykł; mogła jej się spodobać.

– Nie, tylko nigdzie nie odchodź, zostań tu przy sterze i obiecaj, że będziesz się trzymać balustrady.

Edwina błysnęła w uśmiechu zębami.

– Obiecuję.

Tak więc pozostała u jego boku, kiedy „Kormoran” przedzierał się przez skotłowane fale przy ujściu Kanału, a potem wypłynął na głębsze wody Atlantyku. Declan zarządził zmianę żagli i Caldwell – który stanął po jego drugiej stronie – zaczął przekazywać te słowa Grimsby’emu, Elliotowi i Johnsonowi, z których każdy miał pod swoją pieczęcią jeden z trzech masztów na głównym pokładzie. Przez dobre dwadzieścia minut w powietrzu krążyły rozkazy i polecenia, aż przestawiono i naciągnięto wszystkie żagle.

Tymczasem „Kormoran” co raz to szarpał i zwalniał, szarpał i zwalniał. Edwina zgodnie z obietnicą trzymała się balustrady; Declan z ulgą zauważył, że miała dość rozsądku, by chwycić się jej obiema rękami.

W końcu statek ponownie ruszył – pomknął niemal – po falach. Prędkość mieli dobrą, kurs stały i na głównym pokładzie zapadła cisza, a wszystkie oczy skierowały się na skrzypiące, układające się do wiatru żagle.

Stojący dalej na mostku Caldwell podniósł brwi i spojrzał na Declana.

– Idziemy na całość?

Declan poczuł na sobie pytające spojrzenie Edwiny. Uśmiechnął się szeroko.

– Panie Grimsby: trumsel, jeśli łaska.

– Tak jest, kapitanie!

Po kilku sekundach trumsel na bezanmaszcie rozwinął się, zafurkotał i nabrał wiatru.

– Wielkie nieba – westchnęła Edwina, odgarniając ręką włosy z czoła, by spojrzeć w górę, gdzie drugi najwyżej postawiony żagiel rozkwitał bielą na tle czarnego nieba.

Declan uśmiechnął się, widząc zachwyty na jej twarzy. A kiedy spojrzała na niego, powiedział bezgłośnie:

– Poczekaj chwilę.

Statek ustabilizował się, a wtedy Declan zaordynował trumsele na grotmaszcie i fokmaszcie.

Gdy rozkaz wykonano i statek oraz ster dopasowały się do zmiany, kazał rozwinąć topsle na wszystkich trzech masztach.

– Boże drogi! – Edwina patrzyła w górę z wyrazem otwartego podziwu na twarzy. – Co za niewiarygodna wysokość! Nie umiem sobie nawet wyobrazić, jakie to uczucie wspiąć się tak wysoko.

Choć zajęty wydawaniem poleceń, Declan pojął, że obserwowała marynarzy zręcznie wspinających się po drzewcach, poprawiających olinowanie i napinających żagle zgodnie z przekazywanymi od niego poleceniami. Uśmiechnął się szeroko.

– Wyglądają, jakby chciały dosięgnąć księżycy, prawda?

Edwinę fascynowało wszystko, co widziała. Dawne wycieczki na jachcie Juliana nie dały jej wyobrażenia, jak ciekawa i upajająca może być żegluga na fregacie takiej jak „Kormoran”. Sama prędkość zapierała dech w piersiach; Edwina nigdy w życiu nie przemieszczała się tak szybko. Poczucie władzy, płynące ze świadomości okiełznania sił natury, ale też sprzymierzenia i w pewien sposób zjednoczenia z nimi, niemal ją przytłaczało.

– Co za emocje – szepnęła. – To wręcz ucieleśnienie definicji dreszczyku emocji.

Czuła dramatyzm związany ze zmianą kursu i pracą żaglami. Fascynowała ją krzątanie załogi, organizacja i współpraca, jakiej wymagało wykonanie każdej czynności. Widok białych płócien rozpiętych na wszystkich trzech masztach wprost zapierał dech w piersiach.

Kiedy Declan wreszcie oddał stery panu Johnsonowi i podszedł, by zaprowadzić Edwinę pod pokład, nadal wypełniało ją podniecenie i uniesienie.

Weszła do kabiny, lecz on zatrzymał się w progu z ręką na klamce.

– Zazwyczaj robię jeszcze jeden ostatni obchód, by upewnić się, że wszystko jest jak należy – odparł na jej pytające spojrzenie, po czym skinął głową w kierunku łóżka. – Rozgość się. Niedługo wrócę.



Uśmiechnęła się na myśl, że mają spać razem. Poczwała pewność siebie połączoną z podnieceniem.

– Będę czekać – obiecała.

Declan zastygł na sekundę, cofnął się i zamknął drzwi.

Edwina uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Odwróciła się i podeszła do łóżka.

Będę czekać. Słowa Edwiny dudniły w głowie Declana, gdy przeskakiwał po dwa stopnie naraz, by dostać się na pokład. Nie kłamał, mówiąc o ostatnim wieczornym obchodzie, lecz cieszył się, że na kilka chwil znajdzie się z dala od żony i będzie mógł uporządkować zajęte nią myśli.

Kiedy polecił wciągać topsle, zdał sobie sprawę, że właściwie nie sprawdził jeszcze pozycji księżycy. Natychmiast nadrobił to niedopatrzenie, lecz nie zauważył z kolei, czy niebo było całkowicie czyste, czy też lekko zachmurzone. Wiedział, że nie czeka ich w najbliższym czasie żaden sztorm, lecz to przekonanie brało się raczej z intuicji niż z naocznych dowodów. Od kiedy to zaniedbywał obserwację nieba?

Od kiedy miał u boku swoją absorbującą małżonkę.

Wyszedłszy na pokład, wolno przeszedł wzdłuż bakburty na dziób, nasłuchując równie intensywnie, co patrząc. Z doświadczenia wiedział dokładnie, jakie dźwięki powinny wydawać drzewce i olinowanie „Kormorana” w każdych okolicznościach; ciche poskrzypywania i jęki upewniały go, że wszystko jest prawidłowo ustawione. Statek znajdował się w idealnej równowadze i mknął chyżo, pchany dobrym, silnym wiatrem.

Przez kilka długich chwil Declan stał na dziobie, zwyczajnie rozkoszując się radością, jaką sprawiał mu powrót na morze. Jednak tym razem – i był to pierwszy raz w całym jego życiu – ta radość nie owładnęła nim, nie pochłonęła ze szczerem.

Jego myśli dryfowały, krążyły i zmieniały kierunek.

Czar morza nie mógł się równać z czarem tego, co czekało na niego w kabinie.

Ulegając wezwaniu i pragnieniu, któremu nie umiał się dłużej opierać, zszedł z dziobu, wrócił wzdłuż sterburty, kiwnął głową Grimsby’emu, który pełnił wartę za sterem, i ruszył do zejściówki.

Na końcu korytarza, już pod kabiną, zatrzymał się i wziął głęboki oddech. Potem otworzył drzwi i wszedł do środka.

Widok, jaki ukazał się jego oczom, zaparł mu dech w piersiach.

Edwina siedziała w łożu, wsparta o duże poduszki, z purpurową narzutą i pościelą barwy kości słoniowej podciągniętymi skromnie tuż poniżej nagich ramion. Małe lampki przy łóżku były zapalone; ich łagodny blask nadawał jej pysznemu ciału perłowy połysk. Uwolniła włosy z koka na czubku głowy, w który upinała je na dzień; opadały kaskadą falistych loków, okalając jej twarz i układając się na delikatnych, gładkich ramionach. Satynowa skóra aż się prosiła o dotyk.

Jego dotyk. W tym momencie Declan zdał sobie sprawę, że to jego nagroda – nagroda za to, że zgodził się wstąpić na ścieżkę, która doprowadziła ich do tej chwili. Edwina należała do niego – mógł ją smakować, mógł się nią rozkoszować. Ona, jej ciało, były darem, ofiarowanym mu z pełną ufnością, świadomie, z pożądaniem, z namiętnością.

Czytała jakąś cienką książkę, ale kiedy wszedł do kabiny, uniosła głowę i z uśmiechem przesunęła po nim spojrzeniem.

Było to otwarte zaproszenie.

Niespiesznie zamknęła tomik i odłożyła go na jedną z półek zagłówka.

Declan powoli podszedł do łóża, przyciągany siłą, której nie potrafił się oprzeć.

Nie żeby chciał się opierać.

Jego umysł już teraz zajęty był wyłącznie tym, co kryło się pod narzutą i pościelą: satynową skórą, delikatnymi krągłościami i pełnymi gracji kończynami. Bujnym ciałem czekającym, by napiąć się pod jego dotykiem, by zapłonąć i się rozpalić.

Zatrzymał się przy łóżku, strząsnął frak i odrzucił go na swój kufer, ustawiony teraz schludnie w nogach.

Zauważył głodny błysk w oczach Edwiny – jeszcze bardziej niebieskich w świetle lampy – i zwolnił ruchy. Nie spieszył się z rozpinaniem srebrnych guzików kamizelki, zanim posłał ją w ślad za frakiem. W tym samym powolnym, leniwym rytmie zdjął koszulę i ujrzał, jak w spojrzeniu żony pojawia się niecierpliwość.

Jej oczy wolno zwężały się w miarę, jak przedłużał jej oczekiwanie.

Gdy tylko odrzucił na bok spodnie, chwyciła go za rękę i szarpnięciem mocniejszym, niż się spodziewał, ściągnęła go na łóżko.

Do siebie.

Do swego głodu. Do swego pragnienia.

Zanim Declan zdołał choćby złapać oddech, ujęła drobnymi dłońmi jego twarz i zaczęła go całować. Całowała płomiennie, z pierwotną tęsknotą, której nie dało się z niczym pomylić – i której nie można się było opierać.

Odpowiedział na jej wezwanie i również zaczął ją łapczywie całować, po czym puścił wodze pożądania i pozwolił, by ogarnęła go namiętność. Ona uczyniła to samo.

Rozpoczęli taniec, którego kroki oboje znali.

Ale coś się zmieniło.

Mimo dotychczasowej bliskości ta noc była inna – jak zupełnie nowa podróż przez odwiedzaną już wcześniej krainę.

Przez kilka płomiennych sekund Declan szukał jakiegoś drogowskazu, jakiegoś punktu odniesienia. Wydawało mu się absurdem, że może się tu czuć

zagubiony.

Nagle znalazł.

Podobnie jak przed godziną zmienił kurs „Kormorana”, tak teraz wspólnie wytyczali nowy kurs swojego związku; jak on dostosował ustawienie żagli do nowego kierunku wiatru, tak teraz oboje dopasowywali się do zmian, by statek ich małżeństwa sunął gładko po falach życia.

Kiedy to zrozumiał, uspokoił się i poświęcił nowemu zadaniu. Wspólnie z Edwiną sprawdzał, co jeszcze mogą uczynić, by poprawić i wzmocnić łączącą ich więź.

Metodą prób i błędów szukali i budowali nową bliskość na poziomie, jaki pozostawał dotąd poza ich zasięgiem.

Declanowi nigdy jeszcze nie przyszło do głowy, by komunikować się z kimś za pomocą namiętności. Z żadną inną kobietą nawet nie myślał o kochaniu się w ten sposób, lecz dziś... mówił do Edwiny rękami i ciałem, przemawiał i zadawał pytania, a ona odpowiadała.

Była to obustronna wymiana nie słów, lecz uczuć.

Wyrażał Edwinie wdzięczność za jej obecność, i że cokolwiek myślał o tym wcześniej, teraz radował się jej towarzystwem, cieszył się, że jest przy nim i że może podzielić się z nią tak ważną częścią swojego życia. Ona zaś odpowiadała z uniesieniem, z płomiennym zachwytem, że przyjął to wyzwanie; okazywała mu radość z tego, że potrafił się ugiąć, dopasować, że zgodził się obrać wraz z nią inny kurs.

Nabrzmiwała w nich potrzeba; namiętność, którą w sobie zbudzili, gnała ich naprzód.

Kiedy Declan zaczął ulegać niepokonanej fali, przez gorączkę zmysłów przedarła się do niego ostatnia myśl.

Warstwy. Każdy je miał. Warstwy konwenansów, które pozwalały swobodnie poruszać się w towarzystwie. Lecz poznawanie kogoś, odsłanianie się przed nim, dzielenie się sobą wymagało zderzenia tych warstw – warstw ugrzecznienia i samoobrony.

Tej nocy, gdy prowadzili się nawzajem ku wyżynom rozkoszy, w burzy zmysłów, oboje świadomie pozbywali się kolejnej warstwy i wchodzili na nowy poziom bliskości.

Zrobili kolejny krok na drodze prowadzącej tam, gdzie pragnęli dotrzeć.

Radość z tej chwili, akceptacja ich wspólnej przeszłości oraz świeża nadzieja na przyszłość – wszystko to wyrażało się w oddechach, które mieszały się w ostatnich chwilach przed osiągnięciem szczytu namiętności.

Aż wreszcie dotarli na miejsce.

Potem, mocno objęci, udali się na brzeg zapomnienia, związani ze sobą mocniej niż kiedykolwiek przedtem.



## Sześć

Trzydzieści dni później Declan stał z Edwiną na sterburcie „Kormorana”, patrząc na zbliżające się zabudowania Freetown. Pogoda im dopisała i przez cały rejs sprzyjały im wiatry; przemknęli po obrzeżach Zatoki Biskajskiej, okrążyli północny brzeg Hiszpanii, po czym skierowali się na południe z dala od hiszpańskiego i afrykańskiego wybrzeża, aż wreszcie skręcili dużym łukiem na wschód i wpłynęli w ujście Sierra Leone. Miasto Freetown wyrosło nad jedną z kilku zatok po południowej stronie rzeki.

Dzięki łaskawej aurze przez większość podróży mogli płynąć pod pełnymi żaglami i Declan, mając na względzie powagę swej misji, skrzętnie to wykorzystał. Taka ilość płótna na masztach zwracała uwagę innych statków mijanych na atlantyckich szlakach i na pewno niejedna brew uniosła się ze zdziwieniem.

Jedyny rodzinny statek, na jaki się natknęli, był akurat tym, którego Declan wolałby nie spotkać na swej drodze. Jego młodszy brat Caleb wracał „Księciem” na północ, przewiózłszy do Kapsztadu kupiecką delegację, i oczywiście pełne żagle „Kormorana” – a właściwie sam fakt, że fregata była na morzu – wzbudziły jego ciekawość. Bracia już dawno opracowali prywatny język flagowy na własny użytek, toteż Caleb niemal natychmiast przesłał pytanie: „Co się dzieje?”.

Declan udał, że tego nie widzi. Pewien był, że Royd dopilnuje, by dać Calebowi zajęcie gdzie indziej. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłaby rodzina Frobisherów, było to, by jej najmłodszy członek (który nie nauczył się jeszcze, co to strach) dowiedział się o zleceniu Wolverstone’a. Tego rodzaju misja mogła pobudzić awanturniczą żyłkę Caleba i sprowokować go do zaangażowania się w sprawę, bez względu na zagrożenie dla niego samego czy kogokolwiek innego.

Caleb był zaledwie trzy lata młodszy od Declana, ale wszyscy nadal traktowali go jak rodzinnego beniaminka – kogoś, kogo wciąż należy chronić dla jego własnego dobra. Dlatego właśnie Royd rzadko zgadzał się wprowadzać na jego „Księciu” te same udoskonalenia, które zwiększały prędkość i zwrotność statku Roberta, Declana czy jego własnego. Caleb dąsał się o to na tyle, na ile dorosły mężczyzna może się dąsać, lecz Roydowi nie robiło to żadnej różnicy.

Nie zmieniało to faktu, że Declan wolałby, aby Caleb nie widział „Kormorana” mknącego na południe pod pełnymi żaglami.

Teraz jednak miał dość innych zmartwień, by przejmować się jeszcze młodszym bratem. Ponownie skupił uwagę na coraz bliższym, tętniącym życiem nabrzeżu.

Dotarli do Zatoki Kroo o świcie i rzucili kotwicę nieco poza portem. Declan wysłał Henry’ego i dwóch członków załogi łodzią, by wyszukali mu w mieście odpowiednią kwaterę. Henry czekał teraz na Kei Rządowej – pozostałych odesłał

na statek z wieściami o bungalowie do wynajęcia w samym środku zamożniejszej części miasta.

Gdyby nie obecność Edwiny, bazą do wypadów i prowadzenia śledztwa w kolonii byłby dla Declana jego statek. Natychmiast jednak odrzucił myśl, że miałyby trzymać żonę na „Kormoranie”; nawet pomijając fakt, że byłoby to sprzeczne z ich nową relacją, Declan pamiętał jeszcze słowa ojca. Edwina i jej krewni posiadali talenty, których brakowało jemu i jego rodzinie. Była przekonana, że zdoła uzyskać jakieś informacje od miejscowych pań. W tej sytuacji głupotą byłoby odbierać jej szansę na wykorzystanie wrodzonych zdolności.

Ponadto wynajęcie domu i udział Edwiny w lokalnym życiu towarzyskim wzmocni iluzję, że są w podróży poślubnej; im więcej Declan o tym myślał, tym bardziej dochodził do wniosku, że ta przykrywka spadła mu jak z nieba i mogła przesądzić o sukcesie wyprawy.

Spojrzał na Edwinę. Na swoją żonę. Przez ostatnie trzynaście dni niejedną raz otworzyła mu oczy. Tak przywykł do żeglugi oceanicznej, że nie zwracał już uwagi na jej liczne uroki, lecz doświadczenie ich z jej perspektywy od nowa mu je uzmysłowiło: delfiny, wieloryby, albatrosy i kołujące mewy, wschody i zachody słońca, ostre porywy wiatru, blask konstelacji na nocnym firmamencie, i wiele więcej.

Teraz z rozbawieniem – i po prawdzie z odrobiną ulgi – patrzył na pełną entuzjazmu twarz Edwiny, kiedy chłonęła widoki i odgłosy krzątania na nabrzeżu Freetown. Dla niej na pewno był to czysty chaos. Okolicę wypełniała zwyczajna zbieranina rozmaitych wilków morskich i żołnierzy marynarki, wśród której przebijały barwne miejscowe stroje, mundury i bardziej oficjalne ubiory. Była to istna wieża Babel, w której mieszały się niezliczone narodowości i wszelkie możliwe karnacje, od skandynawskiej bladeści poprzez wszystkie odcienie brązu, aż po niemal granatową czerń mieszkańców afrykańskiego interioru. Tak samo różne były fryzury. Wszędzie panował niemal ogłuszający zgiełk, kakofonia setek głosów krzyczących w dziesiątkach języków, akcentowana hałaśliwym skrzekiem wszechobecnych mew. Wszystko przenikał smród ryb, gnijących wodorostów i morskiej wody, choć tego dnia łagodziła go ożywcza oceaniczna bryza.

Declan obejrzał się na mostek. Zadanie doprowadzenia statku do kei powierzył Caldwellowi; patrząc na żagle, z aprobatą odnotował zarządzone przez niego zmiany, po czym na powrót skupił się na Edwinie i na tym, co czeka ich na brzegu.

Przez trzynaście dni nieprzerwanej żeglugi spędzili razem – i to naprawdę razem, nie musząc się przejmować oczekiwaniami innych ludzi – więcej czasu niż kiedykolwiek przedtem. Krok po kroku, niemal niedostrzegalnie, świadomie (a czasem nieświadomie) dopasowywali się nawzajem do siebie.

Wytyczali wspólną ścieżkę, na której potrzeby i pragnienia obojga miały być

równie ważne. Declan nie miał wątpliwości, że przynajmniej na razie stąpali po pewnym gruncie, tak jakby statek ich życia ustabilizował się na równo idącym kilu.

Amortyzowana torbami z piaskiem burta obijała się o krawędź nabrzeża; załoga „Kormorana” wyskoczyła z cumami, by umocować statek od dziobu i rufy.

Otworzono bramkę w balustradzie, po czym na stare drewno kei wysunęły się z hukiem deski trapu.

– Gotowa? – Declan odwrócił się do Edwiny.

Jej rozświetlone oczy i oczekiwanie rozpalające całą twarz mówiły mu, że pytanie jest całkowicie zbędne.

– Jakie to wszystko podniecające! – rzekła. Rzuciła mu roześmiane spojrzenie spod krawędzi kapelusza i dodała: – Dla ciebie to pewnie nic ciekawego, ale dla mnie wszystko jest nowe.

Uśmiechnął się, powstrzymując przed uwagą, że przecież dla niego nowością jest jej obecność. Podał jej ramię i sprowadził ją po trapie na keję.

Było już popołudnie i panował męczący tropikalny żar, lecz Edwina w lekkiej sukni w biało-zielone paski, z bladozłotymi lokami wyglądającymi spod kapelusza, stanowiła jasny punkt, rozkoszny widok, który przyciągał i zatrzymywał uwagę praktycznie każdego mężczyzny na nabrzeżu.

Keja Rządowa stanowiła główną keję handlową portu – korzystała z niej także marynarka. O tej porze na jej spłowiałych deskach panował tłok, wszędzie kłębiły się ciała, jednak gdy tylko ludzie zauważali Edwinę, przystawali, by na nią popatrzeć, i rozstępowali się przed nią jak za sprawą magii.

Uśmiech Declana nie przygasał; podczas rejsu nauczył się już, że Edwina dokładnie wie, w jaki sposób reagować i radzić sobie z męską uwagą, którą w nieunikniony sposób przyciągała. Oficerów, którym niespodziewanie płątał się język, a nawet co bardziej oczarowanych nią członków załogi, traktowała z wdziękiem, zrozumieniem i łagodnością, co samo w sobie stanowiło dowód jej taktu i gwarancję, którą jego męska duma szybko przyjęła.

Nie musiał się bać, że ją straci, chyba że przez własne nadmierne obawy czy próby kontrolowania jej lub – jeszcze gorzej – jeśli w nią zwątpił.

Teraz, kiedy przechadzali się po kei, Edwina nie ignorowała spojrzeń, lecz raczej traktowała je jako coś najzupełniej zwyczajnego. Dokładnie to, czego każdy by się spodziewał.

To okazało się najlepszą taktyką. Tłum, napatrzywszy się, powrócił do własnych spraw, a oni bez przeszkód doszli do schodów prowadzących na ulicę, gdzie czekał Henry.

– Nie wydaje mi się, byśmy musieli ogłaszać swoje przybycie – szepnęła Edwina.

Usta Declana drgnęły.

– Rzeczywiście nie. Do zachodu słońca wieść obiegnie całe miasto.

Edwina nadal chłoneła wszystkie widoki, starając się nie gapić na nic zbyt nachalnie. Była podekscytowana, unosiła ją fala zachwytu i oczekiwania przewyższająca wszystko, co spodziewała się odczuwać. Cała buzowała od emocji. Zawsze sądziła, że jej naturalnym środowiskiem są najwyższe sfery, jak w przypadku jej matki i sióstr, że najważniejsze wydarzenia jej życia rozegrają się wśród londyńskiej śmietanki towarzyskiej. Teraz jednak, przybywając u boku Declana w nieznane sobie miejsce, i to z tajną misją, zrozumiała wreszcie, gdzie zacznie się prawdziwie spełniać. Nie mogła się już doczekać chwili, kiedy wykorzysta swoje talenty, by pomóc Declanowi w wykonaniu zadania.

Przystanęli przed Henrym, który zsalutował energicznie.

– Agent zarzeka się, że dom dokładnie spełnia państwa wymagania. – Ochmistrz podniósł głowę i popatrzył na zbocze wzgórza, które przecinały nieregularne rzędy dachów krytych ceramicznymi płytkami. – Mieści się w odpowiedniej części miasta. Agent czeka tam, by oprowadzić pana oraz milady.

– Czy wspomniał pan mój tytuł? – spytała Edwina.

– Tak. – Henry kiwnął głową. – Tak jak milady się spodziewała, niemal wyszedł z siebie, by jak najszybciej znaleźć klucz.

Edwina uśmiechnęła się z aprobatą.

– W takim razie nie mam wątpliwości, że dom będzie odpowiedni.

Ze statku podążyło za nimi trzech członków załogi oraz chłopcy okrętowi, którzy nieśli ich kufry oraz różne własne worki i torby. Henry miał pełnić w mieście funkcję ich kamerdynera, pozostali zaś – pracować jako służba domowa. Trzech marynarzy miało dodatkowo pilnować bezpieczeństwa; przyjrawszy się pobieżnie kolonii, Edwina w pełni akceptowała ten pomysł.

Pod przewodem Henry’ego cała grupa wspięła się po stromych stopniach, po czym przeszła krótką niewybrukowaną alejką do traktu wyraźnie stanowiącego główną ulicę.

– Water Street – poinformował Declan Edwinę. – Biegnie ze wschodu na zachód, równoległe do linii brzegu, mniej więcej z jednego końca miasta na drugi.

Henry wynajął dla nich powóz i furmankę. Jeden z marynarzy, nazwiskiem Dench, wziął cugle i wdrapał się na kozła powozu. Henry przytrzymał drzwi; Declan pomógł Edwinie wsiąść i sam wspiał się za nią do środka. Henry usiadł obok Dencha, po czym ruszyli, pozostawiając z tyłu resztę z bagażami, które należało zapakować na wóz. Jechali wolno po wyboistej drodze, aż wreszcie skręcili na południe w wijącą się pod górę uliczkę.

Powóz był stary, ale czysty, na niezłych sprężynach, i siedzenia nadal były dość miękkie. Edwina wyglądała przez okna, przyglądając się mijanej okolicy. Wzdłuż Water Street stały głównie jednokondygnacyjne budynki mieszczące sklepy i zakłady rzemieślnicze. W miarę jak wspinali się na wzgórze, zaczęły ustępować miejsca lokalnemu odpowiednikowi zabudowy szeregowej, z domami



tłoczącymi się po obu stronach ściana przy ścianie. O ile zdołała zauważyć przez otwarte drzwi, w każdym budynku mieszkało chyba po kilka rodzin. Jeszcze wyżej miejsce szeregowców zajęły wolno stojące domy, każdy na własnym skrawku ziemi. Nim dotarli na górne wzniesienia i skręcili w drogę biegnącą w poprzek zbocza, domy te rozrosły się w rezydencje z ogrodami, otoczone kamiennymi murami o ciężkich bramach.

Minęli bardzo angielsko wyglądający kościółek.

– Oto, z braku lepszej nazwy, dzielnica Europejska. A to Fort Thornton. – Declan wskazał palcem jakiś obiekt na szczycie wzgórza. – Stacjonujący w nim garnizon ma za zadanie pilnować pokoju w całej brytyjskiej Afryce Zachodniej, której obszar jest o wiele większy niż samo Sierra Leone. W rzeczywistości jednak gwarantami pokoju są wodzowie lokalnych plemion, garnizon zaś ma raczej wspierać autorytet gubernatora w kontaktach z nimi.

– A marynarka, Eskadra Zachodnioafrykańska, ma pomagać wojsku? – spytała Edwina.

– Nie. – Declan odchylił się na oparciu. – Głównym zadaniem eskadry jest egzekwowanie zakazu handlu niewolnikami, przynajmniej na morzu. Jeśli już, to raczej garnizon ma wspierać działania marynarki. Jednak odnalezienie karawan niewolników czy obozów handlarzy żywym towarem w okolicznej dżungli jest praktycznie niemożliwością, chyba że wie się dokładnie, gdzie ich szukać. Marynarce o wiele łatwiej przechwytywać niewolnicze statki i w ciągu ostatnich lat odniosła pod tym względem znaczące sukcesy. – Wyjrzał przez okno. – Mimo to w okolicy nadal handluje się niewolnikami i niektóre statki przedostają się przez blokadę.

– Hmm. A zatem w mieście obecni są oficerowie zarówno marynarki, jak i wojska?

– Nie w tej chwili. Sądząc po tym, co widziałem w porcie, większość eskadry jest na morzu.

– A więc ten list do wiceadmirala Deckera raczej nie na wiele się przyda – zauważyła Edwina po zastanowieniu.

– I tak musiałbym być zdesperowany, żeby się nim posłużyć – prychnął Declan. – Nie licząc nawet ostrzeżenia Wolverstone'a, sam pomyślał, że miałbym prosić Deckera o pomoc... Powiedzmy tylko, że wolałbym tego nie robić.

Powóz zwolnił i się zatrzymał. Declan sięgnął do klamki.

– Obejrzyjmy sobie ten bungalow.

Wyszedł i rozejrzał się, po czym podał rękę Edwinie i pomógł jej wysiąść na pylistą drogę.

Edwina strzepnęła suknię i również rozejrzała się dokoła. Widziała tylko kamienne mury wzdłuż ulicy, kilka wystających ponad nimi drzew, jeden toczący się ciężko wózek kołowy i samotnego osła uwiązane trochę dalej do furtki.

Popatrzyła na Declana, który uśmiechnął się szeroko.

– Zgadza się, tak właśnie wygląda najelegantsza ulica mieszkalna w tym mieście.

Wzruszyła lekko ramionami, ujęła ramię męża i skierowali się do bramy.

Kryjący się za murem ogród był bujnie porośnięty drzewami i krzewami, których nie rozpoznawała. Roślinność tworzyła chłodną oazę, w której przycupnął dom. Otaczał go ganek z mozaikową posadzką, obrośnięty pnączem o drobnym, delikatnym, bardzo wonnym kwieciu. Ściany domu wzniesione były z bielonego kamienia, a okiennice i odrzwia wyglądały na mahoń.

Weszli przez otwarte frontowe drzwi do holu, gdzie czekał agent.

Na ich widok ukłonił się służalczo.

– Milady, panie Frobisher. Witamy we Freetown. Ufam, że ten dom zaspokoi państwa wymagania.

Declan spojrział na Edwinę. Popatrzyła na niego, po czym swobodnie ruszyła przodem na obchód. Drewniane sufity były niższe, niż przywykła, ale pokoje były duże, a na tarasy i ustronne ogrodowe zakątki wychodziły liczne okna i francuskie drzwi; chłodna bryza przynosiła ulgę w nieznośnym upale. Dom był w pełni umeblowany; ku niejkiej uldze Edwiny wszystkie sprzęty były w europejskim stylu i doskonałej jakości.

Kiedy zwróciła na to uwagę, agent o nazwisku Wallace odparł, że dom często wynajmowany jest przez przybywających z oficjalnymi delegacjami ambasadorów i innych dygnitarzy.

Gdy wrócili do holu, Edwina uśmiechnęła się łaskawie.

– Dziękuję, panie Wallace. Ten dom doskonale się nada.

Declan ujął ją za rękę.

– Weźmiemy go na tydzień, przynajmniej na początek – powiedział do niej, po czym dodał do Wallace'a: – Pan Henry rozliczy się z panem za czynsz.

– Dziękuję, panie Frobisher. – Wallace ukłonił się nisko. – Jeśli mógłbym w czymkolwiek jeszcze państwu usłużyć, proszę bez wahania posłać do mojego biura.

Declan kiwnął głową, odsyłając go, po czym zaprowadził Edwinę do salonu.

Gdy tylko Wallace odszedł z zapłatą w rękę, wszyscy zabrali się do rozpakowania bagaży i urządzania domu.

Kiedy po godzinie Edwina wróciła z Declanem do salonu, ze zdumieniem ujrzała, że na zewnątrz panują egipskie ciemności.

– Wielkie nieba! Nie zdawałam sobie sprawy, że już tak późno.

– Wcale nie. – Declan ruchem ręki wskazał jej sofę, odczekał, aż usiadła, po czym sam usadowił się wygodnie w fotelu obok. Widząc zdziwienie na jej twarzy, wyjaśnił: – Znajdujemy się niemal na równiku, więc noc zapada tu wcześniej, niż można się spodziewać, a zmierzch trwa krótko. Bardzo krótko. Nie oczekuj długich

wieczorów, do jakich przywykłaś w domu. Tu jasny dzień zmienia się w czarną noc w niecałe pół godziny.

Edwina uniosła brwi.

– Mamy więc tylko noc i dzień, ale niewiele pomiędzy?

– Właśnie tak.

– Doskonale. – Edwina rozsiadła się wygodnie. – No więc przybyliśmy. I co dalej?

Declan uśmiechnął się.

– Kolacja.

Edwina nie odpowiedziała, gdyż dokładnie w tym momencie Henry stanął w drzwiach, by wezwać ich na posiłek. On sam, usługujący chłopcy oraz trzech marynarzy jedli w kuchni, pozostawiając do ich dyspozycji długi stół w jadalni. Edwina była wdzięczna ochmistrzowi, że postawił jej talerz po prawej stronie Declana, a nie na odległym końcu.

Declan był bardzo głodny. Edwina z zaskoczeniem odkryła, że również ma wilczy apetyt; kwestię jego misji odłożyli więc na potem, by najpierw rozprawić się z wyśmienitą potrawką. Edwina wypytywała o przyprawy i nieznane sobie warzywa, które znalazły się w daniu, i nie dziwiła się zbytnio, że Declan potrafi odpowiedzieć jej na wszystkie pytania. Był z natury niemal równie żądny wiedzy, co ona.

Wreszcie jednak, po deserze z jakiegoś owocu o intensywnym smaku, którego nawet Henry nie potrafił nazwać, Declan odsunął talerz na bok, złożył ręce na stole i popatrzył na nią.

– No dobrze. Wiem, co sam muszę zrobić: rozpytać się mimochodem i spróbować znaleźć jakieś wskazówki co do tego, gdzie się podziela nasza czwórka zaginionych. Jeśli wszystkich ich spotkał ten sam los, a tego właśnie obawiają się Wolverstone i Melville, to można przyjąć, że każdy z nich udał się w to samo miejsce lub kontaktował z tą samą osobą. Zacznę od Dixona, który zniknął pierwszy; resztę posłano na jego poszukiwania. Jeśli zdołam się dowiedzieć, dokąd mógł się udać lub czy zadawał się z kimś konkretnym, będę miał porównanie z informacjami, dokąd chodziła lub z kim widywała się przed zniknięciem pozostała trójka.

Edwina pokiwała głową.

– Istotnie. Ja tymczasem sprawdzę, co mogą mi powiedzieć miejscowe damy, czy to o naszej czwórce, czy o innych okolicznościach, które mogły mieć związek ze zniknięciami. – Zmarszczyła brwi. – W tej chwili nie spodziewam się, że będę musiała urządzać tu jakieś spotkania towarzyskie i podejmować gości. Z pewnością nie tak od razu, nikt nie będzie tego oczekiwał. Podejrzewam, że będę musiała jedynie – tu uczyniła lekki ruch ręką – zapoznać się z jakąś miejscową prowodyrką, wspomnieć o swoim tytule, i dalej sprawy potoczą się własnym

torem.

– Jeśli o to chodzi, to chyba bez problemu uda nam się puścić machinę w ruch. Pamiętasz, jak wspominałem, że będę musiał złożyć Holbrookowi kurtuazyjną wizytę i przedstawić rzekomy powód naszej obecności? – Kiedy skinęła głową, mówił dalej: – Dzisiaj już za późno na odwiedziny. Proponuję, byśmy zajrzeli do gubernatorostwa jutro rano, o takiej porze, kiedy twoim zdaniem lady Holbrook będzie mogła się z tobą spotkać, podczas gdy ja będę rozmawiał z jej mężem.

Edwina rozpromieniła się.

– Wyśmienicie. – Po sekundzie zastanowienia zdecydowała: – Zatem dziesiąta trzydzieści. To powinna być idealna pora, o ile tutejsze zwyczaje nie różnią się znacznie od londyńskich.

Declan pokiwał głową.

– W takim razie dziesiąta trzydzieści. – Zawahał się i dodał: – Być może czasem, kiedy będę się kręcił po mieście, ty zechcesz wyjść z domu i spotkać się z paniami. Powóz będzie do twojej dyspozycji. Ale prawdę mówiąc, nie bez powodu sprowadziłem tu Dencha, Carruthersa i Billingsa. Nie chcę, byś dokądkolwiek chodziła sama. Dench będzie cię woził, a przynajmniej jeden z pozostałych ma ci towarzyszyć w roli lokaja. W rzeczywistości będą stanowić twoją ochronę. Nie jest to miasto, po którym dama twojego pokroju powinna kręcić się w pojedynkę.

Przerwał i popatrzył jej w oczy, z których wyczytał, że Edwina nie zamierza dyskutować ani opierać się temu poleceniu. Jej spokojna akceptacja przekonała go, że całkowita szczerłość to najlepsze rozwiązanie.

– Nie sądzę, by w samej kolonii działali jacyś łowcy niewolników, ale nigdy nie można być pewnym. A twoje jasne włosy, i to w takim odcieniu, czynią cię szczególnie atrakcyjnym celem. Jest to jedyna rzecz, o którą proszę cię w trakcie tego pobytu: nigdy nie ryzykuj, że ktoś uprowadzi cię z ulicy.

Edwina sięgnęła po rękę męża i uścisnęła ją.

– Nie będę. Ty również obiecaj mi, że będziesz na siebie uważał.

– To uczciwy układ. – Declan odwrócił dłoń i uścisnął jej palce. – Obiecuję.

Jak wiele innych rzeczy w tym ich nieoczekiwanym a bezprecedensowym partnerstwie, i to poszło łatwiej, niż przypuszczał. Bardzo wątpił, że cokolwiek będzie jej grozić podczas wizyt u innych pań, ale jej bezpieczeństwo w trakcie przemieszczania się z domu do domu było mniej pewne. Dlatego właśnie poświęcił trochę czasu, by podjąć środki zaradcze; Dench, Carruthers i Billings zostali specjalnie wybrani na ich lądową świtę z uwagi na doświadczenie w boju, czego dowodziły pokrywające ich ciała blizny. Wszyscy trzej służyli pod Declanem od wielu lat i wszyscy trzej zręcznie posługiwali się nożem. Co do Henry'ego, który wyglądem przypominał jowialnego wujaszka, to wywijał mieczem jak szatan, miał

nadludzko wyczulony słuch i szósty zmysł do wyczuwania kłopotów. Mając przy sobie tę czwórkę i przewidując najwyżej tygodniowy pobyt, Declan postanowił nie zatrudniać żadnej miejscowej pomocy, nawet kobiet. Gdy chodziło o Edwinę, zwyczajnie nie potrafił powierzyć jej bezpieczeństwa w ręce kogoś, kogo osobiście nie znał i komu nie ufał.

Żywił coraz mocniejsze przekonanie, że im się uda – że zakończy swoją misję sukcesem, cokolwiek oznaczał w tych okolicznościach sukces, a jednocześnie będzie obok niego Edwina, aby dzielić z nim nawet tę utajoną część jego życia.

Zaskoczyło go natomiast, jak bardzo się na to cieszył – szczerze pragnął tak bliskiej zażyłości. Może dlatego, że Edwina – co zawsze wyczuwał – była takim samym niespokojnym duchem jak on; jeśli zastanowić się nad podstawą więzi między mężem a żoną – nad tym, co sprawia, że uzupełniają się nawzajem – to może jego świeżo zrodzona chęć całkowitego otwarcia się na Edwinę była jak najbardziej zrozumiała.

Jakby zgadując tok jego myśli, Edwina ujęła go lekko za palce i potrząsnęła nimi, by zwrócić na siebie jego uwagę. Kiedy na nią spojrział, popatrzyła na niego pytająco.

– Wygląda na to, że na dziś nie mamy już nic do zrobienia, więc może udamy się na spoczynek?

Declan bez słowa pomógł jej wstać i poprowadził ją na drugą stronę domu do sypialni.

\*\*\*

Dwie godziny później Edwina leżała skulona na wymiętej pościeli. Była fizycznie wyczerpana i cudownie zaspokojona.

Declan leżał obok niej, pochrapując cichutko.

Spowijał ich spokój. Stopniowo oddała się rozmyślaniom.

Wszystko w związku z misją Declana zostało ustalone. Nie musiała niczego już planować, przynajmniej nie dzisiaj. Ta noc była dla nich niejako przerwą – dotarli na miejsce, wiedzieli, jakie działania dalej podjąć, ale na razie nie było już nic, co mogli zrobić i co należało przemyśleć.

Dzięki temu jej umysł mógł skupić się na innych zagadnieniach. Miała czas na zastanowienie i analizę, na jakim etapie się znaleźli.

Pod tym względem nadal trudno jej było uwierzyć we własne szczęście. Nie tylko dlatego, że w ogóle na siebie wpadli i że Declan pragnął jej za żonę tak bardzo, jak ona chciała go za męża, lecz ponieważ w niezwykle krótkim czasie zdołali tak się do siebie zbliżyć. Jej ostatecznym celem nadal pozostawała prawdziwa wspólnota, lecz Edwina nie spodziewała się, że tak szybko zdołają się do tego celu przybliżyć.

Ani tak łatwo.

Ten dzień stanowił jeden długi łańcuch wydarzeń, małych scenek, z których każda ilustrowała cementowanie się ich związku. Ostatnia zaś była prawdziwym ukoronowaniem. Wielkie łóżce osłonięte egzotyczną zasłoną – Declan wyjaśnił, że to moskitiera, mająca chronić ich przed nocnymi owadami – to idealna scenografia do następnego etapu ich intymnych relacji.

Po raz kolejny ich wieczorna zabawa otworzyła przed nimi nowe horyzonty.

Edwina słyszała co prawda, czego mężczyzna może dokonać ustami, ale nic nie przygotowało jej na rzeczywistość tego rodzaju ekstazy; była szczerze przekonana, że umrze z rozkoszy.

Potem oczywiście musiała się odwzajemnić – to okazało się kolejnym nowym doświadczeniem, który zajęło jej umysł i poszerzyło pejzaż ich zmysłowej relacji. Nigdy dotąd nie pojmowała w pełni, jakim poczuciem mocy nappełnić ją może fakt, że jej mąż i kochanek zdany jest całkowicie na jej łaskę.

Dało jej to siłę i pewność siebie.

– Dzięki Bogu, że zakradłam się wtedy na statek – szepnęła w noc, po czym uniosła kąciki ust w uśmiechu i pozwoliła, by jej powieki opadły.

## Siedem

– Pod względem towarzyskim fakt, że gubernator wraz z żoną postanowili na razie zamieszkać wśród ludności cywilnej, może być dla ciebie korzystny.

Declan wyjrzał z powozu toczącego się ulicą leżącą mniej więcej równolegle do tej, przy której znajdował się ich dom, tylko jeszcze wyżej ponad zatoką.

– Rzeczywiście. – Siedząca obok Edwina wyjrzała przez okno po swojej stronie. – Wyobrażam sobie, że miejscowe panie czułyby się nieco przytłoczone, gdyby musiały składać lady Holbrook wizyty w forcie. Na pewno będą o wiele swobodniejsze teraz, kiedy mogą do niej zaglądać bez potrzeby legitymowania się strażnikom.

Wcześniej tego ranka Henry wyszedł na targ i wrócił z informacją, że gubernator z żoną przenieśli się tymczasowo do dużego bungalowu na obrzeżach eleganckiej dzielnicy, ponieważ ich oficjalna rezydencja w Fortcie Thornton była przebudowywana w kamieniu.

Edwina spojrzała przed siebie, mrużąc oczy.

– Chyba jesteśmy prawie na miejscu.

– Henry mówił, że to ostatni dom na tej ulicy.

Niemal natychmiast po tych słowach powóz zwolnił.

Declan popatrzył na Edwinę. Gdy się odwróciła, wyczuwając na sobie jego wzrok, spojrzał jej w oczy.

– Wiem, że umiesz się poruszać w towarzystwie, a Bóg wie, że ty i kobiety w twojej rodzinie wiecie więcej o utrzymywaniu sekretów niż sam Wolverstone, ale obiecaj mi, proszę, że wypytując o naszych czterech zaginionych, zachowasz jak największą ostrożność.

Edwina z uśmiechem poklepała męża po ręce.

– Jeśli chcesz, mogę pójść o krok dalej i obiecać, że ich nazwiska nawet nie przejdą mi przez usta.

– Będiesz w stanie dotrzymać takiej obietnicy? – nie dowierzał Declan.

– Owszem. Z największą łatwością – odparła z niezachwianą pewnością w głosie, po czym odwróciła się z powrotem do okna.

Declan zrozumiał, że pokazano mu jego miejsce; musiał przyjąć, że żona wie, co robi – zresztą przecież już postanowił, że będzie jej ufał.

Powóz skręcił dużym łukiem i stanął pod wysokim kamiennym murem zamykającym ulicę i otaczającym sporą posiadłość. Jedyne wejście do środka prowadziło przez ciężką bramę z zakratowaną furtką; Dench zatrzymał powóz dokładnie przed nią.

Declan wysiadł, pomógł wyjść Edwinie i przedstawił się żołnierzowi stojącemu na warcie; zawczasu wysłał wiadomość do sekretarza gubernatora,

zapowiadając się z wizytą. Najwyraźniej żołnierz otrzymał informację o ich planowanym przybyciu; otworzył bramę i przepuścił ich do środka.

Edwina weszła jako pierwsza, a gdy Declan mijał strażnika, ten szarpnął za uchwyt łańcucha wiszącego po wewnętrznej stronie muru. Gdzieś w domu rozbrzmiał dzwonek.

Declan wziął Edwinę pod ramię i ruszyli niespiesznie ogrodową ścieżką. Widoczny przed nimi dom był podobny do ich własnego, ale starszy i około dwa razy większy. Ogród, który zdawał się otaczać rezydencję co najmniej z trzech stron, był wyrosnięty i gęsty, stojące w nim drzewa poskręcane, z grubymi sękami, gałęzie przeplatały się w górze, zaś rosnące na nich duże liście sprawiały, że nawet w prażącym słońcu miejsce to pozostało chłodne i ocienione.

Frontowymi schodami weszli na ganek, gdzie przywitał ich gorliwy młody człowiek.

– Panie Frobisher. Lady Edwino. To ogromna przyjemność móc państwa powitać we Freetown. Jestem Satterly, główny sekretarz gubernatora. – Satterly cofnął się o krok i przepuścił gości do drzwi wejściowych. – Proszę do środka. Gubernator i lady Holbrook oczekują państwa.

Declan pochwycił spojrzenie, które rzuciła mu Edwina; widać było, że nie może się doczekać, kiedy zacznie wypytywać gubernatorową. Wszedł za nią do domu.

Dźwięk ich kroków na terakotowej podłodze holu wywołał Holbrooka z jego gabinetu.

– Frobisher! Nie spodziewałem się zobaczyć tu pana w najbliższym czasie, ale... – Holbrook podał rękę Declanowi, a jednocześnie przeniósł wzrok na Edwinę i jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy – ...rozumiem, że należą się powinszowania.

Declan odwzajemnił jego serdeczny uścisk.

– Istotnie – odparł z dumą.

Edwina ubrała się w błękitną letnią suknię ze srebrną lamówką; z przemyślnie ułożonymi lokami okalającymi twarzyczkę wyglądała tak, że miało się ochotę ją schrupać.

– Lady Edwina i ja pobraliśmy się kilka tygodni temu. Zmusiła mnie, bym zabrał ją w podróż do wszystkich zakątków, w których zwykle bywam.

Widok Holbrooka i dźwięk jego głosu przypomniały Declanowi wszystko, co o nim wiedział. Holbrook był grubokościstym, bezceremonialnym i raczej pozbawionym taktu osobnikiem z gatunku, jaki łatwo znaleźć w wiejskich dworach jak Anglia długa i szeroka. Wyróżniała go nieco pedantyczna drobiazgowość w sprawach związanych z funkcjonowaniem jego urzędu. Pomimo zastrzeżeń Wolverstone'a i Melville'a Declanowi trudno było podejrzewać go o udział w jakichkolwiek pokątnych działaniach; był na to zwyczajnie zbyt prostolinijny.



Edwina podała Holbrookowi rękę, jednocześnie rzucając Declanowi rozbawione spojrzenie.

– Przyziemna prawda brzmi zaś niestety tak – powiedziała, gdy gubernator nachylił się nisko nad jej dłonią – że wybieramy się z wizytą do znajomych mej rodziny w Kapsztadzie i mój drogi małżonek przekonał mnie, byśmy zatrzymali się na kilka dni we Freetown, aby mógł zbadać jedną z krążących tu pogłosek.

– Pogłosek, hm? – Holbrook wyprostował się i puścił jej rękę. – W takich miejscach roi się od plotek. Nigdy nie wiadomo, w co należy wierzyć, a w co nie.

– Święta prawda – przyznał Declan. – Czasem jednak ignorowanie ich wiąże się ze zbyt wielkim ryzykiem.

Holbrook uniósł brwi.

– Aż tak? – Przez chwilę jakby coś rozważał, lecz natychmiast pokręcił głową. – Czasem zastanawiam się, jak by to było wyruszyć na wyprawę w dżunglę, ale obawiam się, że muszę zostawić takie przygody wam, młodzikom.

Gestem ręki skierował ich w stronę łukowatego przejścia, prowadzącego najwyraźniej do salonu.

– Moja małżonka podejmuje kilka pań na herbacie... – Urwał, gdy z pokoju wypłynęła okazała dama o wyglądzie matrony. – Ach... tu jesteś, moja duszko. Mówiłem, że zajrzy do nas kapitan Frobisher i lady Edwina, oto i oni.

– Rzeczywiście. – Lady Holbrook zgodnie z etykietą dygnęła przed Edwiną. – Witamy we Freetown, lady Edwino. – Skinęła Declanowi głową. – Panie Frobisher. Proszę pozwolić, że razem z mężem wyrazimy nadzieję, iż wasz pobyt tutaj będzie udany.

Lady Holbrook miała siwiejące brązowe włosy upięte w schludny kok oraz bystre szare oczy, osadzone w łagodnej twarzy pociętej zmarszczkami sugerującymi, że jej właścicielka dużo się uśmiecha. W połączeniu z bujną figurą nadawało jej to wygląd, który wzmacniał jeszcze efekt ziemiańskiego wdzięku, jakim emanowali małżonkowie.

– Lady Edwino, czy uczynisz mi zaszczyt i przyłączysz się do nas na herbatę? Goszczę właśnie kilka miejscowych dam, wszystkie bardzo chętnie posłuchałybyśmy najnowszych wieści z Londynu.

Edwina uśmiechnęła się radośnie.

– Ależ naturalnie. Będę zaszczycona. Tak się składa, że płyniemy bezpośrednio z Londynu; z największą przyjemnością podzielę się wszelkimi nowinkami.

– Wyśmienicie. – Lady Holbrook gestem ręki zaprosiła ją do salonu.

Holbrook cofnął się o krok.

– Frobisher i ja przejdziemy lepiej do gabinetu, moja duszko. Sama rozumiesz, sprawy zawodowe.

– Oczywiście. – Lady Holbrook uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Może

dołączycie do nas, gdy skończycie omawiać swoje interesy.

– Na pewno. – Holbrook popatrzył na Declana i skinął głową w kierunku drzwi, zza których wyszedł. – Pozwoli pan?

Weszli do gabinetu.

Holbrook wskazał gościowi krzesło przed dużym biurkiem. Zamknął drzwi, okrążył stół i opadł na stojący za nim fotel.

– Więc naprawdę przyjechał pan tu w pogoni za jakąś pogłoską?

Declan machnął niedbale ręką.

– To może być zwykła bzdura... Jak sam pan powiedział, tyle tu krąży najrozmaitszych bajek. Ale skoro przepływaliśmy w pobliżu, była to doskonała okazja, by się rozpytać. – Przerwał akurat na tyle, by jego następne pytanie wydawało się niechętne, jakby poruszał temat, o którym wolałby nie rozmawiać otwarcie. – Czy słyszał pan, by ktoś inny interesował się ostatnio jakimiś przedsięwzięciami?

Twarz Holbrooka się zachmurzyła.

– Niestety mieliśmy ostatnio kilka przypadków, kiedy ludzie, którzy powinni mieć więcej oleju w głowie, padli ofiarami spekulacji związanych z eksploracją dżungli. – W jego tonie i wyrazie twarzy wyczuwało się większą irytację niż troskę. – Strasznie to niedogodne, kiedy ktoś tak znika bez śladu, ale na pewno wie pan, jak to jest. Gorączka złota.

W ułamek sekundy jego twarz spoważniała i gubernator dodał pośpiesznie:

– Nie żebym sugerował, że sam jest pan skłonny do podobnej nierozwagi. Jest pan przedsiębiorcą i z tego, co słyszałem, ma niemałe doświadczenie w tego typu wyprawach. Ale takie chłystki usłyszą słowo o bogactwach i w głowach im się przewraca, od razu ruszają w poszukiwaniu szczęścia... No! – Holbrook wyrzucił ręce do góry. – Ludzie na nich polegają, a ci nic sobie z tego nie robią. Co najgorsze, nie można ich zastąpić, póki nie zdołamy udowodnić, że nie żyją, więc koniec końców brakuje nam ludzi, a sam pan przyzna, że w tego rodzaju kolonii nie jest to najszcześniejsza sytuacja.

– Faktycznie – zgodził się Declan, czekając na dalsze informacje, lecz po wybuchu dezaprobaty Holbrook popadł jakby w zadumę. Declan miał ochotę wypytywać dalej, wolał jednak zachować ostrożność. Skoro nie mógł być pewien Holbrooka, na tym etapie lepiej było nie wymieniać nazwisk zaginionych. To zdradziłoby, że jest nimi szczególnie zainteresowany. Po chwili skierował rozmowę na inne tory:

– Za moją ostatnią bytnością mówiło się dużo o rozwinięciu handlu lokalnymi tkaninami. Jak to wygląda?

Holbrook miał teraz pretekst, by pochwalić się ulepszeniami, jakie już wprowadził i planował jeszcze wprowadzić w kolonii. Declan odchylił się na oparcie, złożył dłonie i, udając gorliwe zainteresowanie wywodami gubernatora,

zaczął się zastanawiać, jak idzie Edwinie z paniami.

\*\*\*

Usadowiona na honorowym miejscu Edwina odstawiła filiżankę na spodek i uśmiechnęła się do pełnych zainteresowania twarzy, które się ku niej zwracały.

– Rzeczywiście. Jellicoe w roli króla Leara był wprost niezwykły. Sama widziałam, jak kilka wielkich dam wzruszyło się do łez.

Pozwoliła zgromadzonym paniom, a było ich w sumie sześć, wypytywać do woli o modne wydarzenia w Londynie. Dała im chwilę na wzdychanie i myślenie o tym, co straciły, po czym na powrót przywołała je do rzeczywistości; zgodnie z zasadami kierującymi takimi rozmowami teraz to one powinny zaspokoić jej ciekawość.

– Lecz dość już o Londynie i modnym towarzystwie. Opowiedzcie mi, proszę, o miejscowych atrakcjach i rozrywkach. – Zanim którakolwiek z dam zdążyła zebrać myśli na tyle, by odpowiedzieć, Edwina nachyliła się do przodu i dodała, zniżając konspiracyjnie głos: – Moja służba słyszała pogłoski o kilku zaginionych ludziach, podobno rozpłynęli się w powietrzu. – Otworzyła szeroko oczy i rozejrzała się po otaczających damach. – Ale to chyba nie może być prawda? Pomyśleć, że mój Frobisher miałby wyruszyć na wyprawę i nigdy już nie wrócić... – Podniosła dłoń do piersi melodramatycznym gestem. – Na samą myśl dostaję palpitanii.

Zamiast na wyścigi zapewniać, że takie bzdurne historie to zwykłe plotki bez żadnego potwierdzenia w rzeczywistości, wszystkie panie wymieniły przeciągłe spojrzenia, jakby żadna z nich – nawet lady Holbrook – nie do końca wiedziała, co odpowiedzieć.

Wreszcie żona miejscowego pastora, niejaka pani Hardwicke, odstawiła filiżankę na spodek, po czym podniosła głowę i popatrzyła Edwinie w oczy.

– Właściwie faktycznie mieliśmy ostatnio kilka przypadków zaginięć.

– Doprawdy, Mono! – rzuciła lady Holbrook z udawaną beztroską, lecz w tonie jej głosu pobrzmiwała strofująca nuta. – Doskonale wiesz, że to całkiem naturalne, iż ktoś wyrusza do dżungli w poszukiwaniu szczęścia. Może to i nierozważne, lecz trudno mówić, by te niedawne incydenty nie zdarzały się nigdy wcześniej. Przecież mężczyźni zapuszczali się w dżunglę od czasu założenia kolonii.

Pani Hardwicke, której stalowoszare włosy były ciasno ściągnięte, przez co nic nie odwracało uwagi od jej surowych rysów, skłoniła głowę.

– Być może. Jednak w przypadku ostatnich zaginięć nie chodziło tylko o mężczyzn. A jak można wytłumaczyć zniknięcie tych młodych kobiet... o dzieciach nie wspominając?

Lady Holbrook wyduła lekko wargi i uniosła brwi.

– Zdaję sobie sprawę, droga Mono, że nie jest to pierwsze wytłumaczenie, jakie mogłoby ci przejść przez myśl, lecz smutna prawda jest taka, że dokąd idą mężczyźni, tam podążają za nimi kobiety, a w szczególności młode kobiety.

Mona Hardwicke zeszywniała i jej rysy jeszcze bardziej stwardniały.

– Cóż więc powiesz o dzieciach?

Lady Holbrook zbyła ją machnięciem dłoni.

– O ile mi wiadomo, zaginione do tej pory dzieci to zwykle łobuziaki, które bez wątpienia same uciekły z domu. Wrócą niebawem. – Tu spojrziała na pastorową z otwartą dezaprobatą. – Moja droga, nie chciałabyś chyba, by lady Edwina wyniosła złe wrażenie z naszego miasteczka. Trudno przecież nazwać to miejsce siedliskiem zbrodni, przynajmniej nie w stosunku do Europejczyków. Śmiem twierdzić, że na tutejszych ulicach jesteśmy bardziej bezpieczni niż w Londynie.

Edwina nie zamierzała z tym dyskutować. Spojrzała na pozostałe panie: dwie – pani Quinn i pani Robey – przytakiwały dość gorliwie zapewnieniom lady Holbrook, podczas gdy dwie inne – pani Sherbrook i pani Hitchcock – sprawiały wrażenie, jakby miały ochotę wesprzeć panią Hardwicke, lecz wstydziły się odezwać. Właściwie obie wydawały się zatroskane, jakby wiedziały coś o wspomnianych przez pastorową zniknięciach. Edwina w duchu postanowiła, że rozmówi się z nimi później, najlepiej w bardziej prywatnych okolicznościach.

– Zdaje się jednak, że lady Edwina pytała o miejscowe atrakcje. – Lady Holbrook skierowała konwersację na spokojniejsze wody. – Niestety nie mamy tu jeszcze teatru, a choć niedawno utworzono towarzystwo muzyczne, to brakuje nam jeszcze dostatecznie uzdolnionych muzyków, by uformować choćby kwartet. Mamy jednak pewną dość niezwykłą rozrywkę: są to nabożeństwa prowadzone przez miejscowego duchownego, niejakiego Obo Undoto.

– Rzeczywiście. – Twarz pani Sherbrook rozświetliła się i dama energicznie przytaknęła. – Nabożeństwa Obo Undoto cieszą się niezwykłą popularnością. Musisz, pani, wziąć udział przynajmniej w jednym; to doprawdy niezwykle przeżycie.

Pani Hardwicke prychnęła.

– Obawiam się, że nie potrafię wzbudzić w sobie takiego entuzjazmu dla jego majaczeń. Może sobie twierdzić, że został wyświęcony przez jakiegoś przejezdnego biskupa, i nadawać kazaniom chrześcijański ton, lecz w tych przemowach więcej jest teatralnej fanfaronady aniżeli pobożności.

– Doprawdy, Mono – wtrąciła pani Quinn. – Wiesz przecież, że wszystkie co niedzielę słuchamy kazań twego męża, lecz nie da się zaprzeczyć, że nabożeństwa Obo Undoto pozwalają zaspokoić pewną potrzebę. – Kierując spojrzenie na Edwinę, wyjaśniła: – W braku jakiegokolwiek formy teatru nic dziwnego, że musimy się zadowalać Undoto.

– Wielu żyjących tu Europejczyków, a już na pewno panie, tłumnie

przybywa na jego kazania. – Pani Robey, ładna i młoda jeszcze mężatka, uśmiechnęła się do Edwiny. – Cokolwiek o nich mówić, przynajmniej zawsze dostarczają nam tematu do rozmów.

– Faktycznie. – Lady Holbrook odstawiła filiżankę i spodek na stół. – Jeśli znajdziesz, pani, wolną chwilę, koniecznie powinnaś się wybrać przynajmniej na jedno jego nabożeństwo – zasugerowała po raz drugi Edwinie. – To niezwykle... charyzmatyczny człowiek.

– I całkiem przystojny jak na Afrykańczyka – przyznała pani Hitchcock.

– A ten głos! – Pani Quinn położyła rękę na swym raczej płaskim łonie. – Aż człowieka dreszcz przechodzi!

Edwiny nie zdziwiło ciche prychnięcie Mony Hardwicke. Uśmiechnęła się swobodnie.

– Nie mam jeszcze pewności, jak długo tu zabawimy, ale jeśli czas pozwoli, być może rzeczywiście się wybiorę.

– Nabożeństwa Undoto nie odbywają się regularnie. – Pani Robey wymieniła spojrzenie z panią Quinn, po czym zaproponowała: – Jeśli chcesz, pani, możemy cię odwiedzić i dać znać, na kiedy zaplanowano następne. Być może miałybyś chęć wybrać się z nami.

Edwina uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Dziękuję. Byłoby mi bardzo miło.

Mało prawdopodobne, by kazania duchownego miały jakikolwiek związek z misją Declana, lecz koncepcja nabożeństwa kościelnego jako formy widowiska była na tyle dziwna, by pobudzić jej ciekawość.

W holu rozbrzmiały kroki, po czym do salonu wszedł Declan z gubernatorem. Dokonano prezentacji; Edwina nie mogła nie zauważyć, że zarówno pani Robey, jak i pani Quinn pod wpływem spojrzenia jej męża zaczęły się mizdrzyć niemal jak pensjonarki.

Kiedy Declan zasugerował, że pora iść, Edwina nie miała nic przeciwko temu; dowiedziała się dość, by nadać ich poszukiwaniom jakiś kierunek, a rozważa nakazywała przemyśleć najpierw zdobyte informacje, nim zaczną szukać kolejnych. Toteż pożegnawszy się ze wszystkimi, odeszli.

Pomagając jej wsiąść do powozu, Declan spytał przyciszonym głosem:

– Dowiedziałaś się czegoś?

Edwina powtórzyła sobie w myślach wszystko, co usłyszała, i zaczęła zastanawiać się nad tym, czego panie nie dopowiedziały.

– Dowiedziałam się kilku rzeczy – odparła wreszcie, kiedy powóz ruszył – ale co dokładnie znaczą i jak je rozumieć, tego nie jestem jeszcze pewna. Za chwilę będziemy w domu; pozwól mi poświęcić te kilka minut na uporządkowanie myśli.

Declan wbił wzrok przed siebie. Nie miał nic przeciwko jej prośbie; sam również musiał się nad czymś zastanowić. Od momentu, kiedy pokłócili się

w Londynie o udział Edwiny w wyprawie, zaczął rozumieć, że czuje w stosunku do niej opiekuńczość, jakiej nigdy jeszcze nie żywił względem nikogo ani niczego, i że jeśli Edwina zawsze będzie mu towarzyszyć, to uczucie nie opuści go ani na chwilę.

Teraz, gdy siedziała obok niego, w zasięgu jego ręki, ewidentnie cała i zdrowa, te uporczywe uczucia nieco przygasły, choć nadal czały się pod powierzchnią. Na „Kormoranie”, po początkowym wstrząsie wywołanym odkryciem, w jaki sposób Edwina przedostała się na pokład, również miał je pod kontrolą: znajdowała się na jego statku, zawsze kilka kroków od niego, w otoczeniu wiernej załogi, i Declan wiedział zarówno świadomie, jak i podświadomie, że nic jej nie grozi.

Od przybycia do Freetown pilnował, by mieć ją przy sobie; gdy tylko znikwała mu z oczu, nawet w ich własnym domu, zawsze wiedział, gdzie się znajduje. Bezustannie monitorował jej bezpieczeństwo.

Rozłąka w gubernatorskiej rezydencji była pierwszą, jaką musiał ścierpieć. Mówił sobie, że przecież nic nie może jej grozić w towarzystwie żony gubernatora i kilku miejscowych pań. Mimo to wraz z upływem czasu zaczął się niecierpliwić, mimowolnie pragnąc sprawdzić, czy na pewno nic jej nie jest, zaspokoić ów irracjonalny, lecz wszechwładny odruch.

Gdy wraz z Holbrookiem dołączyli do dam i przekonał się naocznie, że Edwina jest cała i zdrowa, zajęta rozmową, poczuł dogłębną ulgę. Siła tych uczuć, biorąc pod uwagę okoliczności – bo przecież oczywista, że nic jej nie groziło – wzbudziła jego niepokój.

Declan przywykł do dowodzenia; natura obdarzyła go cechami charakteru, dzięki którym świetnie nadawał się na kapitana. Oczekiwał, że wszystko będzie pod jego kontrolą. Nie tylko podwładni, ale też on sam.

Przede wszystkim on sam.

Nie podobało mu się i nie uznawał tego, że znalazł się we władaniu niemal niepokonanego instynktu.

Szczególnie takiego, który uzależniał go od innej osoby.

Dla mężczyzny jego pokroju zdawało się to największą możliwą słabością.

I najwyraźniej sam się o to prosił, poślubiając lady Edwinę Delbraith.

Po chwili spojrzął na nią.

Poczuła na sobie jego wzrok i odwróciła ku niemu głowę. Popatrzyła mu w oczy, uśmiechnęła się i poklepała go po ręce.

– Jesteśmy na miejscu.

Powóz stanął; Declan wyrztał przez okno i zobaczył ich bramę.

Pomógł Edwinie wysiąść i poszedł za nią po ścieżce wiodącej do domu. Henry przywitał ich w holu z informacją, że przygotował już dla nich lekki lunch złożony z dań na zimno.

Edwina popatrzyła pytająco na Declana, lecz on wskazał gestem jadalnię.

– Możemy wymienić się informacjami przy posiłku.

Gdy usiedli i nałożyli sobie jedzenie z rozstawionych przez Henry'ego półmisków, zaczął:

– Równie dobrze mogę pójść na pierwszy ogień, bo niewiele się dowiedziałem. Holbrook wie, że zaginęło kilku ludzi, ale wyraźnie sądzi, że sami wyruszyli do dżungli w poszukiwaniu fortuny. Nie mogłem wypytać go bardziej szczegółowo, nie dając mu poznać, że ta sprawa nas interesuje.

– Hm. – Edwina wzięła do ust kawałek świeżej figi. – Lady Holbrook jest tego samego zdania, co jej mąż. Pani Quinn i pani Robey zgadzały się z nią, a sądząc po ich zachowaniu, jest to pogląd dominujący w tutejszym towarzystwie. Pani Hardwicke jednak... to jest, żona pastora... mówiła nieco bardziej otwarcie. Odniosłem wyraźne wrażenie, że przynajmniej ona jedna nie zgadza się z powszechną opinią, i to nie tylko w kwestii zaginionych mężczyzn.

Spojrzała Declanowi w oczy i uniosła brwi.

– Czy wiedziałeś, że zaginęło także kilka młodych kobiet oraz dzieci? O ile zrozumiałam, zniknęły tak samo jak ci mężczyźni, bez słowa, a tym bardziej bez żadnego wytłumaczenia.

Declan zrobił marsową minę. Przełknąwszy kęs pieczonego koźlęcia, zapytał:

– Zdołałaś się dowiedzieć, ile kobiet i dzieci zniknęło?

– Nie. Odniosłem jednak wrażenie – tu dla podkreślenia słów dźgnęła powietrze udkiem perliczki – że dwie pozostałe damy, pani Hitchcock i pani Sherbrook, wiedzą na ten temat więcej, niż odważyły się powiedzieć w obecności lady Holbrook i pozostałych. Myślę, że dobrze byłoby porozmawiać z nimi na osobności, z panią Hardwicke także. Jako żona pastora może okazać się najlepszym źródłem informacji, do tego ma mniejsze opory przed wyrażaniem własnych opinii.

Declan odsunął talerz i złożył ręce na stole.

– Muszę przyznać, że dziwi mnie ten lekki stosunek do sprawy. Ale z drugiej strony to prawda, że ludzie aż nazbyt chętnie zapuszczają się w dżunglę w pogoni za złotem i miejscowe władze musiały się znudzić ich pilnowaniem czy tym bardziej wysyłaniem ekip ratunkowych. – Po krótkiej przerwie dodał: – Wnosząc z zachowania Holbrooka, możemy chyba uznać za pewnik, że nie podjęto żadnych starań, by odnaleźć zaginionych. I raczej się to nie zmieni.

– W takim razie co dalej? – Edwina spojrzała na niego pytająco, wycierając palce w serwetkę.

– W tej chwili – odparł – powinienem chyba unikać wypytywania pracowników gubernatora. To jasne, że próba wydobycia z nich czegoś wzbudzi konsternację i może nawet niechęć. Wydaje mi się, że dalej zajdę, skupiając się na pierwszej trójce zaginionych, czyli na Dixonie, Hopkinsie i Fanshawie. Znając

agentów Wolverstone'a, wątpię, by ktokolwiek tutaj wiedział coś na temat Hillsythe'a, a już z pewnością nie będzie to nic wiarygodnego. Lecz pozostali trzej na pewno mieli tu przyjaciół i znajomych. Ktoś musi coś wiedzieć... Dixonowi mogło się wymknąć, co planuje, albo Hopkins czy Fanshawe mogli wspomnieć komuś, gdzie zamierzają go szukać. – Zmarszczył brwi. – Byłoby doprawdy przedziwne, gdyby z trzech zaginionych mężczyzn żaden nie pozostawił po sobie śladu.

Edwina postukała palcem w lśniący blat mahoniowego stołu.

– Te młode kobiety i dzieci również zaginęły i to także nikogo nie obchodzi... Po prostu zbyli problem. – Popatrzyła Declanowi w oczy. – Lady Holbrook sugerowała, że same poszły za mężczyznami, w domyśle jako markietanki. Co do dzieci, wygląda na to, że pochodziły z niższych klas, i panuje powszechna zgoda, że tak naprawdę nie zniknęły, tylko uciekły i kryją się gdzieś na terenie miasta.

Zacisnęła usta.

– Mam wrażenie, że dzieje się tu coś zakrojonego na większą skalę, nie chodzi tylko o naszą czwórkę zaginionych. Ty szukaj wskazówek dotyczących ich losu, ale ja powinnam chyba sprawdzić, czego jeszcze mogę się dowiedzieć o tych kobietach i dzieciach, które również zniknęły.

Declan wolałby, gdyby nie ruszała się z bungalowu. Patrząc na jej twarz i widząc rysującą się na niej determinację, zapytał:

– Jak zamierzasz tego dokonać?

– Pani Hardwicke, pani Hitchcock i pani Sherbrook wiedzą coś na ten temat i jestem pewna, że zdołam je przekonać, by się przede mną otworzyły.

– Może mogłabyś zaprosić je na herbatę. – Tu w domu, gdzie jego ludzie będą mogli nad nią czuwać.

Edwina przechyliła głowę, zastanawiając się nad propozycją.

– Może. Albo...

Na zewnątrz rozbrzmiał głośno dzwonek i dźwięk powtórzył się gdzieś w głębi domu.

Zaskoczona Edwina rozejrzała się dokoła.

– Co to było?

– To chyba dzwonek przy bramie. – Declan odsunął krzesło i dojrzał spieszącego do drzwi wejściowych Henry'ego. Podniósł się i odsunął krzesło Edwiny. – Wygląda na to, że ktoś przyszedł nas odwiedzić.

Okazało się, że „ktoś” to mało powiedziane. Goście przybywali dwójkami i trójkami, i Henry bezustannie musiał biegać do bramy, aż w końcu w salonie zgromadził się istny tłum pań i panów. Declan i Edwina zostali wręcz przyparci do długich okien wychodzących na taras, a cała sytuacja nabrała cech królewskiej audiencji.



W ciągu dziesięciu minut zostali całkowicie obłożeni.

Edwina nie myliła się w swoich przypuszczeniach, że jej tytuł wzbudzi ciekawość, lecz sądząc z przelotnego spojrzenia, które posłała ukradkiem Declanowi, wyglądało na to, że podobnie jak on nie doceniła rozmiarów zainteresowania. Panie rozplýwały się w zachwytach, panowie przepychali się, by ją poznać i nachylić się nad jej ręką. Zgiełk w salonie narastał w miarę jak ci, którzy osiągnęli już cel, ustępowali miejsca pozostałym, a sami odchodzili na boki, by w małych grupkach wymieniać komentarze i domysły.

Declan zauważył niejedną damę taksującą smukłą postać jego żony, by natychmiast powiedzieć coś, osłaniając usta dłonią. Na szczęście Edwina wydawała się obojętna na zainteresowanie, jakie wzbudzała; przyjrawszy się uważniej, Declan spostrzegł, że na powrót wdziała swą towarzyską maskę.

Z początku jego obowiązki ograniczały się do stania u jej boku, miłego uśmiechania i odwzajemniania zwyczajowych uprzejmości. Gdy jednak przepłynęła pierwsza fala dam oraz mężów, których za sobą holowały, w pokoju pojawiło się więcej panów. Byli wśród nich dawni wspólnicy oraz konkurencja Frobisherów i dla nich to Declan stanowił powód wizyty.

– Więc co cię sprowadza z powrotem w tę głąszę? – spytał Charles Babington, patrząc na Declana przenikliwym wzrokiem. Jego spojrzenie przesunęło się na Edwinę, po czym wróciło do jej męża. – Czegokolwiek dotyczy ta plotka, którą chcesz potwierdzić, musi chodzić o nie lada gratkę, skoro, jak rozumiem, przerywasz dla niej miesiąc miodowy w towarzystwie uroczej lady Edwiny.

Pozostali używali może innych słów, lecz sens ich pytań był zasadniczo ten sam. Declan zbywał wszystkie indagacje nonszalanckimi banałami, lecz wewnątrz siebie pluł sobie w brodę. Nie przewidział, że połączenie dwóch historii składających się na przykrywkę ich wizyty może spowodować jakieś kłopoty. Teraz wszyscy, którzy go znali, choćby tylko ze słyszenia, byli przekonani, że fikcyjna plotka musi nie tylko być prawdziwa, ale też dotyczy jakiejś wspaniałej okazji.

Ostatnim, czego potrzebował, był ogonek w postaci kolegów po fachu – czy też, co bardziej prawdopodobne, obstawa z ich ludzi, mająca za zadanie śledzić każdy jego krok i wytropić, czego się dowiedział i czy da się na tym skorzystać. Teraz jednak nic już nie mógł na to poradzić. Mógł jedynie uśmiechać się szeroko i studzić oczekiwania.

Edwina nie spodziewała się żadnej wizyty, a już na pewno nie takiego tłumu. Choć liczba gości i ich uniżone zainteresowanie były bez wątpienia pochlebające, to doskonale by się bez nich obeszała. Minęła godzina, potem druga, i Edwina zaczęła się coraz bardziej niecierpliwić.

Wśród przybyłych była zarówno pani Sherbrook, jak i pani Hitchcock – obie

przyszły w towarzystwie swoich mężów, którzy chcieli poznać ją i Declana, lecz z uwagi na tłum nie miała okazji, by je wypytać. Potem przybyła także pani Hardwicke wraz z wielebnym Hardwickiem, lecz ponownie okoliczności nie sprzyjały prywatnej rozmowie.

Ze swym najlaskawszym uśmiechem przyklejonym do twarzy i z wyrafinowanymi manierami, których wyuczyła się na kolanach matki, Edwina krążyła wśród tłumu, odgrywając rolę gospodyni. Henry stanął na wysokości zadania i zarówno on, jak i dwaj służący, wyszorowani i odziani w liberie, poruszali się wśród gości, proponując im rozmaite napoje.

Pod koniec drugiej godziny spotkania, które niespodziewanie przerodziło się w wieczorek towarzyski, na powrót znalazła się u boku Declana – w samą porę, by stawić czoło nowej fali gości.

Jakby wyczuwając pytanie, które musiała sobie zadawać, Declan szepnął:

– Biura w mieście zamykają się o czwartej. Teraz zaczną się do nas schodzić pracownicy urzędów oraz firm handlowych i transportowych.

– Może będzie to dla nas bardziej przydatne? – odparła równie cicho Edwina, po czym, uśmiechając się jeszcze szerzej, zwróciła spojrzenie na nadchodzącą parę.

Mężczyzna miał na sobie czerwony mundur wojskowy z epoletami. Ukłonił się nisko.

– Jestem major Winton. Zawiaduję komisariatem w forcie i doglądam ogólnego zaopatrzenia kolonii. Lady Edwino, proszę pozwolić, że przedstawię swoją małżonkę.

Edwina odetchnęła, dodając sobie animuszu, i skupiła się na obnoszeniu promiennego oblicza młodej, szlachetnie urodzonej małżonki, której szczęścia nie przyćmiewa ani jedna troska.

Cieszyła się, kiedy wraz z przybyciem ostatnich gości pierwsi zaczęli się żegnać. Stopniowo liczba wychodzących zaczęła przewyższać liczbę przybywających i tłum się przerzedził. Wcześniej towarzystwo rozeszło się po pokojach reprezentacyjnych, lecz kiedy zaczęło ubywać ludzi, wszyscy na powrót zebraли się w salonie.

Edwina uśmiechała się i gawędziła, a w duszy była coraz bardziej wdzięczna Declanowi za jego ważną uwagę: to ostatni goście pociągali tu za wszystkie sznurki. To oni dzierżyli władzę w kolonii.

Mężczyźni decydowali o losach miasta, lecz ich żony rządziły tutejszym towarzystwem. Ale nawet wśród nich arystokratyczne pochodzenie Edwiny niewątpliwie dawało jej przewagę – ta sama aura otaczała w pewnym stopniu Declana ze względu na to, że ją poślubił. I rzeczywiście we wszystkich jego konwersacjach, których była świadkiem, rozmówcy zdawali się traktować go z respektem przewyższającym szacunek, który należał mu się z racji jego własnej

pozycji.

Z tego, co widziała, starsi i mądrzejsi panowie odwiedzili ich właśnie po to, by zaktualizować swoją opinię o Declanie na podstawie zawartego przez niego małżeństwa.

Lawirowanie w towarzystwie stanowiło umiejętność, którą wpajano Edwinie od kołyski. Odczytywanie cudzych myśli było dla niej drugą naturą – podobnie jak manipulacja tymi myślami w sposób korzystny dla siebie i Declana. W konsekwencji przyłapała się na aktywniejszym udziale w rozmowach z nową falą gości.

Wreszcie, gdy zgromadzenie zmalało do garstki par, z których wszystkie zdawały się dobrze znać, najstarszy z dżentelmenów – niejaki pan Macauley, rosły, ciężko zbudowany, lekko przygarbiony osobnik o bystrych orzechowych oczach, który kierował miejscowym oddziałem kompanii handlowej Macauley i Babington – władczo zastukał laską w kamienną posadzkę.

Wszyscy, włączając w to Edwinę i Declana, skierowali na niego wzrok. Macauley popatrzył na nich i uśmiechnął się szeroko.

– Małżonka moja... – mowa była o przystojnej kobiecie stojącej u jego boku – ...i ja sam chcielibyśmy zaprosić wszystkich do siebie na kolację, dziś wieczorem. – Wspierając się obiema rękami na główce laski, skłonił głowę w kierunku Edwiny. – Pragniemy uhonorować lady Edwinę i powitać ją w naszym skromnym mieście. – Macauley spojrzał na Declana i jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Byłoby też ogromnym nietaktem z mej strony, gdybym nie pogratulował ożenku jednemu z synów starego Fergusa. – Przesunął wzrok z powrotem na Edwinę. – Rozumiem, że pobyt wasz ma być dość krótki, stąd ufam, że wybaczysz nam, pani, nagłość zaproszenia. – Po czym, unosząc siwą krzaczastą brew, zapytał: – Co zatem powiesz, milady? Kolacja o ósmej?

Declan szepnął jej wcześniej do ucha, że Macauley i Babington mają monopol na handel między Anglią a Freetown, że zarówno ten, jak i inne oddziały firmy łączy z Frobisherami długa historia, i że Macauley sieje postrach swym nieprzewidywalnym zachowaniem, toteż Edwina nie dała się zaskoczyć propozycją. Spojrzała na męża ze spokojnym, radosnym uśmiechem, odczytała w jego oczach zrezygnowaną zgodę, po czym odwróciła się rozpromieniona do Macauleya i jego żony.

– Co za rozkoszny pomysł! Z radością przyjmujemy zaproszenie.

## Osiem

Dom Macauleyów stał na Tower Hill, zaledwie kilka minut drogi od najętego bungalowu Edwiny i Declana. Gdy po kilku godzinach wysiedli w wieczorowych strojach z powozu i przeszli przez zadbane ogród do rozległej rezydencji, zastali w salonie doborowe towarzystwo. Zgromadzili się tam wszyscy obecni w chwili, kiedy Macauley zapraszał na kolację, a poza nimi jeszcze trzy pary, z których najznacniejszą było gubernatorstwo Holbrook.

Edwina przywitała się z panią Macauley – „Mów mi Genevieve, kochanie” – i podała dłoń Macauleyowi, który ujął końce jej palców w sękatą łapę.

– Ufam, moja droga, że wybaczysz mi, iż się nie kłaniam, ale taka próba prawdopodobnie skończyłaby się tym, że wylądowałbym na podłodze u twych stóp, a tego chyba żadne z nas by sobie nie życzyło. – Uwolnił dłoń Edwiny i się skrzywił. – Zdrowie niestety nie to samo, co dawniej. Pozwól jednak, bym pogratulował ci małżeństwa i wyraził radość z faktu, że przynajmniej jeden z potomków Fergususa postanowił się wreszcie zaobrączkować. Nie można przecież pozwolić, żeby wszyscy wymarli, hę? Może i ze sobą rywalizujemy, ale Anglia potrzebuje więcej takich jak Fergus i ja, i to nie tylko w naszym pokoleniu. Kto wie, jaki los czeka Imperium, jeśli nie stanie już ludzi naszego pokroju, którzy wszystkim się zajmą?

Edwina nie potrafiła zapanować nad szerokim uśmiechem. W słowach Macauleya nie wyczuła ani śladu hipokryzji czy pokątnych zamiarów. Uznała, że przy jego charakterze i wieku nie czuł już potrzeby ukrywania swoich opinii; mówił to, co myślał, i niech diabli wezmą konsekwencje. A to, pomyślała na odchodnym, wymieniając słowa powitania z innymi gośćmi, musi czynić życie we Freetown, przynajmniej w tym towarzystwie, znacznie ciekawszym.

Wkrótce zasiedli przy wypolerowanym na błysk stole; srebrne sztuce i kryształowe kielichy lśniły w świetle wielkiego żyrandola. Edwina, siedząca na honorowym miejscu po prawej stronie Macauleya, przysłuchiwała się skrzętnie wszystkim rozmowom, jakie do niej docierały, lecz nie usłyszała już nic o zaginionych – czy to mężczyznach, kobietach, czy dzieciach. Za to kilka pań wychwalało zalety kazań Obo Undoto. Popularny duchowny niespecjalnie ją interesował, toteż wolała się skupić na tym, by od Macauleya i innych siedzących obok osób dowiedzieć się jak najwięcej o kolonii i jej funkcjonowaniu.

Kiedy jechali na kolację, Declan wyjaśnił Edwinie, jaką pozycję zajmuje Macauley i co z tego wynika. Zasłyszane przez nią rozmowy potwierdzały, że jako głowa kompanii posiadającej jedyną licencję na handel z Anglią Macauley ma duży udział w podejmowaniu wszelkich istotnych decyzji. Holbrook, jako gubernator, dzierżył najwyższą władzę, ale to Macauley sprawował kontrolę nad kolonijną

kiesą, a jak wszędzie indziej, tak i tu najważniejsze były pieniądze.

Edwina zastanawiała się, czy nie wspomnieć o zaginionych choćby po to, by zobaczyć reakcję Macauleya, lecz powściągnęła język, przypominając sobie upomnienie Wolverstone'a, by nie ufać nikomu w kolonii. Widziała też, że za orzechowym spojrzeniem starszego pana czaił się bystry, chytry umysł. Macaulay był przede wszystkim człowiekiem interesu, a skoro nie mieli najmniejszego pojęcia, kto kryje się za zniknięciami, lepiej nie zdradzać się przed nim ze swoją ciekawością.

Wreszcie nakrycia uprzątnięto i pani Macauley powiodła wzrokiem wzdłuż stołu.

– Lady Edwino – powiedziała, po czym rozejrzała się na boki. – Drogie panie. Może przejdziemy do salonu?

Panowie podnieśli się, odsunęli krzesła siedzących obok kobiet i towarzystwo się podzieliło. Damy przepisowo wróciły za panią Macauley i Edwiną do salonu, podczas gdy panowie przesiedli się przy stole bliżej gospodarza.

Jako swego rodzaju gość honorowy Declan nie był zaskoczony, gdy Macauley -szczwany lis – ruchem ręki pokazał mu miejsce zwolnione przez Edwinę. Nie zdziwił się też, że gdy tylko karafka ruszyła wokół stołu, gospodarz zaczął go wypytywać, próbując wyciągnąć jakieś szczegóły na temat „pogłoski” – sławetnej pogłoski na tyle kuszącej, że skłoniła Declana do przerwania miesiąca miodowego.

Powitanie nowożeńców powitaniem, ale z punktu widzenia gospodarza to właśnie był główny cel tej kolacji.

Macauley był może wiekowy, ale miał umysł jak brzytwa i mentalność tarana. Uparcie starał się zgłębić prawdę, wspierany czasem przez Charlesa Babingtona, który zajął krzesło po drugiej stronie Declana. Młodzieniec wiedział, że nie może pozwolić, by zbili go z tropu i podstępem wyciągnęli z niego jakąś informację. Nie spieszył się więc i odpłacał odpowiedziami, które pozornie odnosiły się do pytań, a w rzeczywistości niczego nie ujawniały. W każdym razie żadnych konkretów – nic, co pozwoliłoby się zorientować w naturze sprawy, która rzekomo go zajmowała, czy choćby w dziedzinie, z jaką się wiązała.

Niezliczone razy w swojej karierze grał w tę grę; jako rodzinny badacz i poszukiwacz przygód to właśnie on zapuszczał się w dżungle i pokonywał odległe stopy, to on śmiało przemierzał dzikie i niebezpieczne odludzia w poszukiwaniu najcenniejszych skarbów natury. W swoim czasie wyruszał po złoto, diamenty, szmaragdy, srebro, nikiel... choć pierwsze dwa były oczywiście najbardziej opłacalne.

Stary Macauley i Charles Babington, który zajmował obecnie stanowisko miejscowego przedstawiciela drugiej części spółki, znali dokonania Declana.

Oczywiście byli więc święcie przekonani o prawdziwości jego historyjki, że niby przybył do Freetown w pogoni za pogłoską o jakichś bogactwach.

Declan ze zdziwieniem przyłapał się na tym, że całkiem mu się podoba wyzwanie, jakim okazało się przetrwanie przesłuchania bez wgłębiania się w szczegóły rzekomej pogłoski. Gdyby była prawdziwa, ani w połowie by się tak nie bawił, lecz skoro musiał dotrzymać tajemnicy Wolverstone'a i Melville'a, nie miał poczucia winy, że oszukuje Macauleya, Babingtona i pozostałych panów, z których każdy co do jednego, mimo rzadkich prób nawiązania przyciszonej konwersacji na inny temat, spijał wszystkie słowa padające z jego ust.

Wreszcie Macauley obrzucił go spojrzeniem, w którym irytacja i niezadowolenie mieszały się z szacunkiem.

– Niech cię, nawet trudniej cię pociągnąć za język niż twego ojca.

– A czy rozmawiał pan ostatnio z Roydem? – zapytał Declan. Jego najstarszy brat doprowadził do perfekcji sztukę mówienia wyłącznie tego, co uważał za niezbędne.

Macauley zamyślił się, po czym burknął:

– Nie widziałem go od lat, ale skoro już o nim wspominasz, to faktycznie może cię pod tym względem przebijać. – Nagle uśmiechnął się szeroko. – Może to wpływ waszej matki. To dopiero była panna z ikrą. Do dziś dzień sam nie wiem, czy Fergus miał fart, że ją zdobył, czy to nam się poszczęściło, żeśmy przed nią uszli.

– Na ten temat wolałbym się nie wypowiadać – odparł rozbawiony Declan.

– Ha! – I Macauley, któremu wrócił już dobry humor, odepchnął krzesło, chwycił laskę i wstał. – No dobrze, panowie, coś mi się zdaje, że już czas, byśmy dołączyli do pań, inaczej moja droga małżonka urwie mi głowę.

Krzesła zaszurały po podłodze i wszyscy zaczęli się podnosić. Rozstąpili się, by przepuścić przodem gospodarza. Declan zwlekał, czekając na Charlesa Babingtona, i razem ruszyli za resztą.

Babington pod wieloma względami był podobny do Declana: taki sam wzrost, zbliżona budowa, tylko jaśniejsze włosy. Również był młodszym synem, pochodził z rodziny trudniącej się morskim handlem i dowodził własnym statkiem, ale od około roku stacjonował we Freetown; o ile Declan mógł się zorientować, rodzina przysłała go tu dla dobra spółki, by wspomógł starzejącego się Macauleya.

Mężczyźni z przodu zwolnili, tłocząc się w drzwiach do salonu.

Declan stanął z Babingtonem na końcu i skorzystał z okazji, by rzucić:

– Kiedy zawinęliśmy do portu, usłyszałem na nabrzeżu jakieś pogłoski. Coś o jakichś zaginionych ludziach, i to nie tylko mężczyznach. – Zerknął na swego towarzysza i ze zdziwieniem ujrzał, jak po jego beznamiętnej twarzy przebiega drgnienie emocji. Czyżby ból? Declan zmarszczył brwi. – Co się stało?

Babington popatrzył na pozostałych gości, zwróconych plecami do nich.

Zawahał się, po czym wciągnął powietrze i szepnął cicho:

– Znam pewną młodą damę, która zdaje się, że... zniknęła. – W jego głosie pobrzmiwało zmieszanie, ale potem młodzieniec otrząsnął się, podniósł głowę i dodał z większą energią: – Ale wiesz, jak to tu bywa. Może wyjechała... – uczynił ruch ręką – dokądś tam. Przecież ciągle się zdarza, że kogoś gdzieś wzywają i musi wyjechać w pośpiechu.

Tyle że Babington ani trochę w to nie wierzył.

Wtedy jednak panowie z przodu ruszyli do salonu i oni także poszli w ich ślady. Declan rozejrzał się za Edwiną. Babington rzucił jakieś słowo i dołączył do Macauleya, domyślając się, że Declan raczej za nim nie podąży. Declan pogodził się z myślą, że nie jest to miejsce ani pora na wyciąganie z niego informacji, i odszukał wzrokiem Edwinę, usadowioną na sofie między panią Macauley a lady Holbrook. Przez chwilę przyglądał jej się z zachwytem, po czym podszedł do grupki dżentelmenów stojących przy otwartych oknach.

Edwina zauważyła kątem oka, jak mąż dołącza do reszty panów, i poczuła ulgę, że zdecydował się pozostawić ją samej sobie i jej własnym metodom śledczym. Niektóre damy, w tym pani Hardwicke, dołączyły do swych małżonków, lecz na sofie i stojących przy niej krzesłach pozostało jeszcze sześć kobiet.

Starła się skierować rozmowę na temat nękających kolonij zniknięć, lecz ponownie natknęła się na mur zapewnień, że „to zupełnie normalne w tego typu miejscach”. Pani Macauley zdawała się szczerze nieświadoma faktu, że ktokolwiek zaginął, lecz z dalszej dyskusji, która wbrew oczekiwaniom Edwiny nie przyniosła żadnych nowych informacji, wynikało, że oboje państwo Macauley byli tak pochłonięci skomplikowanymi kwestiami handlowymi, iż zniknięcie jakichś przypadkowych osób zupełnie uszło ich uwagi.

Gdy jednak pani Macauley usłyszała zdawkowe wyjaśnienia innych dam, uznała, że jest to „po prostu jedna z tych spraw”.

Edwinę zaczynała coraz bardziej irytować ta niezmienna obojętność; jej towarzyszki zdawały się sądzić, że cała kwestia niewarta jest tego, by zaprzętać sobie głowę. Edwina nie sądziła, by otwarty sprzeciw przyniósł jakkolwiek korzyść. Zauważywszy jednak, że ani pani Sherbrook, ani pani Hitchcock nie przyłączyły się do chóru obojętnych uwag, lecz ponownie zdawały się odczuwać zawstydzenie i skrępowanie, postanowiła sobie solennie rozmówić się z obiema, pojedynczo czy razem.

A właśnie pojawiła się po temu idealna okazja, przynajmniej jeśli chodziło o panią Sherbrook.

Edwina dalej grała znudzoną bywalczynią salonów i otwarcie zachęcała miejscowe panie do dzielenia się wszystkimi szczegółami życia w miasteczku. Wreszcie rozmowa – po raz kolejny – skierowała się na charyzmatycznego kapłana i kilka dam wykrzyknęło, że słyszały, iż planuje on odprawić nabożeństwo

następnego dnia w południe.

Lady Holbrook i cztery inne damy, w tym pani Sherbrook, natychmiast postanowiły się na nie wybrać.

Pani Quinn zwróciła się do Edwiny:

– Proszę z nami jechać, lady Edwino. Kazania Obo Undoto to prawdziwa rozkosz. Co za pasja! Co za krasomówstwo! To lepsze niż sztuka Szekspira, uczęszczamy niemal na wszystkie jego nabożeństwa. Proszę mi wierzyć. Proszę zaufać nam wszystkim. – Tu wskazała na pozostałe kobiety. – Przekonasz się, lady Edwino, że warto poświęcić na to czas.

Pięć par oczu zwróciło się wyczekująco na Edwinę.

– Nie będzie dla mnie żadnym kłopotem zajechać po panią powozem – wtrąciła lady Holbrook. – W najgorszym razie będzie to dla pani rozrywka, która umili pani dzień, choć muszę oddać Obo Undoto sprawiedliwość i wyznać, że większość z nas uważa jego nabożeństwa za wartościowe. Jestem pewna, że pani się z nami zgodzi.

Edwina miała taką nadzieję. Nie poświęcając oratorskim zdolnościom kapłana ani jednej myśli, uśmiechnęła się i skłoniła głowę.

– Dziękuję. Jeśli to nie kłopot, bardzo bym chciała pani towarzyszyć.

\*\*\*

Kilka godzin później Declan leżał swobodnie na plecach na środku ich łoża. Jednym ramieniem obejmował Edwinę, drugie założył sobie za głowę i w tej pozycji wpatrywał się w przesłonięty moskitierą i cieniami sufit.

Wolną dłonią odszukał pukiel jedwabistych włosów Edwiny i bawił się nim nieuważnie, pozwalając mu prześlizgiwać się raz za razem przez palce.

W drodze powrotnej z domu Macauleyów Edwina wyjawiała mu zamiar wzięcia udziału w jutrzejszym nabożeństwie. Zamierzała skorzystać z okazji, by zamienić słowo na osobności z panią Sherbrook, która – Edwina nie miała co do tego wątpliwości – posiadała jakąś ważną informację na temat zaginionych dziewcząt.

Jego pierwszą reakcją był wewnętrzny zamęt – nie tyle panika, ile odruch zerwania się do czynu, by tej panice zapobiec. Pomysł, że Edwina miała udać się gdzieś bez opieki zaufanych ludzi, nie pozwalał mu spokojnie myśleć.

Potem przypomniał sobie, że przecież Edwina w obie strony będzie podróżować powozem lady Holbrook. Jeśli gubernatorowa nie potrafiłaby zapewnić bezpieczeństwa szlachetnej damie będącej pod jej opieką, to komu innemu można zaufać? Declan wiedział też, że Edwina jest zadowolona z tego planu i zdeterminowana, by dowiedzieć się czegoś więcej o niepokojących zniknięciach.

– Może przez wzgląd na bezpieczeństwo mogłabyś jednak zabrać ze sobą



Billingsa jako lokaja – zaproponował po kilku minutach rozmyślania.

Edwina nie wyglądała na zachwyconą – na pewno śmieszyła ją myśl o chudym, patykowatym Billingsie w roli modnego sługi – jednak wbrew obawom Declana po chwili namysłu wyraziła zgodę.

– Jeśli to cię uszczęśliwi, zabiorę ze sobą Billingsa. Jestem księżącą córką, więc nikogo nie będzie dziwić, że potrzebuję dodatkowej ochrony.

Był jej niezwykle wprost wdzięczny i bardzo wyraźnie starał się to okazać, kiedy w końcu udali się na spoczynek.

Teraz jednak jego myśli zwróciły się w stronę Charlesa Babingtona.

Tym, co przelotnie ujrzał na jego twarzy, rzeczywiście był ból – ale nie było to taki. Był to ból straty – straty kogoś ważnego.

Babington czuł coś do tej młodej kobiety, która zniknęła.

Declan rozumiał go, bo znał to uczucie, przenikało go do szpiku kości. Więcej nawet – do samego dna duszy.

Odruchowo zacisnął mocniej ramię wokół Edwiny.

Edwina drgnęła.

Declan niechętnie rozluźnił mięśnie.

Jakoś zmusił się do zaakceptowania faktu, że nic złego jej się nie stało. Nie miał się o co martwić.

Przynajmniej na razie.

Uczyni wszystko, co w jego mocy, by tak pozostało. Miał całkowitą pewność, że jeśli kiedykolwiek zajdzie taka potrzeba, będzie walczył o nią aż do śmierci.

Dawniej cieszył się z ryzyka, dodawało ono smaku jego wyprawom w nieznane. Teraz... już zastanawiał się, w jaki sposób zmienić zakres swojej działalności w spółce Frobisher i Synowie, żeby zminimalizować wpisane w podróż ryzyko, tak by Edwina mogła mu towarzyszyć. Jeśli nie we wszystkich rejsach, to przynajmniej w większości.

Wiedział, że było to wykonalne, po prostu nigdy wcześniej nie odczuwał potrzeby, żeby kogokolwiek chronić, choćby siebie samego. Ufał losowi, szczęściu i swojej głowie, że zapewnią bezpieczeństwo jemu i jego załodze.

Kiedy jednak chodziło o bezpieczeństwo Edwiny, nie ufał nikomu i niczemu.

Znaczyła dla niego więcej – o wiele więcej – niż jakikolwiek dreszcz podniecenia, jaki mogło w nim wzbudzić ryzyko.

Może zwyczajnie dojrzał.

Może z Edwiną u swego boku patrzył o wiele dalej w przyszłość niż dawniej; przyszłość tak świetlaną i kuszącą, że zdecydowany był zadbać o to, by jej doświadczyć. Mieć własny dom, rodzinę, dzieci – razem z nią, na zawsze.

I ona, i on musieli żyć, aby to marzenie mogło się spełnić.

Dlatego właśnie leżał teraz i zastanawiał się, ile jeszcze muszą się

dowiedzieć, nim będzie mógł uznać rozkaz Wolverstone'a za wykonany i pospieszyć z powrotem do domu.

Nadal nie było śladu po czterech zaginionych i najwyraźniej nikogo to nie obchodziło. Jak dotąd nie znaleźli też nikogo, kto wiedziałby cokolwiek o tym, jak, gdzie i dlaczego zniknęli.

W dodatku wyglądało na to, że ginęły też młode kobiety i dzieci – lecz to również nie wzbudziło w okolicy żadnego zainteresowania.

Co mogło się kryć za tymi zniknięciami?

To było kluczowe pytanie. Gdyby zdołali uzyskać najdrobniejszą wskazówkę dotyczącą przyczyny, o wiele łatwiej byłoby im dowiedzieć się reszty.

Zaczynał go ogarniać sen, lecz Declan powtarzał sobie jeszcze w głowie ich plany. Jutro, kiedy Edwina będzie próbowała dowiedzieć się czegoś od pani Sherbrook, on zajmie się dochodzeniem, które pierwotnie zamierzał rozpocząć dziś po południu. Przejdzie się do fortu i sprawdzi, czego może się tam dowiedzieć o kapitanie Dixonie i jego poczynaniach przed zniknięciem. Jednocześnie pošle kilku ze swych ludzi – takich, którzy potrafią zbierać informacje bez wzbudzania podejrzeń – by porozmawiali z bywalcami tawern, do których chadzają oficerowie marynarki, i spróbowali się czegoś dowiedzieć o porucznikach Hopkinsie i Fanshawie.

On sam po opuszczeniu fortu zajmie się może Hillsythe'em, choć instynkt podpowiadał mu, że lepiej nie rozpytywać wśród ludzi gubernatora. Hillsythe musiał jednak mieć jakąś kwaterę – najprawdopodobniej mieszkał u kogoś na stacji. Może w jego pokoju znalazłyby się jakieś wskazówki.

Kto wie? Może do następnego wieczoru będą mieli w ręku dość informacji, by otrząsnąć z butów pył Freetown i wrócić na morze, gdzie odetchną ożywczą bryzą.

Była to tak pociągająca myśl, że wreszcie opadły z niego ostatnie ślady napięcia.

Declan nawet nie zdawał sobie sprawy, kiedy przymknął oczy, a potem zapadł w sen.

## Dziewięć

– O której zaczyna się to nabożeństwo? – spytał Declan, spoglądając nad stołem na Edwinę.

– W południe. Lady Holbrook powinna zajechać tu powozem nieco wcześniej. – Edwina skrzywiła się, napotykając jego wzrok. – Nie przyszło mi do głowy zapytać, gdzie mieści się kościół Undoto, choć po liczbie wybierających się dam zakładam, że gdzieś na obszarze kolonii.

– To na pewno. – Declan napił się kawy. – Tuż za jej granicami zaczyna się dżungla. W tych okolicach jest bardzo gęsta, niemal nieprzenikniona, z wyjątkiem kilku ścieżek prowadzących do dalej wysuniętych osad, ale żaden Europejczyk nie zapuściłby się tak daleko, przynajmniej bez uzbrojonej eskorty.

Edwina kiwnęła głową, podnosząc filiżankę.

– A więc kościół musi znajdować się w mieście, czyli nie może być daleko.

Declan spojrzał na Henry'ego, który stał przy kredensie i starał się jak najlepiej grać rolę kamerdynera. Jak zwykle zszedł na śniadanie przed Edwiną i Henry skorzystał z tej okazji, by szepnąć mu do ucha, że słyszał o Undoto dostatecznie dużo, by samemu zainteresować się kazaniem. Declan naturalnie pozwolił mu wynająć miejscowy odpowiednik dorożki i pojechać do kościoła za powozem lady Holbrook. Henry miał przysłuchiwać się nabożeństwu z tyłu i jednocześnie pilnować Edwiny.

Jeśli dojdzie do jakichś nieprzewidzianych i potencjalnie groźnych zajść, ochmistrz będzie miał lepszy widok i będzie mógł pokierować Billingsem (który o wszystkim wiedział), by jak najskuteczniej chronić Edwinę.

Wszystko to sprawiało, że Declan był teraz o wiele spokojniejszy o jej bezpieczeństwo.

– No dobrze. – Edwina odstawiła filiżankę i popatrzyła na męża. – A ty od czego zamierzasz zacząć?

– Od kapitana Dixona, tak jak wczoraj ustaliliśmy. – Declan przerwał, po czym ciągnął ze zmarszczonymi brwiami: – Ciągłe myślę o tym, że to właśnie Dixon zniknął jako pierwszy. Pozostali zaginęli, kiedy próbowali go odszukać, a więc najbardziej prawdopodobną przyczyną ich zniknięcia jest to, że szli jego śladami. Ale co się stało z samym Dixonom; dlaczego właśnie on? O ile wiem, zanim zniknął, nie było żadnych innych doniesień o zaginionych żołnierzach czy marynarzach.

Zastanowił się przez chwilę, po czym powiedział z namysłem:

– Powinienem to sprawdzić, ale z tego, co słyszałem, od tamtej pory również nie zaginął nikt z wojska ani marynarki.

Na minutę zapadła cisza. Oboje zastanawiali się nad tym, co już wiedzą,

a czego jeszcze nie.

Edwina pierwsza się odezwała:

– Zakładając, że Dixon nie opuścił kolonii dobrowolnie i że za wszystkimi zniknięciami stoi jakaś nieznana nam osoba, przychodzą mi do głowy tylko dwa powody, dla których zabrano właśnie jego. Albo sam podążał tropem kogoś innego, kto zaginął, na przykład jakiejś młodej kobiety, i schwytano go tak jak tych, którzy ruszyli jego własnym śladem... albo wiedział o czymś, może dysponował jakąś informacją, której nasz nieznany ktoś potrzebuje do swoich celów, tak że musiał zaryzykować porwanie Dixona, choć pewnie zazwyczaj unika wojskowych i marynarzy; w końcu jeśli zniknie ich dostatecznie wielu, władze będą zmuszone zwrócić na to uwagę i podjąć jakieś działania.

Declan przemyślał jej wywód i pochylił głowę.

– Doskonałe podsumowanie. – Odsunął krzesło od stołu i się podniósł. – Zobaczmy, czy dowiem się dziś czegoś, co nam podpowie, która z twoich teorii jest słuszna. Posłałem też na statek i kazałem kilku członkom załogi pokręcić się po tawernach i dokach, może dowiedzą się czegoś o Hopkinsie i Fanshawie.

Edwina również wstała i zrównała się z mężem pod łukowatym przejściem prowadzącym do holu wejściowego.

– A Hillsythe? On zniknął jako ostatni z naszej czwórki. Czy ludzie nie będą najlepiej pamiętać tego, co ma związek z nim?

– Faktycznie. – Declan przystanął i popatrzył na zwróconą ku sobie twarz żony. – Ale obiecaj mi, proszę, że jego nazwisko nawet nie przejdzie ci przez usta.

W jego oczach wyczytała, że mówił to z całą powagą.

– Dobrze więc, obiecuję. Ale dlaczego?

Declan zawahał się, po czym westchnął w duszy i wyjaśnił:

– Bo Hillsythe to jeden z agentów Wolverstone'a... – tyle Edwina już wiedziała – ...zaś agentów Wolverstone'a niełatwo...

Kiedy przerwał, szukając odpowiednich słów, podsunęła:

– Niełatwo pokonać, a tym bardziej uprowadzić?

Declan kiwnął głową; wiedział o tym z własnego doświadczenia.

– A to z kolei mówi nam coś o ludziach, którym udał się ten wyczyn.

Wpatrując się w intensywny błękit oczu Edwiny, zastanawiał się, ile z tego pojmowała, ile się domyślała.

I ile chciałby, żeby wiedziała.

Edwina zaskoczyła go jednak, rezygnując z dalszych pytań. Zamiast tego wspięła się na palce i wycisnęła na jego ustach całusa. Declan smakował tę słodką pieśczętę i na chwilę oboje zatopili się w pocałunku.

Potem Edwina odsunęła się i opadła na pięty.

– Pewnie będę w domu wczesnym popołudniem. Zobaczmy się, kiedy wrócisz.

– Bądź ostrożna – poprosił Declan, odnajdując jej dłoń. Ich palce splotły się w lekkim uścisku.

Popatrzyła mu w prosto w oczy.

– Ty także.

Z tymi słowami skierowała się do ich pokoju. Declan popatrzył za nią, po czym zwrócił się w stronę drzwi wyjściowych.

\*\*\*

Zgodnie z planem udał się najpierw do Fortu Thornton. Poszedł prosto do bramy, a kiedy zażądano od niego, by powiedział, z czym przychodzi, bez najmniejszego pośpiechu oparł się o budkę strażniczą i nawiązał pogawędkę z dwójką pełniących dyżur żołnierzy. Przedstawił się i powtórzył zmyśloną historię o pogłosce, która sprowadziła go do Freetown, a na koniec zaimprovizował coś o tym, jak to rzekomo obiecał znajomemu przekazać wiadomość dla krewnego stacjonującego w forcie, niejakiego kapitana Dixona, i spytał, czy może się z nim rozmówić.

Strażnicy pokręcili głowami.

– Nie ma go – powiedział jeden. – Nie wiemy, gdzie zniknął, ale nie widziano go od miesiący.

Declan udał zdziwienie, po czym zmarszczył brwi.

– Chcecie powiedzieć, że zwyczajnie odszedł? Czy takie niewytłumaczalne zniknięcia są tu na porządku dziennym?

Strażnicy ponownie zaprzeczyli, tym razem z dość ponurymi minami.

– Nikt inny nie oddalił się bez pozwolenia – odparł jeden z nich. – Tylko Dixon.

Nawiązała się dyskusja o braku rozrywek w okolicy.

Wreszcie Declan się wyprostował.

– Czy jest tu ktoś, może jakiś oficer, który znał Dixona? Ktoś, komu mógłbym przekazać tę wiadomość na wypadek, gdyby wrócił?

Strażnicy zastanowili się, po czym starszy z nich stwierdził:

– Właściwie to nie wiemy, co jego koledzy myślą o tym zniknięciu. Wszyscy wiedzą, że nie ma go od miesiący, i krąży dużo opinii na temat tego, dokąd się udał, ale wszystko to tylko teorie. Oficjalnie nikt nie zadawał żadnych pytań, więc jesteśmy zdani na własne domysły.

Declan włożył ręce do kieszeni i wzruszył ramionami.

– Ale nie zaszkodzi popytać innych oficerów – powiedział, patrząc w oczy starszemu strażnikowi. – Jeśli dowiem się czegoś konkretnego, dam wam znać w drodze powrotnej.

Drugi strażnik przytaknął.

– Jak pan mówi, popytać nie zaszkodzi.

Podali mu kilka nazwisk i skierowali do mesy oficerskiej.

Wchodząc do budynku, Declan zarzucił niedbały chód i na powrót przybrał swoją zwyczajną kapitańską postawę. To i jego wymyślona historia sprawiły, że od razu przedstawiono go odpowiedniej grupie oficerów, lecz szybko odkrył, że choć wszyscy byli kolegami Dixona, każdy z nich miał pod sobą pluton, więc spędzali w swoim towarzystwie wyłącznie godziny poza służbą, a i to tylko wtedy, kiedy wypadały im w tym samym czasie.

Wszystkich jednak zdumiała, a wręcz zszokowała, rzekoma dezercja Dixona.

– W życiu bym się tego po nim nie spodziewał – stwierdził jeden młodszy porucznik.

Pewien starszy kapitan o siwiejących włosach pokręcił głową.

– Cokolwiek mu się przydarzyło, cała ta sprawa śmierdzi.

Pozostali zamruczeli twierdząco. Declan odczekał, aż ucichną, po czym spytał:

– Czy Dixon miał jakąś specjalizację?

– Był saperem – odparł starszy kapitan. – No, w każdym razie dowodził oddziałem saperskim, nie żeby mieli tu dużo roboty. Ale jeśli trzeba było przeprowadzić tunel pod murem albo wysadzić ścianę czy most, szło się z tym do Dixona. Zdobył sobie świetną reputację podczas kampanii hiszpańskiej.

Declan pokiwał głową ze zrozumieniem. Grał na czas, stawiając oficerom piwa i podkreślając swoją znajomość z rzekomym kuzynem Dixona. Wreszcie udało mu się namówić starszego kapitana nazwiskiem Richards, by pokazał mu kwaterę zaginionego.

Pokoik był skrupulatnie uporządkowany. Po pierwszym spojrzeniu Declan porzucił nadzieję, że znajdzie tu jakiegokolwiek wskazówki – lecz nagle dotarło do niego, co ma przed sobą.

Na małej toalecie leżały schludnie ułożone pędzle i inne przybory do golenia oraz grzebień.

Spojrzał na Richardsa, marszcząc brwi; wskazał na toaletkę.

– I wszystkie jego rzeczy nadal tu są?

Richards kiwnął głową z ponurą miną.

– Wszyściutko. Gdyby ktoś mnie pytał, powiedziałbym, że dokądkolwiek udał się Dixon, oczywista, że spodziewał się wrócić tego samego dnia, do diaska.

Declan przyswoił wszystko – zarówno samą informację, jak i zawartą w niej niewypowiedzianą sugestię – po czym podziękował i odszedł.

Coraz trudniej było wytłumaczyć niezmienną obojętność przełożonych wobec tych zaginięć.

Spędziwszy jeszcze kilka minut ze strażnikami i doniósłszy im, że nikt, nawet najbliżsi znajomi Dixona, nie ma pojęcia, gdzie zniknął kapitan, Declan zszedł z boczem wzgórze do portu.

Umówił się w jednej z przyzwoitszych tawern z Higginsem, Martinem i Upshawem – trójką doświadczonych marynarzy, których posłał na zwiady do portowych wyszynków.

Kiedy dotarł na miejsce, już na niego czekali przy stole w kącie.

– Dowiedzieliście się czegoś? – spytał, przysiadając się.

Cała trójka pokręciła z przygnębieniem głowami.

– Większość tych, co żeglowali z Fanshawem i Hopkinsem, jest na morzu razem z eskadrą. Ci na miejscu wiedzą tylko tyle, ile zasłyszeli – powiedział Martin.

– Mimo to – wtrącił Higgins – wygląda na to, że było sporo szemrania. I Hopkins, i Fanshawe byli szanowani i lubiani. Żaden z chłopaków nie wierzy, że zniknęliby bez pozwolenia, cokolwiek mówią o tym przełożeni.

Upshaw pokiwał głową.

– Zdaje się, że nawet pozostali oficerowie nie są zachwyceni tym, że nic w tej sprawie nie zrobiono i nie powiedziano. Po prostu uznano, że obydwaj zwyczajnie dali nogę, nikomu nic nie mówiąc i nawet nie zabierając swoich rzeczy.

– Ach tak? – Declan zabębnił palcami po stole. – Rzeczy Dixona też zostały w jego kwaterze. To oczywiste, że zamierzał tam wrócić.

Higgins prychnął.

– Dzieje się tu coś podejrzanego: nie jeden, nie dwóch, ale trzech oficerów zniknęło bez żadnego śladu i nikogo to nie dziwi.

Declan przytaknął mu, po czym po krótkim wahaniu wyznał niechętnie:

– Zniknął jeszcze jeden człowiek, nazywa się Hillsythe. Przyjechał tu stosunkowo niedawno i pracował w kancelarii gubernatora. Miał zbadać sprawę poprzednich zaginięć; to właśnie jego zniknięcie było powodem, dla którego przysłano nas tu, żebyśmy powęszyli.

Upshaw otworzył szeroko oczy.

– Wielkie nieba! Mam nadzieję, że my nie znikniemy!

– Postarajmy się tego uniknąć – odparł sucho Declan.

Po chwili namysłu dodał:

– Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o tym Hillsycie: gdzie mieszkał i czy również jego rzeczy zostały na miejscu. Niewykluczone, że nie zaginał, tylko ruszył jakimś tropem... – Skrzywił się. – Być może.

Zastanowił się i odsunął od stołu.

– Popytajmy osobno we wszystkich miejscach, gdzie samotny dżentelmen mógł chodzić na posiłki. Hillsythe nie był w armii ani w marynarce i nie mieszkał u gubernatorostwa, więc musiał się gdzieś stołować.

Podniósł się i obrzucił swoich ludzi spojrzeniem.

– Już prawie południe; wszystkie jadłodajnie będą otwarte. Higgins, ty weźmiesz doki. Upshaw i Martin, rozdzielcie się i sprawdźcie dzielnicę handlową.

Ja zajmę się ulicami położonymi wyżej na wzgórzu. Spotkajmy się za dwie godziny i zobaczymy, czego udało nam się dowiedzieć.

\*\*\*

Kiedy powóz lady Holbrook wreszcie się zatrzymał, Edwina spojrzała na duży, niski, prostokątny budynek kryty strzechą, skonstruowany na szkielecie z wypolerowanych pni, ze ścianami z plecionych trzciniowych paneli. Położony był na rozległej pustej przestrzeni, otoczonej ze wszystkich stron prostymi chatami; niedaleko na tyłach zaczynała się gęsta dżungla, mroczna i groźna.

Wyglądało na to, że kościół Obo Undoto leży na samym skraju kolonii.

Podróż zajęła im około dwudziestu minut, poruszali się na wschód od europejskiej enklawy na Tower Hill i dzielnicy handlowej otaczającej zatokę. Okazało się, że Tower Hill to tylko jedno ze wzniesień w łańcuchu niewysokich gór biegnących wzdłuż wybrzeża; teraz znajdowali się nisko na zboczu następnego.

Lady Holbrook wysiadła z powozu jako pierwsza, przy pomocy Billingsa, który jechał na koźle z woźnicą gubernatora. Za nią podążyła Edwina; ujęła wyciągniętą dłoń sługi i stanęła obok lady Holbrook na skraju pylistego dziedzińca przed kościołem.

Odruchowo obejrzała się na północ, w kierunku morza. Zamiast wielkich statków oceanicznych zapelniających Zatokę Kroo ujrzała zbieraninę łodzi rybackich kołyszących się na łagodnych falach. Nie było widać żadnych zabudowań handlowych; obszar między kościołem a nabrzeżem wypełniały nędzne, stłoczone rudery.

Pani Quinn i pani Robey również przyjechały powozem gubernatorowej. One także skorzystały przy wysiadaniu z pomocy Billingsa.

Lady Holbrook machnęła ręką w stronę budynku.

– Oto kościół Obo Undoto. – Spojrzała na Edwinę z uśmiechem. – Oczywiście daleko mu do kościoła św. Jerzego, ale jak na miejscowe świątynie jest dość imponujący.

Skierowała się ku wejściu.

– Przynajmniej siedzenia są wygodne – rzekła pani Robey, unosząc rąbek sukni, po czym wraz z panią Quinn ruszyła w ślad za lady Holbrook.

Edwina przystanąła, by przyjrzeć się fasadzie kościoła. Drzwi wejściowe były wykonane z wyplatanych paneli na zawiasach; teraz stały otwarte, tworząc łukowate wejście, przez które do środka napływał tłum wiernych. Po obu stronach drzwi uniesiono część paneli składających się na ściany, aby utworzyć okna. Całość nie przypominałaby kościoła, raczej jakiś plemienny dom spotkań – chyba można by go nazwać ratuszem – gdyby nie duży drewniany pobielony krzyż podwieszony pod nisko sklepionym dachem.

Edwina rozejrzała się, lecz nigdzie nie zauważyła pani Sherbrook, toteż



pospiesznie ruszyła za pozostałymi paniami. Billings szedł za nią, utrzymując pewien dystans; zdawała sobie sprawę z jego obecności i musiała przyznać, że się z niej cieszy. Wchodząc między stłoczone w wejściu ciała, nieco mocniej ścisnęła torebkę.

Nie odrywając wzroku od siwych włosów lady Holbrook, podążyła za trzema damami do jednej z przednich ławek po lewej stronie przejścia.

Lady Holbrook usiadła, podniosła wzrok i zobaczyła, że Edwina czeka, by do nich dołączyć. Poklepała miejsce obok siebie.

– Proszę usiąść przy mnie, lady Edwino. Stąd będzie pani doskonale wszystko widziała.

Edwina z radością usłuchała. Rozejrzała się z ciekawością, układając spódnicę. Na wprost przed nią stała podwyższona mównica, nieróżniąca się zbyt od tego, co można zobaczyć w Anglii – to właśnie ją musiała mieć na myśli lady Holbrook, mówiąc o dobrym widoku. Na podeście biegnącym przez całą szerokość budynku znajdował się ołtarz. Stał na nim piękny srebrny krucyfiks i cztery świeczniki, jednak dalej, gdzie w większości kościołów znajdowałoby się główne okno, była tylko trzcinowa plecionka.

Obracając się na siedzeniu, Edwina popatrzyła za siebie. Wszystkie zgromadzone osoby w sukniach, frakach i mundurach odpowiedziały jej spojrzeniem. Wyglądało na to, że połowa świątyni zarezerwowana była dla Europejczyków; tubylcy zbierali się po drugiej stronie przejścia.

Zauważyła Billingsa. Wcisnął się w kąt ławki za jej plecami; nie był już bezpośrednio za nią, ale też nie oddalił się zbyt. Rozejrzała się po tłumie w poszukiwaniu pani Sherbrook, lecz bez powodzenia. Kościół był prawie pełen; powietrze wypełniał szmer licznych rozmów.

Edwina nieuważnie przysłuchiwała się konwersacji pani Robey i lady Holbrook; zaczynała się zastanawiać, czy pani Sherbrook nie zmieniła zdania w sprawie udziału w nabożeństwie, kiedy nagle dama przecisnęła się przez tłum przy drzwiach, akurat w momencie, kiedy kongregacja zaczęła cichnąć. Z wyraźnym pośpiechem ruszyła przejściem, przyglądając się zatłoczonym ławkom.

Edwina, która umyślnie pozostawiła miejsce między sobą a lady Holbrook, pomachała do niej i przysunęła się bliżej gubernatorowej, zwalniając akurat tyle miejsca, by pani Sherbrook mogła się wcisnąć do ławki.

– Jakże to uprzejmie z pani strony, lady Edwino, dziękuję bardzo. – Pani Sherbrook zaczęła się wachlować odzianą w rękawiczkę dłonią; na jej policzkach wykwitły rumieńce.

– Moje najmłodsze dziecko nadal nie przyzwyczyło się do pozostawiania w domu z nową nianią. Już się bałam, że nie zdążę na czas.

Edwina uśmiechnęła się współczująco.

– Na szczęście się udało. – Zniżyła głos i dodała: – Miałam nadzieję, że uda mi się znowu z panią porozmawiać. Może po nabożeństwie mogłybyśmy usunąć się na chwilę na ubocze. Chciałabym panią o coś zapytać.

Pani Sherbrook była nieco zdziwiona, lecz kiwnęła ochoczo głową.

– Ależ oczywiście. Z chęcią pomogę na miarę swoich możliwości.

Otwarcie drzwi po jednej stronie ołtarza zapowiedziało rozpoczęcie nabożeństwa. Edwina popatrzyła przed siebie. Gdy wszyscy się podnieśli, nakazała sobie cierpliwość i na razie postanowiła się skupić na kazaniu.

Rosły Afrykańczyk o imponującej postaci, odziany w ceremonialne szaty podobne do ubrania każdego chrześcijańskiego duchownego – Edwina domyślała się, że to właśnie Obo Undoto – wprowadził do kościoła małą procesję złożoną z ministrantów i chórzystów. Statecznym, lecz zdecydowanym krokiem wszedł na mównicę, podczas gdy ministranci z kołyszącymi się w rękach kadzielnicami rozstawili się po obu stronach ołtarza, a chór ustawił się w rzędach na boku.

Przyjrawszy się Undoto, Edwina musiała przyznać, że prezentuje się znakomicie. Wysokiego wzrostu i dobrze zbudowany, miał mocne ramiona i szerokie, umięśnione piersi. Jego skóra była lśniąca i miała barwę głębokiego brązu, przywodzącą na myśl polerowany mahoń. Albo był łysy, albo – co bardziej prawdopodobne – celowo golił głowę; dzięki temu jego wyraziste rysy sprawiały jeszcze bardziej uderzające wrażenie.

Oparł się o mównicę i rozejrzał po zgromadzeniu, po czym uśmiechnął się, uniósł ręce i przemówił – Edwina nagle pojęła, dlaczego lady Holbrook określiła go słowem „charyzmatyczny”.

Jego głos był wyjątkowy – mocny, potężny, a mimo to dobrze modulowany. Undoto miał zdumiewająco dobrą dykcję i mówił praktycznie bez akcentu.

Kiedy usiedli po pierwszej modlitwie, pomyślała: ktoś go tego nauczył. Oczywiście zaraz potem zaczęła się zastanawiać, skąd to przypuszczenie. Undoto z ogromnym talentem roztaczał nad słuchaczami swój czar, podczas gdy ona kontynuowała obserwację i analizę – pragnęła przejrzeć sztuczkę.

Główny oręż duchownego stanowił głos: głęboki baryton, który wznosił się i opadał kadencjami jak nabrzmiewająca fala, unosząca ze sobą publiczność. Efekt podkreślały dramatyczne gesty i doskonale wycucie czasu; ogólnie rzecz biorąc, był to niezwykle spektakl.

Kiedy w trakcie kazania zagrzmiał i pulpit zatrzęsł się pod jego pięścią, Edwinie przyszło do głowy słowo „fajerwerki”. Wspaniały rozbłysk, który miał chwilowo olśnić słuchaczy.

W gruncie rzeczy wszystko, co robił Undoto, było równie powierzchowne, pozbawione treści i złudne jak gwiazdne błyski sztucznych ogni.

Nie miał w sobie prawdziwej pasji.

Potwierdziło to szybkie porównanie z wielebnym Gillingsem, który od

dziesiątek lat pełnił urząd proboszcza w Ridgware – staruszek mówił spokojnie, a jego kazania stanowiły wzór łagodnego i szczerego wyrażania myśli; głos miał cichy, ale w każdym słowie pobrzmiwała wiara – i płynąca z niej pasja.

Za popisami Obo Undoto nie kryła się żadna wiara.

Tym, w co wierzył i co oferował, była tylko rozrywka, zwyczajnie i po prostu, przyodziana jedynie w religijne szaty. Spoglądając ciekawie na twarze pobliskich osób, Edwina musiała przyznać, że chyba niewiele z nich brało jego duchowość za dobrą monetę, w głębi serca znali prawdę. Była to niemal kpina z prawdziwej wiary; nic dziwnego, że wielebny Hardwicke tak krytykował posługę Undoto.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, by tego rodzaju spektakl uznany został za wielką atrakcję gdziekolwiek poza tego typu kolonią, gdzie niewiele było innych źródeł rozrywki, zwłaszcza dla małżonek żołnierzy, urzędników i kupców.

Jakoś musiały sobie umilać dni i dlatego można było posunąć się do twierdzenia, że Undoto – choć z całą pewnością był szarlatanem – świadczył pożyteczną usługę. Przecież mało prawdopodobne, by udział w pseudoreligijnych obrzędach wyrządził komukolwiek krzywdę.

A hymny pozostały niezmienione. Edwina lubiła śpiewać i nie widziała powodu, by nie napawać duszy krzepiącymi wersami; przynajmniej tyle szczerzej przyjemności mogła wynieść z tego wydarzenia.

Wreszcie, kiedy taca ofiarna obiegała całe pomieszczenie – Edwinie przypominało to raczej krążenie kapelusza ulicznego artysty – Undoto wyciągnął ręce i udzielił błogosławieństwa. Zaraz potem zszedł z mównicy i ruszył przejściem, a jego krok i twarz wyrażały pewność siebie.

Edwina miała nadzieję, że podobnie jak w Anglii, wierni wyjdą teraz kolejno i podzielą się na zewnątrz na grupki, by pogawędzić przez chwilę, zanim rozejdą się do domów. Mając za sobą panią Sherbrook, ruszyła przejściem za lady Holbrook, panią Quinn i panią Robey.

Undoto stał na zewnątrz tuż przy drzwiach, by pożegnać się z parafianami. Damy nie ujmowały jego dłoni, lecz uśmiechały się i pochylały głowy. Lady Holbrook skomplementowała nabożeństwo i Undoto uśmiechnął się, a jego białe zęby zabłysły na tle ciemnej twarzy.

Gubernatorowa odsunęła się na bok, by przedstawić Edwinę.

– Lady Edwina przyплыnęła z Anglii w odwiedzinie. Bardzo chciała wziąć udział w jednym z nabożeństw.

– Doprawdy?

Ciemne oczy Undoto skierowały się badawczo na Edwinę, która przybrała pozę arystokratycznej wyższości i odparła chłodno:

– Mąż mój i ja zatrzymaliśmy się tu tylko na kilka dni, więc cieszę się, że miałam okazję wziąć udział w dzisiejszym nabożeństwie.

Undoto skłonił się nisko.

– To dla mnie zaszczyt, pani.

Edwina odeszła na bok, obdarzywszy go swym najbardziej królewskim skinieniem głowy. Zauważyła ku swej radości, że lady Holbrook zaangażowała się już w ożywioną dyskusję z kilkoma innymi paniami, toteż przystanęła i zaczęła na panią Sherbrook.

Dama zbliżyła się i Edwina musnęła jej rękaw.

– Może mogłybyśmy teraz porozmawiać.

– Tak, oczywiście. – Pani Sherbrook skinęła głową w kierunku jednej z kilku ławek otaczających dziedziniec. – Przysiadźmy tam, z dala od zgiełku.

W tłumie zmaterializował się Billings; szedł za nimi, gdy kierowały się w stronę wolnej ławki. Pani Sherbrook obejrzała się na niego z niechęcią, lecz Edwina wyjaśniła:

– To mój służący.

– Ach. Rozumiem.

Usiadły, Billings zaś przystanął kilka stóp od nich, na tyle daleko, by nie przeszkadzać w konwersacji. Nie wiedząc, ile czasu potrwa rozmowa lady Holbrook, Edwina od razu przeszła do rzeczy.

– Proszę wybaczyć, jeśli moje pytanie wyda się natrętne, ale i ja, i mój mąż bardzo się przejęliśmy tymi dziwnymi zniknięciami.

Spojrzała na panią Sherbrook akurat w porę, by zobaczyć, jak ta przygryza dolną wargę. Edwina mówiła dalej:

– Kiedy poruszono ten temat na herbacie u lady Holbrook i potem u państwa Macauley, trudno mi było nie zauważyć, że wydawała się pani... przejęta.

Pani Sherbrook utkwiała spojrzenie w twarzy Edwiny, a potem, wyraźnie tocząc ze sobą walkę, rzekła pospiesznie:

– Straciliśmy naszą nianię. Tę poprzednią. Zwyczajnie zniknęła, dokładnie tak jak kilka innych osób, o których słyszeliśmy. Poszła odebrać paczkę i już nie wróciła. Paczka nadal czekała... Dziewczyna nigdy nie dotarła na pocztę. – Twarz pani Sherbrook zachmurzyła się, w jej głosie pojawiła się wojownicza nuta. – Letitia Holbrook może sobie sugerować, że te młode zaginione kobiety były rozpustne i niemoralne i że poszły w ślad za swoimi mężczyznami... ale Katherine wcale taka nie była, ani trochę!

Edwina pocieszającym gestem nakryła dłonią zaciśnięte palce pani Sherbrook.

– Jaka więc była Katherine?

– Była dobra, dzieci ją uwielbiały. – Pani Sherbrook urwała, po czym mówiła dalej: – Nazywała się... to jest, nazywa się Katherine Fortescue. Pochodzi z rodziny ziemiańskiej. Mówiąc szczerze, jest lepiej urodzona ode mnie, ale jej rodzina podupadła i... no cóż, Katherine była dumna i postanowiła, że zdobędzie

niezależność i nie będzie nikomu ciężarem. Odpowiedziała na ogłoszenie, które zamieściliśmy w „Timesie” za naszą ostatnią bytnością w Londynie, i wróciła z nami do Freetown.

Pani Sherbrook sprawiała wrażenie, jakby uszło z niej powietrze.

– Stała się ukochaną opiekunką naszych dzieci, a w ciągu ostatnich miesięcy także i moją drogą towarzyszką. – Uniosła wzrok na Edwinę. – Nie istnieje żadne prawdopodobieństwo, by Katherine zwyczajnie uciekła z jakimś mężczyzną do dżungli. Została porwana. Nie mam pojęcia, dlaczego ani przez kogo, ale została uprowadzona; nie da się tego inaczej wytłumaczyć. Mój mąż usiłował zwrócić na to uwagę gubernatora, ale gubernator Holbrook wydaje się w tej kwestii zaślepiiony. Zwyczajnie zbywa to wzruszeniem ramion i twierdzi, że nic nie da się zrobić.

Edwina wyczuwała frustrację i rozpacz kobiety, ale co mogła powiedzieć?

– Wydaje mi się, że są też inni, którzy zaczynają się godzić z myślą, że pewnych ludzi zabrano... uprowadzono. Ale, jak pani zauważyła, nadal nie wiadomo, kto to zrobił ani dlaczego.

Pani Sherbrook się przygarbiła.

– Ciągle odkładam zawiadomienie rodziny Katherine, ufając wbrew nadziei... Ale minęło już kilka miesięcy, a nie mieliśmy żadnych wieści. – Wpatrując się pustym wzrokiem przed siebie, odetchnęła głęboko i się wyprostowała. – Będę musiała zrobić to wkrótce.

Edwina rozumiała jej poczucie bezradności, lecz sama nigdy łatwo mu nie ulegała. Może miało to coś wspólnego z tym, że urodziła się jako córka księcia, w każdym razie o wiele łatwiej przychodziło jej żądanie odpowiedzi i rozwiązań.

– Lady Edwino! Hola! – Pani Quinn pomachała do niej przez rzednący tłum, po czym wskazała ręką powozy. – Lady Holbrook jest gotowa do odjazdu.

Edwina przełknęła westchnienie i się podniosła. Kiedy pani Sherbrook również wstała, ujęła ją za rękę i ścisnęła łagodnie.

– Dziękuję, że opowiedziała mi pani o Katherine.

Pani Sherbrook kiwnęła głową. Dość nerwowym ruchem wysunęła dłoń z uścisku Edwiny i dygnęła. Prostując się, dodała jeszcze:

– Gdyby czegokolwiek się pani dowiedziała...

– Na pewno dam pani znać.

Pani Sherbrook pospieszyła do swego powozu, Edwina zaś wsiadła do powozu lady Holbrook. Wcale nie cieszyła się na pytania o swą opinię na temat popisu Obo Undoto, jakimi bez wątpienia zostanie zarzucona.

Ale przynajmniej nie straciłam czasu na próżno, pomyślała.

Usiadła obok lady Holbrook i przesunęła jasnym wzrokiem po twarzach pozostałych dam.

– Uprzedzały mnie panie, że będzie interesująco, i rzeczywiście tak było.

Oparła się swobodnie; przy odrobinie szczęścia okrzyki podziwu i zachwyty w odpowiedzi na jej słowa zajmą całą drogę powrotną na Tower Hill.

\*\*\*

Declan poświęcił większą część popołudnia na krążenie po lokalach wokół Fortu Thornton, w dzielnicy Europejskiej i niżej na zboczach wzgórza, gdzie mógłby się stołować kawaler pracujący w kancelarii gubernatora.

W kolonii takiej jak Freetown europejski dżentelmen nienależący ani do armii, ani do marynarki nie był widokiem na tyle powszechnym, by nie zwracać na siebie uwagi i nie prowokować pytań. Declan nie dysponował opisem wyglądu Hillsythe'a, ale znał jego wiek, miejsce pracy i czas przybycia do Freetown – to powinno wystarczyć, by trafić na jakiś ślad.

Kiedy poszukiwania na Tower Hill okazały się bezowocne, zaczął się zastanawiać, czy nie popytać w kancelarii gubernatora, która mieściła się w forcie, ale gdyby tam poszedł, natychmiast by go rozpoznano, a biorąc pod uwagę żywe zainteresowanie, jakie wzbudziła jego bajeczka o plotce, która go tu przywiodła, wszelkie zadawane przez niego pytania zostałyby zauważone i skomentowane.

A przecież Wolverstone i Melville nie ufali już ludziom pracującym dla gubernatora.

Declan uznał, że nie jest jeszcze na tyle zdesperowany, by działać wbrew wszelkiemu rozsądkowi, i zaczął schodzić ze wzgórza. Bez żadnych poważnych nadziei w związku z Hillsythe'em powrócił do tawerny, gdzie umówił się ze swoimi ludźmi, już teraz planując następny ruch.

Jedno spojrzenie na twarz Upshawa wystarczyło jednak, by opuściło go przygnębienie.

– Czego się dowiedziałeś?

Higgins i Martin gestami ponaglili druha do mówienia.

Upshaw zaczął opowiadać, niemal podskakując z ekscytacji na krześle.

– Zdaje się, że upodobał sobie mały lokalik w pobliżu urzędu celnego. Siadał przy frontowym oknie i jedząc, obserwował przechodniów. Oczywiście nie podał swojego nazwiska, ale właścicielka mówiła, że przybył niedawno i pracował w forcie, w budynku gubernatorskim. Tyle jej wyjawiał.

– Wyśmienicie. – Declan pomyślał, że powinien był sam się domyślić, iż człowiek Wolverstone'a nie pozwoli się pociągnąć za język ani w okolicach fortu, ani w portowych tawernach. – Czy ta kobieta wiedziała, gdzie kwaterował?

– Nie... To znaczy, nigdzie nie kwaterował. Nigdy jej o tym nie mówił, ale któregoś dnia widziała go na ulicy niedaleko od siebie; wyjął klucz i wsunął się do środka. Pokazała mi drzwi. Mówiła, że właściciel wynajmuje pokój na górze, i tam właśnie chadzał nasz człowiek.

Declan poklepał Upshawa po ramieniu.

– Jeszcze będzie z ciebie bosman.

Był to stary żart wśród jego załogi, bo nikt nie wyobrażał sobie, że można by zastąpić Grimsby'ego.

– Będziemy więc tu siedzieć czy pójdziemy tam się rozejrzeć? – zapytał Higgins.

Declan się zastanowił.

– Zajrzemy tam, ale wy trzej trzymajcie się z tyłu. Zmyślę jakąś bajkę o tym, że przyjechałem zastąpić Hillsythe'a i chcę sprawdzić, czy nie zostawił czegoś w pokoju. Lepiej, żeby was ze mną nie widziano, ale możecie poczekać na zewnątrz. Zobaczymy, czego się dowiem.

Zrobili, jak powiedział, i zaczęli na niego po przeciwnej stronie ulicy, o przecnicę dalej, niewidoczni z okien krawieckiego zakładziku, nad którym mieszkał Hillsythe.

Stary krawiec, właściciel zakładu, przełknął opowieść Declana bez zastrzeżeń i chętnie otworzył zewnętrzne drzwi, by pokazać mu górne piętro. Hillsythe zapłacił czynsz za trzy miesiące, toteż krawiec nie ruszał jeszcze jego rzeczy. Potwierdził też, że nikt inny poza Declanem nie wypytywał go o lokatora.

Pokoik nad zakładem był dość spartański. Mieściło się w nim łóżko, wąska szafa, mały regalik, biurko ustawione pod jedynym oknem, a obok krzesło o prostym oparciu, do tego kufer podróżny przy drzwiach. Declan omiótł pomieszczenie wzrokiem i zobaczył pędzle i przybory do golenia na półeczce nad umywalką. Kolejny, który zamierzał niebawem wrócić.

Podszedł do biurka. Nie pozostawiono na nim żadnych papierów, nie było też szuflady, w której można by cokolwiek ukryć. Czując na sobie wzrok stojącego w drzwiach krawca, Declan podszedł do szafy i otworzył drzwi. Zajrzał do środka i poczuł, jak podnoszą mu się włoski na karku.

Jeden wieczorowy frak, wieszak ze schludnie przewieszoną parą spodni, kolejny pusty i jeszcze jeden z zapasową koszulą – wszystko wisiało w doskonałym porządku, lecz na dolnej półce eleganckie buty Hillsythe'a, para znoszonych ciężkich buciorów i stare, wygodne buty na co dzień walały się w nieładzie.

Declan zmusił się do udawania, że szuka dokumentów, po które rzekomo go przysłano. Potem zamknął szafę i podszedł do kufra. Powierzchnowe spojrzenie do środka upewniło go, że i on został dokładnie przeszukany.

Spuścił wieko i z westchnieniem rezygnacji uśmiechnął się lekko do krawca.

– No cóż, szanse i tak były niewielkie, ale najwyraźniej nie zostawił tu tych papierów.

Chwilę później był już z powrotem na ulicy i zmierzał w kierunku swoich ludzi. Minał ich, nie zatrzymując się, a oni odwrócili się i ruszyli za nim. Nie przystanął, póki nie skręcił za róg i nie znalazł się z powrotem na ruchliwej Water

Street.

Higgins, Martin i Upshaw stanęli przed nim. Higgins uniósł pytająco brwi.

– Znalazł pan coś?

– Pokój Hillsythe’a przeszukano. W tajemnicy. Krawiec nic o tym nie wie. –

Declan nadal próbował zrozumieć, co to oznacza. – Nie mogli ryzykować włamania do pokoju Dixona w forcie ani do kajut Fanshawe’a czy Hopkinsa na ich statkach. Jednak dostanie się do pokoju Hillsythe’a nie stanowiło problemu, więc to zrobili.

– Ale czego szukali? – spytał Martin.

Declan się skrzywił.

– Zapewne czegoś, co mogłoby podsunąć komuś... na przykład mnie... wskazówki na temat tego, dokąd udał się Hillsythe albo kogo podejrzewał. Najprawdopodobniej byli to ci sami ludzie, którzy go uprowadzili.

– A więc... – wtrącił Upshaw – to znaczy, że ktoś naprawdę porzywa tych wszystkich ludzi, prawda? Nie uciekli, ale ktoś ich uprowadził?

Declan skinął ponuro głową. Zacisnął zęby i rozejrzał się szybko.

– Sądzę, że dowiedzieliśmy się wszystkiego, co mogliśmy, o naszej czwórce.

Wracajcie na statek, a ja muszę sprawdzić jeszcze jedno miejsce.

Higgins, Martin i Upshaw zaszalutowali energicznie, po czym odwrócili się i ruszyli w stronę Kei Rządowej, skąd mogli przedostać się łodzią wiosłową na pokład „Kormorana”.

Declan popatrzył za nimi, zaczerpnął głęboki oddech, po czym zebrał się w sobie i ruszył w kierunku szpitala kolonii.



## Dziesięć

Godzinę później Declan wrócił do bungalowu, wszedł do salonu, gdzie czekała Edwina, i padł na fotel. Przez kilka sekund gapił się niewidzącym wzrokiem w wysokie okna otwarte na taras, po czym uniósł dłonie i potarł twarz.

Zaszeleścił jedwab – to Edwina wstała z miejsca; usłyszał jej kroki na polerowanej podłodze, a potem brzęk kryształów.

Kiedy odjął dłonie od twarzy, stała obok. Wyciągnęła do niego kryształową szklaneczkę z porcją whisky na dwa palce.

– Proszę. Wyglądasz, jakbyś musiał się napić.

Przyjął alkohol z wdzięcznością.

– Dziękuję.

Kiedy upijał pierwszy łyk, Edwina wróciła na swoje krzesło. Usiadła i złożyła ręce na kolanach. Omiotła jego twarz błękitnym spojrzeniem.

– A więc... gdzie byłeś i czego się dowiedziałeś?

Jej rzeczowy ton pomógł mu odzyskać koncentrację. Napił się więcej, przełknął i poczuł w gardle ogień. Mocny alkohol trafił mu do żołądka, ciepło rozeszło się po ciele i Declan poczuł się nieco lepiej. Wbił spojrzenie w twarz Edwiny.

– Wracam właśnie z kostnicy.

Zmarszczyła brwi.

– Masz powody sądzić, że naszą czwórkę zamordowano?

– Nie. Wręcz przeciwnie. – Objął szklaneczkę dłońmi i streścił jej, w jaki sposób on sam i jego ludzie spędzili dzień. – Nie znaleźliśmy nic, co poparłoby teorię, że zaginieni zwyczajnie odeszli, by szukać szczęścia. – Uniósł brew z cynicznym wyrazem twarzy. – Im częściej słyszy się tę wymówkę, tym mniej wiarygodnie brzmi. Znaleźliśmy jednak dowody, że wszyscy czterej spodziewali się wrócić do swoich kwater jak zwykle. Ich rzeczy były na miejscu: pędzle, grzebienie, przybory do golenia, ubrania, wszystko jak zawsze. Co więcej, pokój Hillsythe'a został przeszukany, potajemnie, już po jego zaginięciu. Wszystko wskazuje na to, że ich uprowadzono. – Zamyślił się na chwilę, po czym ciągnął: – Idąc dalej tym tropem: gdyby ich zaatakowano i schwytano, każdy z nich próbowałby się bronić, jeden lub więcej mógłby nawet zginąć. Musieliśmy to sprawdzić, więc poszedłem do kostnicy.

– I czy... czy znalazłeś tam któregoś z nich?

– Nie. Oczywiście minęło wiele tygodni, więc nie spodziewałem się, że ciała nadal tam będą, a już na pewno nie w tym klimacie. Ale sprawdziłem wpisy z ostatnich pięciu miesięcy. Nie było w nich żadnych zwłok niezidentyfikowanych mężczyzn europejskiego pochodzenia, które mogłyby należeć do jednego

z naszych zaginionych.

Westchnął, po czym przełknął kolejny łyk whisky.

– Kostnica nigdy nie jest przyjemnym miejscem, ale w tropikach... – Wciąż jeszcze czuł w nozdrzach ten odór.

– Więc nie było ich tam. – Edwina zmarszczyła brwi. – Czy wolno nam z tego wnioskować, że nadal żyją? – Popatrzyła na męża. – Czy nie mogli zostać zabici gdzie indziej, a ich ciała zakopano albo wrzucono do morza?

Declan zastanowił się nad tym i skrzywił.

– Nie możemy wykluczyć takiej możliwości, ale moim zdaniem fakt, że w kolonii nie znaleziono zwłok ani jednego z nich, znacząco zwiększa prawdopodobieństwo, że wszyscy wciąż żyją. I znowu powtórzę: jesteśmy w tropikach, gdzie zwykle dość szybko znajduje się trupy. A tubylcy mają własne rytuały pogrzebowe i są w tych sprawach przesądni, więc gdyby znaleźli martwego Europejczyka, jak najszybciej przynieśliby jego ciało do kostnicy. Owszem, niewykluczone, że nasza czwórka mogła zginąć z dala od ludzkich osiedli, ale... Ogólnie rzecz biorąc, skoro nigdzie nie odnaleziono żadnych zwłok, najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie brzmi, że wszyscy zostali porwani i nadal żyją, tylko z jakiegoś powodu są gdzieś przetrzymywani.

Po krótkiej chwili dodał twardszym tonem:

– Jest coś jeszcze. Skoro potajemnie przeszukano pokój Hillsythe'a już po porwaniu... Jedynym powodem musiało być zdobycie pewności, że nie zostawił tam niczego, co mogłoby doprowadzić do porywaczy. Jak zauważył jeden z moich ludzi, oznacza to, że porwanie nie jest już tylko hipotezą, ale faktem: tylko prawdziwi porywacze mogą przeszukać czyjś pokój i tylko prawdziwi porywacze obawiają się wykrycia.

– Hm. Oznacza to także, że ci porywacze wciąż tu byli... to jest, tu w kolonii, już po zniknięciu Hillsythe'a, i gotowi byli podjąć działania, by ich nie wykryto. Co z kolei sugeruje, że zamierzali tu pozostać i być może kontynuować swoje dzieło. – Edwina się zamyśliła. – Jeśli wziąć pod uwagę, że poza tą czwórką zaginęło o wiele więcej osób, które także najprawdopodobniej uprowadzono, i to wszystko nie budząc żadnego zaniepokojenia, to ktokolwiek stoi za tymi porwaniami, działa bardzo sprytnie.

– Działa też w opanowany i przemyślany sposób. Nabrał pewności siebie, zresztą niebezpiecznie. – Po chwili milczenia Declan na powrót zwrócił się ku Edwinie. – Więc czego się dowiedziałaś? Udało ci się porozmawiać z panią Sherbrook?

– Owszem. Miałam rację, że przejęła się rozmową o tych „zniknięciach”. Kilka miesięcy temu zaginęła Katherine Fortescue, niania, którą znaleźli w Anglii do opieki nad dziećmi. – Opowiedziała wszystko, czego się dowiedziała od pani Sherbrook. – Oczywiście teraz czuje się odpowiedzialna, że ją tu przywiozła i tym

samym sprowadziła na nią niebezpieczeństwo, mimo iż Katherine sama pragnęła objąć to stanowisko.

Edwina, mając służbę, potrafiła wczuć się w cierpienie pani Sherbrook. Jeszcze bardziej współczuła Katherine. Wciąż rozmyślała o tym, że gdyby nie poświęcenie Juliana, sama mogłaby się znaleźć na miejscu Katherine. Tylko dzięki bratu nie musiała zarabiać na siebie pracą guwernantki; wyższe sfery i całe społeczeństwo wciąż traktowały ją jak córkę księcia, którą była, a do tego miała możliwość poślubienia mężczyzny, którego lubiła, szanowała i uczyła się prawdziwie kochać. Mężczyzny, który mógł dać i dawał jej wszystko, czego pragnęła.

Pod wpływem impulsu złożyła w sercu milczący, niemal nieświadomy ślub. Jako młoda kobieta, którą mógł spotkać ten sam los, co Katherine Fortescue, dołoży wszelkich starań, by ją uratować.

Uniosła wzrok i zobaczyła, że Declan marszczy brwi.

– Co się stało?

– Właśnie sobie przypomniałem... Chyba ci nie mówiłem, że Charles Babington wspominał o jakiejś młodej kobiecie, która również zniknęła. Odniosłem wrażenie, że był nią zainteresowany. Nazywał ją damą, a wątpię, czy miałby okazję choćby poznać nianię Sherbrooków... Jakoś nie wydaje mi się, by ich opiekunka poruszała się w tych samych kręgach, co on.

– Wiemy już zatem o czterech zaginionych mężczyznach, z których wszyscy to oficerowie lub dżentelmeni, oraz o co najmniej dwóch zaginionych kobietach z ziemiaństwa. – Edwina zastanowiła się, po czym dodała: – To sugeruje, że te rzekome pogłoski o zaginionych dzieciach również mogą być prawdziwe.

Kiedy spochmurniały Declan nie zaprzeczył ani słowem, Edwina rozłożyła bezradnie ręce.

– Dlaczego nie podjęto w tej sprawie żadnych kroków? Dlaczego władze tak uparcie przysmykają na to oczy?

Declan się skrzywił.

– Mnie również to martwi. Zwłaszcza że nawet Babington sprawia wrażenie, jakby zaakceptował obowiązującą wersję wydarzeń, choćby niechętnie i wbrew własnym przeczuciom. – Po sekundzie poprawił się, mrużąc oczy: – Albo przynajmniej uważa, że musi postępować, jakby ją akceptował.

Wyszczył kolejny łyk whisky. Po chwili stwierdził:

– Może i nie lubię Deckera, ale mogę sobie wyobrazić powód jego obojętności. Większość ostatniego roku spędził na morzu, dowodząc eskadrą. Jego kancelaria musiała wiedzieć o zniknięciu Dixona, inaczej nie przekazałaby polecenia Melville'a, by wysłać na poszukiwania Hopkinsa. A kiedy zniknął i Hopkins, to właśnie kancelaria Deckera poinformowała Melville'a, który przysłał Fanshawe'a. Ludzie Deckera wiedzą też o tym ostatnim zniknięciu, bo zawiadomili

o nim Admiralicję, ale jest zupełnie możliwe, że sam Decker przez cały ten czas, jeszcze przed zniknięciem Dixona, przebywał na morzu i ścigał handlarzy niewolników.

– Więc nawet gdyby tu był, niekoniecznie wiedziałby o przybyciu Hillsythe'a ani o jego zniknięciu.

Declan pokręcił głową.

– Ani Decker, ani jego kancelaria nie wiedzą nic o Hillsycie. Wolverstone i Melville by im nie powiedzieli. Nikomu tu nie ufają, włączając w to Deckera.

– Zatem wiceadmirał nie dopuścił się żadnego zaniedbania i opieszałości w tej sprawie. Zresztą i tak go tu nie ma, więc na razie możemy się nim nie przejmować. – Edwina popatrzyła na Declana. – A co z tym majorem, który dowodzi garnizonem w forcie? Musi wiedzieć przynajmniej o zniknięciu Dixona.

– Major Eldridge. – Declan zmarszczył brwi. – Pozostali oficerowie nie są zadowoleni z tego, w jaki sposób potraktowano sprawę Dixona, a wygląda na to, że zbyto ich tą samą historyjką, jaką usłyszeliśmy od Holbrooka... – Nagle Declan się skrzywił. – Właśnie sobie przypomniałem: Eldridge i Holbrook się nie dogadują. W tych okolicznościach niezbyt to dziwi. Eldridge odpowiada za obronę kolonii przed atakiem z zewnątrz, ale to Holbrook zajmuje wyższe stanowisko i tylko na jego rozkaz Eldridge może przeciwdziałać zagrożeniu wewnętrznemu.

– A więc póki Holbrook nie każe mu działać, Eldridge ma związane ręce, czy tak?

– Tak, chyba że chciałby wywołać wielkie poruszenie. Ale w tym przypadku niewykluczone, że to Melville wprowadził jeszcze większe zamieszanie, prosząc Deckera, by wysłał za Dixonem Hopkinsa i Fanshawe'a. Jest zupełnie możliwe, że Eldridge nie ma pojęcia ani o tym, ani o ich zniknięciu. – Declan poruszył się niespokojnie. – Z całą pewnością nie słyszał też o Hillsycie.

– I przypuszczam, że nie ma żadnego powodu, by sądzić, iż majora poinformowano o którymkolwiek z pozostałych zniknięć... o tych młodych kobietach i dzieciach?

– Nie. Nie sądzę, by mu powiedziano. – Po chwili Declan dodał: – Biorąc pod uwagę napiętą atmosferę w forcie, wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że Eldridge doniósł Holbrookowi o zniknięciu Dixona, zresztą zupełnie słusznie. Pewnie spodziewał się rozkazu, że ma dołożyć wszelkich starań, by go odszukać. A zamiast tego Holbrook usiłował go przekonać, że Dixon sam uciekł. Mógł nawet wprost odmówić pozwolenia na dochodzenie, a skoro Eldridge nie miał żadnych dowodów, że popełniono przestępstwo, zmuszony był usłuchać i przynajmniej oficjalnie popierać stanowisko gubernatora.

Declan zamilkł i po chwili mówił dalej:

– Nie znam Eldridge'a za dobrze, ale z tego, co słyszałem, wnioskuję, że lubi trzymać się przepisów, więc nieważne, że prywatnie nie zgadza się z Holbrookiem,

publicznie i tak będzie go wspierał.

– Ale po co gubernator miałby tak postępować? Przecież jeśli w jego kolonii dzieje się coś podejrzanego, na pewno chciałby jak najszybciej się z tym rozprawić. Czemu miałby odmówić Eldridge’owi pozwolenia na dochodzenie?

– Myślę, że coś nam umyka. A raczej pomijamy to, bo nie wiemy jeszcze dostatecznie dużo, by zrozumieć, jak to wpływa na całą sytuację. – Declan pochylił się, wsparł łokciami o uda i ujął szklanę w obie dłonie. – Holbrook jest stary, ale nie aż tak stary. Pewnie ma przed sobą jeszcze jakieś dziesięć lat na stanowisku. I na pewno ma nadzieję, że po Freetown przydzielą go w jakieś bardziej cywilizowane miejsce.

– Sądzisz więc, że swoją kadencję tutaj traktuje wyłącznie jako poczekalnię przed czymś lepszym?

Declan pokiwał głową.

– Może nawet przysłano go tutaj na próbę, żeby udowodnił, że potrafi sobie poradzić w trudniejszych okolicznościach.

– Zamiatając sprawy życia i śmierci pod dywan?

Declan zmrużył oczy. Popatrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem, po czym napił się whisky, opuścił szklanę i mruknął:

– Może Holbrook naprawdę wierzy w te bzdury o szukaniu szczęścia w dżungli. Jeśli czuje presję, by zaprezentować swoją kadencję tutaj jako pasmo sukcesów... a jak mówiłem, nie mamy dość informacji, by zyskać pewność... może mieć interes w tym, by przedstawiać zniknięcie Dixona jako błąhostkę. Nie wiemy, czy Holbrook zdaje sobie sprawę, że zaginęli także Fanshawe i Hopkins. Kancelaria Deckera mogła go o tym nie poinformować... i najprawdopodobniej nie poinformowała. Nie bez zgody Deckera, a przecież nie mogli jej uzyskać, skoro Decker jest na morzu. Holbrook musiał jednak zostać poinformowany o zniknięciu Hillsythe’a, który pracował w jego własnej kancelarii.

Declan urwał, by zastanowić się szybko.

– Możliwe, że Holbrook wie tylko o zniknięciu Dixona, które miało miejsce parę miesięcy temu, i niedawnym Hillsythe’a... No i o niani Sherbrooków, zakładając, że w ogóle dotarła do niego treść skargi pana Sherbrooka. Jeśli wbił sobie do głowy, że Dixon zwyczajnie uciekł, to trzymanie się tego wytłumaczenia za każdym razem, kiedy ktoś sugeruje zaginięcie, mogło wydawać się rozsądne. Może Holbrook jest po prostu zdecydowany zachować spokój w kolonii, zamiast ryzykować niepotrzebną jego zdaniem panikę...

Napił się znowu, po czym mówił dalej:

– Właściwie wydaje mi się to całkiem prawdopodobne. Holbrook musi dopilnować, żeby Macauley i Babington byli zadowoleni; spółka napędza cały handel w kolonii. Zwłaszcza Macauley należy do pokolenia, które ceni sobie porządek i spokój. Na pierwsze oznaki paniki, która mogłaby wpłynąć na jego

interesy, Macauley zacznie słać do Londynu listy.

Edwina się skrzywiła.

– Kiedy wspomniałam o znikających ludziach, pani Macauley nic o tym nie wiedziała. Ale zanim rozmowa dobiegła końca, przyjęła opinię, że nie ma się czym przejmować.

– To sugeruje, że Holbrook rzeczywiście nie wspomniał o niczym Macauleyowi. A choć Macauley, jako zręczny przedsiębiorca, na pewno spotyka się też z Eldridge'em i Deckerem, to Deckera nie ma przecież od jakiegoś czasu, a Eldridge, nawet jeśli się ostatnio widzieli, powtórzyłby tylko opinię Holbrooka i słowem nie wspomniał o zniknięciu Dixona; zresztą tak czy owak, raczej nie jest to temat, który poruszyłby przy Macauleyu.

Edwina zmarszczyła brwi.

– Co za bałagan. Biurokratyczne zapędy biura spraw zagranicznych, armia, marynarka, a do tego lukratywny monopol na handel, wszystko w jednym worku.

Declan parsknął i pokręcił głową.

– Ten jeden raz się cieszę, że spółka Frobisher i Synowie nie interesuje się zbyt tym portem. Tak czy owak, Wolverstone i Melville mieli rację. Nikomu tu nie możemy ufać i u nikogo nie możemy szukać pomocy. Nawet u Deckera, bo jest na morzu... List Melville'a nie na wiele się zda, jeśli nie mam go komu przedstawić.

Edwina wolno pokiwała głową i znowu popatrzyła na męża.

– Więc co teraz?

Declan odchylił głowę i wbił spojrzenie w sufit. Omówienie wszystkiego, czego się dowiedzieli, zajęło sporo czasu; jeszcze więcej potrwa podjęcie decyzji, czy to wystarczy. Wreszcie stwierdził:

– Udało nam się zdobyć garść informacji. – Dość, by miał ochotę powołać się na rozkazy Wolverstone'a i wziąć nogi za pas, ale... Pokręcił głową. – Potrzebujemy czegoś bardziej konkretnego, co pozwoli Melville'owi i Wolverstone'owi podjąć decyzję o szybkim i zdecydowanym działaniu. To był prawdziwy cel, dla którego mnie tu przysłali.

A w tym momencie nie miał bladego pojęcia, o co chodzi.

Edwina, jego małżonka, której w ogóle nie powinno tu być, zaczęła rozmyślać nad tą kwestią. Przyglądając jej się mimochodem, Declan obserwował malujące się na jej twarzy skupienie i determinację.

Nagle poniosła wzrok, napotkała jego spojrzenie i Declan zorientował się, że coś wymyśliła.

– Co byś powiedział na listę wszystkich zaginionych; z tyloma nazwiskami, ile będziemy w stanie zweryfikować? To przecież na pewno uzmysłowi wszystkim potrzebę działania.

Declan przemyślał to i się wyprostował.

– Taka lista... na pewno potwierdziłaby stanowisko Wolverstone'a, że dzieje się tu coś poważnego i że nie można pozwolić, by problem, na czymkolwiek polega, narastał. – Im dłużej się zastanawiał, tym bardziej przemawiał do niego ten pomysł. Na powrót zwrócił się do Edwiny: – Tylko jak ułożyć taką listę? Wątpię, by kancelaria gubernatora w czymkolwiek nam pomogła.

– Rzeczywiście nie. – Edwina uśmiechnęła się, po czym dodała z większym entuzjazmem: – Ale podejrzewam, że państwo Hardwicke owszem. Pamiętasz, jak wspominałam, że to pani Hardwicke jako pierwsza powiedziała mi, iż nasze cztery zniknięcia nie są odosobnionymi przypadkami? I ona, i, jak przypuszczam, wielebny Hardwicke, nie zgadzają się z opinią gubernatora, ale podobnie jak Eldridge, poddali się w obliczu jego upartej obojętności.

Popatrzyła na zegar na ścianie.

– Dziś już za późno, żeby złożyć im wizytę. Ale mogę zajrzeć do pani Hardwicke jutro z samego rana, zanim zdąży wyjść z domu, i zapytać ją wprost, czy możemy ułożyć listę wszystkich znanych zaginionych osób, włączając w to te młode kobiety i dzieci.

Declan przemyślał tę sugestię. Uzyskanie takiej listy byłoby dużym krokiem na drodze do osiągnięcia celu, a mało prawdopodobne, by wizyta u żony pastora wiązała się z jakimkolwiek ryzykiem dla Edwiny. No i w drodze tam i z powrotem będzie miała ze sobą strażników. Kiwnął głową.

– Dobrze.

Zastanowił się, dopił whisky, odstawił szklanekę i oświadczył:

– A ja w tym czasie zbadam ostatni trop związany z naszą czwórką. – Popatrzył w błękitne oczy Edwiny, odczytał w nich pytanie, uśmiechnął się i wyjaśnił: – Wspominałem o tym, kiedy dobiliśmy do brzegu, ale jeszcze się tym nie zająłem. Czy cokolwiek ich ze sobą łączyło? Jakiś wspólny znajomy albo miejsce, do którego uczęszczali? Czy ich ścieżki w tej kolonii przecinały się w jakimś punkcie?

Edwina spoważniała. Po chwili milczenia stwierdziła:

– Niełatwo będzie się tego dowiedzieć, w każdym razie nie bez zadawania pytań... Pytań, które ujawnią, co naprawdę cię tu sprowadziło.

– To prawda. Ale nie wydaje mi się, byśmy mieli pozostać we Freetown przez długi czas. Musimy przecież wracać i przekazać Wolverstone'owi i Melville'owi informacje, których potrzebują. Sądzę więc, że już pora, byśmy zagrali w nieco bardziej otwarte karty, przynajmniej wobec przyjaciół zaginionych, którzy wyraźnie się o nich niepokoją.

Edwina kiwnęła głową. Musiała się z tym zgodzić. Miała tylko nadzieję, że Declan zabierze na poszukiwania kilku ze swoich ludzi.

– Co mogło się stać z tymi wszystkimi mężczyznami, kobietami i dziećmi, których uprowadzono? – spytała. – Jeśli ich nie zabito, to można założyć, że byli

do czegoś potrzebni temu, kto ich porwał. O co mogło chodzić?

Po chwili zastanowienia Declan się skrzywił.

– Pierwsza myśl to niewolnictwo, ale... to nie do końca pasuje.

– Niewolnictwo? – Edwina zmarszczyła brwi. – Pamiętam, jak mówiłeś, że mało prawdopodobne, by w kolonii działali handlarze niewolników. – Sądziła wtedy, że sama wzmianka o czymś tak potwornym to z jego strony wyraz nadmiernej troski. – Ale przecież te praktyki zostały w ogóle zakazane we wszystkich brytyjskich koloniach.

– To prawda. Zostały. Niestety nie oznacza to, że nie mają już miejsca. Dlatego właśnie stacjonuje tu Eskadra Zachodnioafrykańska... czy raczej dlatego właśnie patroluje przybrzeżne wody. Moim zdaniem istnieje duże prawdopodobieństwo, że w tych okolicach nadal działają handlarze niewolników. Nie w samym Freetown, ale w zatoczkach na wybrzeżu. Jednak z tego, co nam wiadomo, zaginęli wyłącznie Europejczycy, a w dzisiejszych czasach konsekwencje porwania w takim celu kogoś z Europy, w dodatku członka brytyjskich sił zbrojnych... Nie mogę z całą pewnością wykluczyć takiej możliwości, ale wydaje się ona bardzo nieprawdopodobna.

– To rozsądne – przytaknęła Edwina. – Zatem jeśli nie handlarze niewolników, to... kto? Po co ktoś kolekcjonuje, z braku lepszego słowa, tych ludzi?

Declan pokręcił głową.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem.

\*\*\*

Następnego ranka Edwina odczekała, aż wybije dziesiąta, po czym wsiadła do powozu i kazała Denchowi przejechać krótki odcinek ze wzgórza na plebanię. Państwo Hardwicke mieszkali w schludnym domku przylegającym ściśle do kościoła. W przeciwieństwie do bungalów położonych wyżej na zboczu dojścia nie blokowały mury ani bramy. Edwina przeszła energicznie ogrodową ścieżką, weszła po dwóch stopniach prowadzących na ganek i zapukała do drzwi.

Otworzyła jej służąca, która na pytanie o panią domu zaprowadziła ją wprost do wygodnego saloniku, gdzie siedziała pochylona nad szyciem pani Hardwicke.

Na widok Edwiny jej surowe rysy złagodniały.

– Lady Edwino. Co za radość panią widzieć.

Pospiesznie odłożyła robótkę, lecz kiedy uczyniła ruch, jakby chciała podźwignąć się z głębokiego fotela, Edwina powstrzymała ją gestem ręki.

– Proszę nie wstawać. To zupełnie nieoficjalna wizyta.

– Rozumiem. – Pani Hardwicke opadła z powrotem na siedzenie, przyglądając się bystro Edwinie. – Proszę, niech pani usiądzie. – Wskazała na sofę.

Gdy Edwina zajęła miejsce, gospodyni mówiła dalej:



– Domyślam się, że istnieje jakiś powód pani odwiedzin, ale zanim zaczniemy o tym mówić, czy miałyby pani ochotę na lekki poczęstunek?

– Dziękuję, ale nie. Mój mążonek i ja... czas nas trochę goni. Wkrótce Declan zakończy tu swoje sprawy, a kiedy to się stanie, ruszymy w dalszą drogę. – Edwina utkwiała spojrzenie w twarzy pani Hardwicke. – Chciałam panią zapytać o te dziwne zniknięcia. W szczególności zwróciło moją uwagę, że zniknęło kilka młodych kobiet o dobrej reputacji, co najmniej dwie, być może więcej. Zdaje mi się, że martwiła się pani także o dzieci; te z pospólstwa, które rzekomo uciekły.

Twarz pani Hardwicke stężała.

– Nigdy nie ukrywałam, jak bardzo martwi mnie ta sprawa. Ma pani całkowitą rację co do tych młodych kobiet. Słyszałam co najmniej o czterech, wszystkie jak najbardziej rozsądne, ich przyjaciele szaleją z niepokoju. Żadna z nich nie porzuciłaby ot, tak stanowiska.

– Czy wszystkie były na służbie?

– Tego czy innego rodzaju, owszem. Dwie guwernantki, jedna pracowała u miejscowej modystki, a ostatnia to siostrzenica pewnego kupca, która pomagała mu w sklepie.

– Rozumiem. – Edwina zanotowała w pamięci te informacje. – A dzieci?

Pani Hardwicke przyglądała jej się przez chwilę, po czym jakby podjęła decyzję.

– Jest pani sprawniejsza ode mnie. Gdyby była pani łaskawa zajrzeć do szuflady sekretarzyka... – Wskazała małe biurko między oknami. – Znajdzie tam pani oprawny w skórę notes. Mogłaby mi go pani podać?

Edwina podniosła się, podeszła do sekretarzyka, otworzyła szufladę i wyjęła notes. Wróciła do pani Hardwicke i podała go jej, po czym na powrót usiadła na sofie.

Pani Hardwicke przerzuciła strony do końca.

– Gdzie też... O, jest. – Rozłożyła notes i podała go Edwinie. – Tak się przejęłam, że zaczęłam spisywać te osoby.

Edwina przesunęła wzrokiem po wpisach. Pastorowa podała nazwiska zaginionych, wiek, adresy rodzin i daty.

– Czy to są daty zaginięcia tych dzieci?

Na liście byli zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, wszyscy poniżej dziesiątego roku życia.

– Zgadza się.

– Hm. A zatem... – Edwina zaczęła liczyć – w sumie siedemnaścioro dzieci w ciągu ostatnich trzech miesięcy, z czego ani jedno w ostatnich kilku tygodniach.

– Rzeczywiście. I nie, nie mam pojęcia, co to może oznaczać. Czy to tylko przerwa, czy zaniechali swego procederu na dobre – dodała pani Hardwicke. – Jeśli przewróci pani stronę do tyłu, znajdzie pani podobne informacje o tych czterech

młodych kobietach.

Edwina odwróciła kartkę i przeczytała wynotowane pozycje. Spojrzała na panią Hardwicke.

– Czy miałaby pani coś przeciwko temu, bym skopiowała obie listy?

Pastorowa zacisnęła usta.

– Nie ma potrzeby. Proszę zajrzeć na początek notesu, znajdzie tam pani złożoną kartkę. Znajdują się na niej informacje o wszystkich zaginionych dotąd kobietach i dzieciach... a przynajmniej tych, o których z mężem wiemy. Słyszeliśmy też o zaginionych mężczyznach – dodała – ale w tego typu kolonii jest tak wielu kawalerów, którzy chwytają się to tego, to tamtego, są tu tylko przejazdem albo zwyczajnie decydują się ruszyć gdzieś dalej... Słowem, w przypadku mężczyzn trudniej o pewność, że faktycznie zaginęli, mogli zwyczajnie się gdzieś przenieść. Wszyscy zaginieni, o których słyszeliśmy, należeli do wędrownych typów.

Z wyjątkiem tych czterech, których ma odszukać Declan, pomyślała Edwina.

Znalazła kartkę, rozłożyła ją i przesunęła wzrokiem po liście.

Przyglądając się Edwinie, pani Hardwicke sapnęła z frustracją.

– Zrobiłam tę kopię dla męża. Zabrał ją ze sobą na ostatnie spotkanie z gubernatorem, żeby spróbować go przekonać. Ale oczywiście był to próżny trud. Holbrook zachowuje się, jakby postanowił nie podejmować żadnych działań. Ciągłe się upiera, że nic nie można zrobić, że nie ma tu czego dochodzić, że te zaginione kobiety zwyczajnie uciekły z kimś albo do dżungli, albo na morze. Co do dzieci... – pani Hardwicke utkwiała spojrzenie w liście, którą trzymała Edwina – ...zauważyła pani na pewno, że wszystkie to albo biedota, albo dzieciarnia portowa. W mieście nie brakuje ani jednych, ani drugich, a Holbrook niestety nie należy do ludzi, których współczucie rozciąga się na tych, co stoją w hierarchii społecznej niżej niż on.

– Ale wszystkie te dzieci są brytyjskie? – spytała Edwina.

– O, tak. – Pani Hardwicke złożyła dłonie. – Nie słyszeliśmy, by zaginęły jakiegokolwiek tubylcze dzieci, a mój utrzymuje kontakty z miejscowymi plemionami i wodzami. Gdyby ktoś u nich ginął, już byśmy o tym usłyszeli, i to niejedno.

Edwina była wstrząśnięta. Zatrzasnęła notesik i oddała go właścicielce.

– Dziękuję. – Złożyła listę i podniosła ją do góry. – Właśnie po to przyszłam. Dokładnie tego nam z mężem potrzeba – dodała, patrząc pastorowej w oczy.

Pani Hardwicke spojrzała na nią, po czym oświadczyła:

– Moim zdaniem sytuacja jest absolutnie niedopuszczalna, ale sama nic nie poradzę, a mój mąż uważa, że zrobił już wszystko, co w jego mocy, przynajmniej na teraz. Biorąc pod uwagę obojętność Holbrooka, doszłam do wniosku, że jedyny sposób, by podjęto odpowiednie działania w sprawie zaginionych, to dostarczyć tę

informację... – skinęła głową w stronę listy, którą Edwina chowała właśnie do torebki – ...w odpowiednie ręce w Londynie. Do kogokolwiek te ręce należą.

Uniosła brwi, wbijając spojrzenie w twarz Edwiny.

– Pani będzie wkrótce wracać do Londynu, czyż nie, lady Edwino?

Edwina, zajęta zaciąganiem troczków torebki, zastanawiała się, co odpowiedzieć. W końcu odparła po prostu:

– Zgadza się. I dopilnuję, by ta lista trafiła w ręce osób bardziej skorych do działania.

Pani Hardwicke zawahała się, po czym spytała:

– A zna pani takie osoby?

Edwina kiwnęła głową.

– Owszem. Tak się składa, że nawet kilka.

Pani Hardwicke odetchnęła powoli. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się niewidzącym spojrzeniem w torebkę, w której znajdowała się lista. Potem wysunęła podbródek i jeszcze raz podniosła wzrok na Edwinę.

– W takim razie powinnam chyba powiedzieć pani coś, czego nie mówiłam jeszcze nikomu innemu.

Edwina wiedziała, że lepiej się nie odzywać. Patrzyła w milczeniu, jak pani Hardwicke zbiera się na odwagę.

Spojrzenie pastorewej przeniosło się na drzwi, jakby odmalowana była na nich jakaś scena.

– Kilka tygodni temu pewna miejscowa kobieta, kapłanka wodun, przyszła późnym wieczorem do mojego męża. Powiedziała, że to sprawa najwyższej wagi i że jest w posiadaniu informacji, od której zależy los nie tylko jej trzódki, ale i jego.

Pani Hardwicke urwała, skłaniając przelotnie głowę.

– Muszę pani wyjaśnić: kult wodun nie jest niczym... niechrześcijańskim. To miejscowa religia, którą łączy wiele podobieństw z naszą wiarą. Mąż od dawna interesuje się wierzeniami, które postrzega jako bardziej prymitywne odłamy chrześcijaństwa, toteż zawsze stara się nawiązywać kontakty z kapłanami rozmaitych kultów. Zna więc tę kapłankę, a ona jego. Moim zdaniem zwróciła się do niego, ponieważ mu ufała. Niestety jednak wydaje mi się, że przeceniła znaczenie jego pozycji; w religii wodun niewiele osób dźwierży większą władzę od kapłanek... Otóż przyszła ona, by poprosić męża o pomoc przeciwko Obo Undoto.

– Pani Hardwicke zarumieniła się lekko i rzuciła Edwinie niepewne spojrzenie. – Nie mam w zwyczaju podsłuchiwać rozmów męża z tymi, którzy przychodzą do niego po radę, ale ta kapłanka mówiła bardzo głośno i nic nie poradzę na to, że wszystko słyszałam.

Edwina skinęła uprzejmie głową.

– Naturalnie. Ale co też miała do powiedzenia?

– Skarżyła się, że Obo Undoto to szarlatan; to akurat wie każdy, kto był świadkiem jego tak zwanych nabożeństw. Jednak wydaje się, że głównym celem jej wizyty było ostrzeżenie mego męża. Mówiła... – pani Hardwicke zaczerpnęła głęboki oddech – ...i powtarzam to dosłownie... Otóż mówiła, że gdyby mój mąż to sprawdził, przekonałby się, że wszyscy zaginioni uczęszczali na nabożeństwa Undoto.

Edwina zrobiła zdziwioną minę.

– Doprawdy? – W głowie czuła natłok myśli. Popatrzyła na panią Hardwicke. – Może to pani potwierdzić?

Pastorowa pokręciła głową.

– Niestety nie. Nie mogę zaręczyć, że mówiła prawdę. To niewykluczone, ale nie wiem tego na pewno. – Umilkła na chwilę, po czym wyznała, ściągając lekko usta: – Kłopot z wiarygodnością tej kapłanki polega na tym, że nie ma cienia wątpliwości, iż jest chorobliwie zazdrosna o Obo Undoto i jego wpływy, zwłaszcza wśród własnego ludu. Mąż mój zastanawiał się, czy nie przekazać jej słów Holbrookowi, ale nie mógł tego zrobić z czystym sumieniem. Nie potrafił przekonać samego siebie, że w jej wersji wydarzeń nie kryło się pragnienie sprowadzenia na Undoto kłopotów. – Pani Hardwicke westchnęła. – Mój mąż żyje wedle zasady „żyj i daj żyć innym”, a i ja sama nie mogę się z nią spierać.

Edwina przez chwilę przyglądała się uważnie pastorowej, wyczuwając głęboką troskę kryjącą się pod jej rezygnacją. W końcu podniosła się energicznie.

– Może pani być pewna, że mąż i ja dołożymy wszelkich starań, by rzucić światło na tę przedziwną sprawę.

Pani Hardwicke ujęła lekko jej palce i dygnęła.

Edwina przesłała kobiecie uśmiech i pożegnała się spokojnie, lecz w jej głowie kłębiły się domysły.

Wróciwszy na ulicę, pozwoliła, by Carruthers, który towarzyszył jej w roli służącego, pomógł jej wsiąść do powozu. Zanim zamknęła drzwi, rzuciła do niego:

– Powiedz Denchowi, że przed powrotem do domu musimy zrobić jeszcze jeden przystanek. Chcę odwiedzić panią Sherbrook. Nie mam jej adresu, ale jeśli popytacie przechodniów, na pewno ktoś nas pokieruje.

\*\*\*

Edwina chodziła w kółko po salonie, kiedy nagle usłyszała brzęk dzwonka przy bramie. Zaprzesła krążenia i nasłuchiwała, jak Henry, przeklinając pod nosem, idzie sprawdzić, kto przyszedł.

Wyteżyła słuch i doszedł ją narastający szmer męskich głosów. Chwilę później w holu rozbrzmiały stanowcze kroki Declana. Uniosła suknię i wybiegła mu na spotkanie.

Wpadła na męża w łukowatym przejściu z takim impetem, że odbiła się od

jego piersi, gdyby jej nie pochwycił.

Podtrzymując ją i kładąc ciepłe, silne dłonie na jej ramionach, popatrzył jej w oczy i uśmiechnął się szeroko.

– Aż tak się stęskniłaś?

– Właściwie to... owszem – odparła Edwina, nadając głosowi zmysłowe brzmienie. Natychmiast jednak machnęła dłonią. – Ale dość o tym... Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie. – Było dopiero popołudnie. – Dowiedziałeś się czegoś?

Declan puścił ją, podszedł do barku pod ścianą i nalał sobie drinka.

– Niespodziewanym trafem odkryłem miejsce, które łączy całą naszą czwórkę, ale w tej chwili nie jestem pewien, czy ma to jakikolwiek związek z ich zniknięciem, czy nie.

Edwina przysiadła na podłokietniku fotela, w którym zwykle siadał Declan.

– Co to za miejsce?

Declan podszedł do fotela ze szklanką w ręce, usiadł, napił się i wreszcie spojrzał na nią.

– Wszyscy czterej wzięli udział w co najmniej jednym nabożeństwie Obo Undoto. – Znowu upił łyk i nagle zmarszczył brwi. – Agent Wolverstone’a był przynajmniej na trzech, a to wydaje mi się, mówiąc delikatnie, nieco dziwne. Ludzie Wolverstone’a nie słyną z pobożności.

– No no – powiedziała Edwina. Uśmiechnęła się chytrze. – No no no!

Declan popatrzył na nią ze zdziwieniem.

Nie posiadając się z podeksytowania, opowiedziała mu, co usłyszała od pani Hardwicke o zarzutach kapłanki wodun.

– Aha, dostałam też od pani Hardwicke listę wszystkich znanych jej kobiet i dzieci, które zaginęły. – Sięgnęła za dekolt i zamaszystym gestem wyciągnęła złożoną listę.

Kiedy Declan przeglądał nazwiska, Edwina mówiła dalej:

– Zrobiłam kopię; tę listę możesz sobie zatrzymać i przekazać Wolverstone’owi i Melville’owi.

Declan kiwnął głową, zaciskając zęby. Lista była o wiele dłuższa, niż się spodziewał, i figurowało na niej zbyt wiele dzieci. Już zniknięcie tych młodych kobiet było dostatecznym nieszczęściem. Zwinął kartkę i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni.

– Ale, ale... – W głosie Edwiny zabrzmiała tryumfalna nuta. – To jeszcze nie wszystko. Po wizycie na plebanii zajrzałam do pani Sherbrook. Zapytałam ją, czy jej poprzednia niania... ta zaginiona... czy kiedykolwiek była na modłach w kościele Undoto. -Oczy Edwiny błyszczały z podeksytowania. – Myślałam, że to mało prawdopodobne, by niania się tam wybrała. A gdyby zniknęła, nie biorąc wcześniej udziału w nabożeństwach, dowiodłoby to, że oskarżenie kapłanki było

falszywe, i nie musielibyśmy się nim przejmować.

Wzięła głęboki oddech; jeszcze zanim zdążyła się odezwać, Declan domyślił się po jej minie, co zamierza powiedzieć.

– Ku memu zdumieniu – oświadczyła wreszcie – pani Sherbrook potwierdziła, że Katherine Fortescue, która pełniła także funkcję jej damy do towarzystwa, kilkakrotnie wzięła z nią udział w nabożeństwach Undoto, a ostatni raz na dzień przed jej zniknięciem.

Declan wpatrywał się w żonę, rozważając wszystkie informacje, które udało im się zdobyć. Edwina wyraźnie oczekiwała bardziej entuzjastycznej reakcji. Już chciała coś powiedzieć, ale powstrzymał ją, unosząc dłoń.

– Daj mi chwilę na zastanowienie.

Zamknęła usta i rzuciła mu sceptyczne spojrzenie, ale zgodziła się poczekać.

Wreszcie Declan powiedział:

– Przede wszystkim pozwól, że opowiem ci, jak sam się wszystkiego dowiedziałem. Zacząłem od Dixona; byłem przekonany, że kapitan Richards z garnizonu porozmawia ze mną i powie mi to, co wie. Według niego Dixon był zacnym człowiekiem, dość cichym, co, jak zauważył, było dobrą cechą w takiej placówce jak Thornton, gdzie niewiele jest do roboty. Kiedy spytałem, czy wie, dokąd w mieście chadzał Dixon, wymienił kilka wyszynków i tawern. Wspomniał też, że raz poszli razem do kościoła Undoto, żeby, jak to ujął, obejrzeć widowisko. Powiedział, że Dixon poszedł tam z innymi jeszcze raz czy dwa, ale traktował to wyłącznie jako rozrywkę.

Wzruszył ramionami.

– Wtedy jeszcze nie wydawało mi się to niczym godnym uwagi. Poszedłem do portu i na „Kormorana”, żeby rozmówić się z ludźmi, którym kazałem szukać informacji o Hopkinsie i Fanshawie. Dowiedzieli się, do jakich tawern portowych obaj chadzali; do tych samych, gdzie zwykle chodzą oficerowie eskadry, ale nie tam, gdzie bywał Dixon. Powiedziano im też, że najpierw Hopkins, a potem Fanshawe wypytywali o nabożeństwa Undoto. Podobno obaj byli na nich przynajmniej raz, możliwe, że więcej.

Wbił spojrzenie w Edwinę.

– I wtedy niespodziewanie nam się poszczęściło. Billings przybiegł na statek, żeby wziąć coś dla Henry’ego. Czekał, żeby wrócić ze mną do domu, i usłyszał, jak mówię pozostałym, że teraz potrzebna mi już tylko informacja, czy Hillsythe także bywał na modłach u Undoto, ale jak się tego dowiedzieć, skoro Hillsythe z nikim tutaj nie rozmawiałby otwarcie... Wtedy właśnie wtrącił się Billings.

Declan zamilkł.

– No i? – spytała niecierpliwie Edwina.

– Pamiętasz, jak poszłaś do kościoła Undoto i Billings pojechał z tobą jako

służący i strażnik? – Kiedy kiwnęła głową, Declan zdobył się na odwagę i wyznał: – Henry też tam był. Chciał zobaczyć, co to za zamieszanie z tym całym Undoto, a ja chętnie mu pozwoliłem, bo dzięki temu mógł z daleka czuwać nad tobą i Billingssem.

Zdziwił się nieco, gdy Edwina pokiwała tylko ze zrozumieniem głową i zachęciła go spojrzeniem, by mówił dalej.

Declan pospieszył, by zaspokoić jej ciekawość.

– Henry stanął na tyłach kościoła i tak się złożyło, że wylądował obok jakiegoś starego marynarza, Sampsona. Jednooki typ z drewnianą nogą... Aż się palił do pogawędki z innym starym wilkiem morskim. Dobrali się jak w korcu maku. Henry dowiedział się, że Sampson regularnie uczęszcza na nabożeństwa, to jego główne źródło rozrywki. Siada sobie na stołku w kącie i zabawia się, przyglądając innym Europejczykom. – Zamyślił się na chwilę. – Sampson może i stracił oko, ale wzrok ma zaiste godny marynarza. Jest bardzo spostrzegawczy, a co najważniejsze, obdarzony doskonałą pamięcią, zapamiętuje wszystko wyraźnie i ze szczegółami.

– A więc wróciłeś tu z Billingssem – domyśliła się Edwina – a potem razem z Henrym ruszyłeś na poszukiwanie Sampsona.

Declan przytaknął.

– Henry wiedział, że Sampson mieszka nad oberżą w pobliżu kościoła. Stary chętnie opowiedział nam wszystko, co wie, przy posiłku i kuflu piwa. Doprawdy niespotykany człowiek – dodał z uznaniem. – Wszystkich pamięta; ciebie opisał co do joty. Zabawia się też dowiadywaniem, jak kto się nazywa, przypasowywaniem imion do twarzy. Hillsythe utkwiał mu w pamięci, bo Sampson jak dotąd nie zdążył poznać jego nazwiska.

– Więc Hillsythe również bywał na nabożeństwach Undoto.

– Według Sampsona trzy razy.

Oboje zamilkli. Declan nie miał wątpliwości, że myślą o tym samym.

– Mamy już wystarczająco dużo informacji, żeby wrócić do Wolverstone'a, prawda? – spytała po kilku minutach Edwina.

– Nadal się nad tym zastanawiam. – Declan rozsiadł się wygodniej. Po chwili namysłu stwierdził: – Jak dotąd kościół Undoto jest jedynym znanym nam miejscem, gdzie bywali wszyscy zaginieni, o których wiemy. – Podniósł wzrok na Edwinę. – Czy dzieci też tam chodzą?

– Żadnych nie widziałam. Tylko ministrantów. Zresztą nie przypuszczam, żeby dzieci, zwłaszcza takie urwisy, interesowały się występami Undoto. – Po pauzie dodała: – Może dzieci stanowią osobną grupę. Może zabrano je skądinąd.

Declan wydał usta.

– To prawda. Ale nasza teoria, że udział w nabożeństwach Undoto wiąże się jakoś ze znikaniem mężczyzn i kobiet, ma słaby punkt: praktycznie każdy

w kolonii był tam co najmniej raz, w końcu Undoto zyskał sobie wielką popularność, a nie ma tu innych rozrywek.

Edwina spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Chcesz powiedzieć, że ich udział w nabożeństwach może być zwykłym zbiegiem okoliczności?

– Nie. – Declan się skrzywił. – Nie wierzę, że to zbieg okoliczności, ale wyobrażam sobie, że inni posłużą się tym argumentem, a zwłaszcza Holbrook, jeśli ktoś przedstawi mu nasze odkrycia. Myślę, że musimy dostarczyć Wolverstone’owi i Melville’owi na tyle niezbite dowody, by mogły usprawiedliwić natychmiastowe i zdecydowane działanie. – Zwrócił wzrok na Edwinę. – Po tym, co odkryliśmy, oboje wiemy, że dzieje się tu coś bardzo podejrzanego i że trzeba się tym zająć.

Edwina przyznała mężowi rację.

– Należy to powstrzymać. – Popatrzyła mu w oczy. – Potrzeba nam czegoś więcej.

Declan spojrzał na zegar i się wyprostował.

– Pójdę sprawdzić, co może nam powiedzieć ta kapłanka wodun. Na pewno wie więcej niż to, co przekazała naszemu drogiemu pastorowi.

Edwina podniosła się z miejsca.

– Pójdę z tobą.

Declan również wstał. Już chciał zaprotestować, ale Edwina uprzedziła jego sprzeciw.

– To kobieta; na pewno chętniej i swobodniej porozmawia ze mną.

Declan się zawahał.

– A poza tym... – dokończyła Edwina, idąc do drzwi – ...nie mamy czasu do stracenia.

Popatrzyła na męża z wyzwaniem w oczach.

– Zresztą będziemy przecież razem. Nic mi nie będzie groziło.

Declan się zastanowił. Rzeczywiście, kapłanka to kobieta; na pewno będzie miała jakąś ochronę. Zresztą sama przecież chciała opowiedzieć komuś dzierżącemu władzę o Obo Undoto i zaginionych ludziach. Można oczekiwać, że przywita ich z otwartymi ramionami. Jeśli pójdą razem, nic nie powinno im grozić.

– No dobrze – mruknął.

Edwina rozpromieniła się, odwróciła i ruszyła przodem.



## Jedenaście

Późne popołudnie ustępowało już wieczorowi, kiedy Carruthers i Billings, których Declan wysłał, by odnaleźli Sampsona i rozpytali, gdzie może przebywać kapłanka, wrócili z informacją.

Edwina wskoczyła niecierpliwie do powozu i rozsiadła się wygodnie. Pragnęła się przekonać, czy kapłanka powie im coś więcej o Undoto i zaginionych, ale radość rozpieła ją głównie dlatego, że Declan zaakceptował jej obecność u swego boku, jej prawo do przebywania z nim, cokolwiek robił.

Sądziła, że kapłanka mieszka w którejś ze spokojniejszych okolic kolonii, lecz kiedy zjechali z Tower Hill, Dench zwrócił powóz na wschód. Wkrótce pozostawili dzielnicę handlową za sobą. Teraz jechali wolniej i z większym trudem, droga stawała się coraz bardziej wyboista, budynki mieszkalne były zaniedbane i stłoczone.

Wreszcie powóz skręcił raz jeszcze i skierował się lekko pod górę, z dala od nabrzeża, po czym prawie natychmiast stanął.

– Poczekaj tu – rzucił Declan..

Edwina nachyliła się do okna i wyjrzała na zewnątrz, próbując rozeznaczyć się w okolicy. Zmrok zapadał z zawrotną prędkością, jak to w tropikach.

– Przydałby się przyzwoity zmierzch – mruknęła, wiedząc jednak, że nie ma co na to liczyć.

Pogłębiające się cienie zaczynały spowijać zbiorowisko zaniedbanych domów, z których wiele nie różniło się zbyt od zwykłych chałup. Nie zasługiwały może na miano ruder, ale daleko im było do byle chatki na angielskiej wsi.

Droga chyba się skończyła; Edwina wyteżala wzrok, ale nie widziała przed sobą żadnej wyraźnie wytyczonej ulicy ani nawet ścieżki.

Słyszała, jak Declan rozmawia przyciszonym głosem z Denchem i Billingssem, którzy przyjechali z nimi w charakterze służby. Nie wszystko do niej docierało, ale usłyszała dość, by zrozumieć, że ani on, ani jego ludzie nie byli wcześniej w tej okolicy i nie zdawali sobie sprawy, że sprowadzą ją w miejsce, które mogło być potencjalnie niebezpieczne.

Po kilku sekundach napięcia Declan otworzył drzwi powozu.

– Nie przypuszczam, żebyś zgodziła się tu zostać...

– Czy naprawdę sądzisz, że bezpieczniejsza będę tutaj bez ciebie niż na zewnątrz z tobą? – spytała Edwina.

Nie miała zamiaru puszczać go samopas między te chałupy, żeby szukał jakiejś kapłanki.

Declan mocno zacisnął szczękę..

– Kapłanka mieszka wśród swojego ludu. – Skinieniem głowy wskazał zbiorowisko chat za sobą. – O tam.

Spoglądając we wskazanym kierunku, Edwina zobaczyła miejscową kobietę spowitą w barwne szale, która przemknęła między dwoma domami i zniknęła. Popatrzyła uważniej. Wąskie przejście, w którym zniknęła kobieta, prowadziło do ścieżki ledwo zasługującej na miano alejki; kiedy tak się wpatrywała, z uliczki wyłonił się mężczyzna. Przystanął, by przyjrzeć się ich powozowi, ale potem odwrócił głowę i poszedł dalej w kierunku nabrzeża.

Declan podążył za jej spojrzeniem.

– Kapłanka mieszka w środku tego labiryntu, prawie na szczycie wzgórza. Ta ścieżka prowadzi do jej domu.

– Dobrze więc. – Edwina przesunęła się do drzwi i wyciągnęła rękę. – A zatem tą właśnie ścieżką musimy podążyć.

– Czy ktoś już ci mówił, że wyjątkowo uparta z ciebie kobieta? – spytał Declan, po chwili wahania podając jej dłoń.

– Owszem. Całkiem sporo osób.

Uliczka, którą przywiózł ich Dench, kończyła się martwym zaułkiem. Z przodu i po obu stronach wznosiły się ścieśnione chałupy; powóz mógł wydostać się stamtąd tylko tą samą drogą, którą przyjechał. Zakątek oświetlało kilka lichych dymiących pochodni, rozmieszczonych w dużych odstępach w skleconych niedbale uchwytych. Migoczące płomienie rzucały chaotyczny blask na ściany stłoczonych zabudowań; niespokojne palce mroku nieustannie malowały scenerię. W budynkach znajdowali się ludzie, niektórzy wychylali się z okien albo siedzieli na prymitywnych stopniach, inni zebrani byli w niewielkich grupkach na tym, co uchodziło tu za ganki. Choć wydawało się, że nikogo nie obchodzi ich obecność, Edwina nie miała cienia wątpliwości, że wszystkie oczy były zwrócone na nich.

Spojrzała na Declana i uniosła brwi.

Declan, z wyrazem ponurej determinacji, ujął ją za łokieć i poprowadził w stronę przejścia, w którym zniknęła kobieta w szalach.

– Dench zawróci powóz i będzie tu na nas czekał – powiedział cicho. – Ale w tych okolicach powóz i konie mają ogromną wartość, więc Billings musi zostać razem z nim. To, że idziemy zobaczyć się z kapłanką, powinno... i „powinno” jest tu słowem kluczowym... uchronić nas od krzywdy.

Edwina kiwnęła głową i, podobnie jak Declan, zaczęła uważnie rozglądać się po otoczeniu. Była zadowolona, że zdecydowała się przebrać z sukniiennej w niebieską suknię podróżną; grubszy materiał stanowił lepszą ochronę w prymitywnych warunkach, jak również w przypadku jakiegoś nieoczekiwanego zagrożenia.

Doszli do wejścia w alejkę. Declan ujął dłoń Edwiny i jako pierwszy zagłębił się między budynki. Edwina sądziła, że może w dalszej części uliczka zrobi się

szersza, ale nadal pozostawała tak wąska, że dwie osoby z trudem mogły się minąć. Nie biegła też prosto, lecz wiła się to w jedną, to w drugą stronę, wspinając powoli pod wzgórze, do którego przyłgnęły rozpadające się chałupy. Poza kilkoma pierwszymi domami drzwi wszystkich pozostałych zdawały się wychodzić bezpośrednio na drogę. Minawszy cztery budynki, Edwina obejrzała się i stwierdziła, że straciła już z oczu wylot alejki, nie mówiąc o tym, co leżało dalej.

Znów ruszyła tuż za Declanem, który starał się stawiać na tyle małe kroki, by mogła za nim bez trudu nadążyć. Usiłował również rozglądać się na wszystkie strony jednocześnie.

Im dalej szli, tym więcej domów zdawało się tłoczyć dookoła nich, aż mieli wrażenie, że znaleźli się w labiryncie napierających ścian.

Doszli do przecięcia z inną, o ile to możliwe jeszcze węższą ścieżką. Declan przystanął na sekundę, by zobaczyć, czy droga wolna, po czym minął skrzyżowanie i ruszył dalej.

Edwina ścisnęła go za rękę i szepnęła:

– Wiesz, dokąd mamy iść?

– Mieszka przy tej uliczce, a jej drzwi pomalowane są na czerwono. To podobno jedyne takie drzwi w całej okolicy.

Uspokojona Edwina znowu patrzyła przed siebie, rozglądając się za czerwonymi drzwiami.

Szukali jeszcze przez piętnaście minut, aż w końcu je dostrzegli.

Declan przystanął przed pomalowanym na jaskrawą czerwień wejściem.

– Gotowa? – spytał Edwinę.

Potaknęła, nie odrywając wzroku od drzwi.

Declan wziął ją pod ramię, przyciągając bliżej do siebie, po czym wolną ręką zapukał.

Drzwi otworzyła zasuszona staruszka w nieokreślonym wieku. Obrzuciła ich spojrzeniem zupełnie pozbawionym wyrazu.

Pierwsza odezwała się Edwina.

– Nie jesteśmy umówieni, ale bardzo chcielibyśmy porozmawiać z kapłanką.

– Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, dodała proszącym tonem:

– To bardzo ważne, byśmy rozmówili się z nią jeszcze dzisiaj.

Kobiecina zmierzyła ją wzrokiem i przeniosła spojrzenie na Declana. Przyglądała mu się badawczo w sposób, który przywodził mu na myśl wielkie damy angielskiej śmietanki towarzyskiej – a jeszcze bardziej jego własną matkę.

Wreszcie cofnęła się o krok i skinęła głową w stronę wnętrza.

– Wejdźcie.

Edwina uśmiechnęła się szeroko i wkroczyła do środka; Declan puścił jej ramię, ale podążając za nią, chwycił ją za rękę.

Korytarzyk za drzwiami był wąski, ciasny i surowy. Staruszka zamknęła

drzwi i precyzyjnie się obok nich. Poprowadziła ich do przejścia po prawej stronie, za którym otwierał się niewielki pokój. Spoglądając ponad głowę Edwiny, Declan ujrzał trzy kobiety i starszego mężczyznę, siedzących na niskich otomanach pokrytych jaskrawymi miejscowymi chustami.

– Zaczekajcie tu z resztą. – Kobięcina machnięciem ręki skierowała ich do środka. – Powiem jej.

Odeszła, nie pytając nawet o ich imiona; Declan i Edwina śledzili ją wzrokiem, póki nie zniknęła w mroku.

Spojrzeni na siebie przelotnie i razem weszli do pokoju. Declan musiał nachylić się w progu. Prostując plecy, rozejrzał się po pomieszczeniu, które wyraźnie pełniło funkcję poczekalni. Pozostali przyglądali się im, ale obecność przybyszów najwyraźniej nie budziła najmniejszego zdziwienia.

Declan podprowadził Edwinę do małej sofki pod oknem wychodzącym na uliczkę. Poczekał, aż usiadła, i sam usiadł obok. Odwróciwszy głowę, miał ze swego miejsca widok na alejkę biegnącą przed czerwonymi drzwiami domu kapłanki. W drodze na wzgórze minęli jakieś dziesięć, może więcej osób, ale im wyżej wchodzili, tym mniej napotykali przechodniów; w tej chwili w ciemnej uliczce nie było widać nikogo.

Gdzieś w domu drzwi otworzyły się i zamknęły. Do oczekujących dobiegł odgłos cichej rozmowy. Po kilku sekundach starowinka na powrót stanęła w progu i skinęła na jedną z kobiet, która podniosła się, poprawiła szal i podążyła za nią w głąb domu.

Declan i Edwina musieli poczekać, aż kapłanka dogładnie swojej trzódki. Wreszcie jednak w poczekalni nie pozostał nikt poza nimi. Znowu usłyszeli odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Spojrzeli w kierunku wejścia, spodziewając się, że staruszka wróci i wezwie ich, jak to było z pozostałymi.

Zamiast tego na starym parkiecie rozległy się wyraźnie szybsze, bardziej stanowcze kroki, a potem w otwartych drzwiach stanął ktoś zupełnie inny.

To właśnie musi być ta kapłanka, uznała Edwina. Kobieta była średniego wzrostu, z gęstwiną krętych czarnych włosów spływających z ramion i pleców. Skórę miała barwy hebanu, oczy ciemne, spojrzenie przykuwające uwagę. Pełne usta dopełniały obrazu twarzy o niezwykłej sile; kapłanka emanowała aurą powściąganą kobiecej mocy, której nie sposób było nie odczuć.

Edwina i Declan mimowolnie wstali.

Spojrzenie kapłanki przesunęło się po Declanie, zatrzymując się przelotnie na jego przypasanym u biodra mieczu, a potem przeniosło się na Edwinę i zbadało ją jeszcze wolniej, jeszcze uważniej.

Edwina otworzyła usta, by powiedzieć coś na powitanie, lecz kapłanka powstrzymała ją, podnosząc gwałtownie rękę.

– Oszczędź sobie przemowy. – Jej głos był niski i chropawy; słowa, choć

wyraźne, niosły w sobie ciepłe brzmienie egzotycznego akcentu. Spojrzenie kapłanki było jednak twarde i nieprzyjazne.

– Nie wiem, kto was tu skierował, ale wprowadzono was w błąd. – Jej oczy rozbłysły. – Nie pomogę wam pozbyć się dziecka. Życie to cenny dar; tu bardziej nawet niż w miastach, z których pochodzicie. Dzieci to dar od Boga i nie przyłożę ręki do przerwania niewinnego życia...

– Proszę? – Edwina wreszcie odzyskała mowę. Potrząsnęła głową zirytowana, wręcz oburzona. – Skąd ten pomysł! Wcale nie przyszliśmy tu, aby...

Słowa zamarły jej na ustach, gdy nagle uzmysłowiła sobie, że podczas ich podróży powinno nastąpić coś, co wcale nie nastąpiło. Wbiła spojrzenie w oczy kapłanki; kobieta nie odwróciła wzroku, uniosła tylko brwi i znowu zmierzyła ją od stóp do głów, zatrzymując się na podbrzuszu.

Edwina instynktownie osłoniła dłonią swój wciąż płaski brzuch. Nagle zrobiło jej się zimno, potem gorąco, a potem zakręciło jej się w głowie. Zaczęła drzeć. Wczepiła się w ramię Declana – stanowił jedyne oparcie w zasięgu ręki – a świat jakby zawirował wokół niej.

Dziecko! Nosiła w sobie dziecko Declana!

Popatrzyli sobie w oczy. Declan nakrył ręką jej dłoń i ścisnął mocno.

Sekundy mijały, a oni wpatrywali się w siebie, jakby nie dowierzając. W końcu zyskali pewność. Skąd wiedziała o tym kapłanka – tego Edwina nie umiała się domyślić, ale i oni przecież wiedzieli, tylko nigdy się nad tym nie zastanowili.

Uśmiechnęła się radośnie, spontanicznie, impulsywnie, i Declan odpowiedział tym samym – był to moment najwyższego, niemal namacalnego szczęścia.

Chwila przeciągała się, emocje nabrzmiewały między nimi... a jednak żadne nie zapomniało, gdzie i po co przyszli. Nie odrywając od siebie wzroku, oboje odetchnęli głęboko, powściągnęli zalewającą ich radość, po czym, trzymając się za ręce, na powrót zwrócili się ku kapłance.

Edwina nie miała pojęcia, co mówiły ich twarze, ale kobieta przypatrywała im się bardzo uważnie.

Cisza przeciągnęła się jeszcze przez chwilę, po czym kapłanka zmarszczyła brwi, jakby niezadowolona bardziej z siebie niż z nich.

– Przepraszam. – Jej głos złagodniał. – Nie wiedzieliście.

To było stwierdzenie, nie pytanie.

– Nie. – Declan zdawał się równie oszołomiony jak Edwina. – Musi nam pani wybaczyć... To było spore zaskoczenie... – Ucichł.

Natychmiast jednak odzyskał równowagę. Zerknął przelotnie na żonę, która wyczytała w jego oczach zarazem radość i delikatne przeprosiny, a potem zwrócił się ponownie do kapłanki.

– Dziękuję, że nam pani powiedziała... Że pomogła nam pani to odkryć. Oboje marzymy w tej chwili, żeby nacieszyć się tą wiadomością, ale przyszedliśmy do pani z innego powodu, a nasz czas jest ograniczony. Jesteśmy tu, by prosić panią o pomoc w ważnej, być może niezwykle ważnej sprawie.

– Doprawdy? – Kapłanka nieufnie zmierzyła ich wzrokiem. – A cóż to za ważna, być może niezwykle ważna sprawa?

– Chodzi o tych zaginionych ludzi. – Edwina wysunęła się do przodu, patrząc w ciemne oczy kobiety. – Wiemy, że rozmawiała pani o swoich podejrzeniach z wielebnym Hardwicke’iem. Mąż mój i ja chcielibyśmy dowiedzieć się jak najwięcej o tym, co kryje się za tymi niewytłumaczalnymi zniknięciami.

Kapłanka znowu przyglądała im się długo i badawczo.

Edwina wstrzymała oddech.

Wreszcie kapłanka spojrzała w kierunku okna wychodzącego na alejkę.

– Nie jest to odpowiedni temat na rozmowę w miejscu, gdzie każdy może nas zobaczyć. Chodźmy do mojego gabinetu.

Z tymi słowami odwróciła się i ruszyła przodem w stronę długiego korytarza.

Edwina pospieszyła za nią, Declan deptał jej po piętach.

Kapłanka poprowadziła ich do drzwi na końcu przejścia, za którymi mieścił się mały, duszny pokój, który przywodził Edwinie na myśl gabinet medyka. Ściany obwieszane były czaszkami i kośćmi, a także różnymi zwierzęcymi totemami, zdobionymi frędzlą włóczniami o rzeźbionych trzonach i innymi ceremonialnymi przedmiotami, w tym kilkoma groźnie wyglądającymi jataganami i kolekcją sztyletów. Pomieszczenie było przydymione; powietrze zdawało się nasycone wonią jakiegoś dziwnego kadzidła. Edwina zauważyła w kącie wypolerowaną misę, której zawartość dymiła lekko.

Kapłanka okrążyła ciężkie drewniane biurko, które wzmacniało tylko podobieństwo do gabinetu lekarskiego, i usiadła w fotelu za nim. Ruchem ręki wskazała gościom dwa krzesła z trzciny i rattanu.

– Siadajcie. Proszę zamknąć drzwi – dodała, zwracając się do Declana..

Wyprostowana jak struna, kapłanka położyła dłonie płasko na stole i powiodła wzrokiem po przybyłych, jakby szukając jakiegoś znaku. Wreszcie wyznała:

– Po rozmowie z tym waszym pastorem, który rzekomo jest sługą Bożym, i po tym, jak zbył moje słowa jako wymysły... Przyznaję, że nie powiedział mi tego w twarz, ale widziałam, że tak właśnie myślał. Po tym doświadczeniu nie spodziewałam się, że ktokolwiek z waszego ludu zainteresuje się jeszcze zaginionymi. Odniosłam wrażenie, że skazano ich na zapomnienie i że w opinii waszych przywódców nic nie da się zrobić.

– Ci ludzie nie zostali zapomniani – powiedział Declan głosem, w którym

nawet w takiej chwili pobrzmiwał autorytet człowieka nawykłego do dowodzenia.  
– Choć przyznaję, że ich zniknięcie zostało zlekceważone przez osoby dzierżące tu ster. Zapewniam panią, że ludzie sprawujący najwyższą władzę z oddali myślą inaczej. Przyszedłem tu... ja i moja żona... by jeszcze raz dać pani okazję zaradzenia tej sytuacji.

Edwina nachyliła się, kładąc rękę na biurku.

– Jeśli podzieli się pani z nami swoją wiedzą, mąż i ja będziemy mogli zagwarantować, że informacja trafi do osób, które zajmą się tą sprawą.

Declan nie odrywał wzroku od twarzy kapłanki, powstrzymując odruch, by dalej starać się ją przekonać. Kobieta zaufa im albo nie, ale im bardziej gorliwie będą nalegali, tym słabsi wydadzą się w jej oczach – nie uzna ich za ludzi mogących zrealizować to, na czym jego zdaniem kapłance zależało.

Po kolejnej długiej minucie przyglądania im się – na pewno spodziewała się, że będą chcieli powiedzieć coś jeszcze – kapłanka pokiwała głową.

– Dobrze więc.

Zamilkła, jakby zbierając myśli, i zaczęła mówić:

– Nazywam się Lashoria. Jestem kapłanką bogów wodun. Jako taka zostałam zaprzysiężona, by działać dla dobra mojego ludu... pod każdym względem, w każdy sposób. Spodziewam się, że kapłani innych bogów, jak wasz Hardwicke, żyją według podobnej zasady, i z mojego doświadczenia wynika, że przeważnie tak jest w istocie. W tej kolonii jednak pojawił się ktoś, kto twierdzi, że został wybrany przez Boga, ale podąża własną drogą i szuka bogactw tylko dla siebie, nie dla swego ludu i nie dla żadnego boga.

Lashoria utkwiała swoje ciemne spojrzenie w Declanie.

– Mówię o Obo Undoto. – Wymówiła to imię głosem, w którym brzmiała już nawet nie niechęć, lecz czysta nienawiść. – Pojawił się tu niecały rok temu. Z początku był po prostu kolejnym kapłanem kolejnego kościoła. – Wzruszyła ramionami. – Jesteśmy tolerancyjni, dla każdego znajdzie się miejsce. Tak nam się wydawało. Ale po jakimś czasie, kiedy Obo Undoto przyciągnął już do siebie wiernych, sytuacja uległa zmianie. Stał się... – uniosła dłonie do góry i rozłożyła je – ...większy. Tak jak rośnie i robi się większy człowiek, który odnalazł swoje powołanie. Pewny siebie. Zarozumiały.

Przerwała na chwilę.

– Mniej więcej w tym samym czasie ludzie zaczęli znikać, jeden po drugim.

Edwina przechyliła głowę.

– Słyszeliśmy tylko o zaginionych Europejczykach. Czy zniknęli także członkowie pani ludu?

Lashoria pokręciła głową.

– Nikt z mojego ludu nie zniknął, ale to moi ludzie mi o tym donieśli. Nie podoba im się, że Obo Undoto może doprowadzić do pogorszenia stosunków

między nami a Europejczykami. Mój lud obawia się tego, co się stanie, kiedy Undoto i jego wspólnicy popełnią błąd, a angielski gubernator, major z fortu i admirał marynarki zechcą się zemścić. Nie pragniemy wojny. Nie chcemy wzajemnych oskarżeń. To dzieło Undoto, nie nasze.

Lashoria umilkła.

– Rozumiemy to – powiedział cicho Declan. – Ścieżki wszystkich, którzy zniknęli, prowadzą do Undoto.

– No właśnie! – Oczy Lashorii rozbłysły ogniem sprawiedliwego gniewu. – Jeśli tyle już wiecie, to wiecie też, że to on za tym wszystkim stoi, to on tym kieruje. – Nachyliła się, obrzucając ich swym władczym spojrzeniem. – I widziałam na własne oczy, że zadaje się ze złymi ludźmi; ludźmi, o których nie mówimy pod żadnym pozorem, więc nie wolno wam nawet pytać. Ale widziałam, jak Undoto się z nimi zadaje. Widziałam, jak śmieje się z nimi i przyjmuje ich pieniądze. – Odsunęła się i popatrzyła poważnie na Edwinę i Declana. – Widziałam to na własne oczy i jestem przekonana, że Undoto współpracuje z tymi złymi ludźmi, by porywać niewinnych... bo to właśnie robią ci źli ludzie.

Mówiła o handlarzach niewolników; Declan wiedział, że miejscowa ludność obawiała się wymawiać ich imiona. Wątpił, by Lashoria ustąpiła w tym punkcie. Zawahał się, po czym spytał:

– Jak dotąd ci źli ludzie zabierali tylko Europejczyków, spośród których wybierali mężczyzn, młode kobiety i dzieci. To wszystko jest dość nietypowe. Czy ma pani jakiś pomysł, choćby sugestię czy przeczucie, w jakim celu uprowadzono tych ludzi?

Lashoria potrząsnęła głową, zaciskając usta.

– Tego nie wiem. Ale tyle wam powiem: są im potrzebni do czegoś, w czym nikt inny ich nie zastąpi. Inaczej po co źli ludzie wybieraliby właśnie te osoby, a nie inne? Moim zdaniem uprowadzeni nadal żyją i są wykorzystywani do... do czegoś, ale co to może być, tego nawet się nie domyślam.

Jej spojrzenie się zamgliło. Choć nadal siedziała w fotelu z twarzą zwróconą w stronę swych gości, wzrokiem zdawała się sięgać gdzieś w dal. Wreszcie oświadczyła dobitnym, zdecydowanym głosem:

– Jeśli chcecie się dowiedzieć, gdzie się podziali ci ludzie, pytajcie Obo Undoto.

\*\*\*

Nie dowiedzieli się od niej już nic konkretnego. Lashoria sprawiała wrażenie, jakby nagle zmęczyła się i uszło z niej całe powietrze. Pożegnała Declana i Edwinę i zawołała staruszkę, by odprowadziła ich do wyjścia.

Kobiecina wypuściła ich nie przez jasnoczerwone drzwi, którymi weszli, lecz przez zwyczajne drzwi wychodzące na wąskie przejście. Na szczęście Declan



obdarzony był niemal niezawodną orientacją w terenie. Chwycił Edwinę za rękę, jednocześnie próbując uciszyć instynkt, który zdawał się go przed czymś ostrzegać, i poprowadził ją z powrotem do alejki, którą przyszli.

Pora była jeszcze wczesna, ale zapadły już nieprzeniknione ciemności. Declan przyłapywał się na tym, że jego oczy – wszystkie jego zmysły – kierują się to w jedną, to w drugą stronę, zaalarmowane. Nie chodziło po prostu o to, że w alejce kręciło się teraz jeszcze mniej ludzi niż poprzednio – dręczyło go przecucie, którego doświadczenie nie pozwalało mu zignorować.

W takim labiryncie domów, gdzie ogromna masa ludzi tłoczy się na małej przestrzeni, nigdy nie zapada prawdziwa cisza. Ale dobiegający Edwinę i Declana szmer codziennych odgłosów – ludzkich rozmów, to cichych, to głośnych, zatraskiwanych drzwi, bliskich i dalekich kroków, przesuwania przedmiotów, stukania naczyń – zamiast krzepić, uniemożliwiał usłyszenie wszelkich dźwięków, które mogły przestrzec przed zagrożeniem.

Dokoła unosiły się i przepływały zapachy obcych potraw – przypraw, ostrych papryczek, cebuli, mięsa i ryb – oraz drzewnego dymu zabarwionego czasem nutami siarki i kadzidła; to także ich rozpraszało.

Oczy Declana szybko oswoiły się z mrokiem; wpatrywał się w drogę przed nimi, ale nie widział nic podejrzanego. Mimo wszystkiego, czego się dowiedzieli, czy to o ich prywatnych sprawach, czy o misji, ani on, ani Edwina nawet nie starali się nawiązać rozmowy; po napięciu palców, które ścisnął, Declan poznał, że ona również się denerwuje.

Ustawił się tak, by w razie czego Edwina nie przeszkadzała mu w sprawnym dobytciu miecza. Przed wyruszeniem z domu odruchowo przypasał pochwę. Wielu oficerów wojska i marynarki podczas spotkań towarzyskich nosiło broń ceremonialną, lecz jego miecz zupełnie jej nie przypominał. Była to ostra, dobrze wyważona, obosieczna broń z rękojeścią dopasowaną do jego ręki – doskonale się nadawała do walki w ciasnej przestrzeni: na pokładzie statku czy też, co było jeszcze gorsze, pod nim.

Albo w wąskich, krętych alejkach.

Dłoń zaczęła go mrowić. Parcie, by zacisnąć ją na rękojeści, narastało, aż zaczął odczuwać je jak drobniutkie ukłucia szpilką.

Ulegając instynktowi, sięgnął do lewego boku, wsunął palce w gardę, układając trzon w dłoni, i poluzował ostrze w pochwie.

Jednocześnie ścisnął Edwinę za rękę – nie był pewien, czy chciał tym uspokoić ją, czy siebie samego. Byli już niemal na dole, zbliżali się do przedostatniego skrzyżowania. Może nadmiernie się przejmował i uda im się opuścić labirynt, nie napotyając żadnego zagrożenia.

Podchodząc do maleńkiego skrzyżowania, zwolnił, przystanął na chwilę, by rozejrzeć się na prawo i lewo, ale w mroku nie czaiły się żadne groźne cienie.

Wypuścił wstrzymywany dotąd oddech i szedł dalej równym, pewnym i zdecydowanym krokiem.

Alejka zwięzła się jeszcze bardziej, meandrując między skleconymi byle jak domami. Minęli zakręt w jedną stronę i już zbliżali się do kolejnego w drugą, kiedy nagle dotarł do niego dźwięk, którego cały czas nasłuchiwał: stłumiony tupot stóp na ubitej ziemi za ich plecami.

Serce mu stanęło, potem zaczęło bić jak oszalałe. Trzy szybkie susy i znaleźli się za zakrętem, a wtedy Declan obrócił się na pięcie, zasłonił Edwinę swoim ciałem i ze świstem dobył z pochwy miecza, gotów stawić czoło napastnikom, którzy chcieli zaskoczyć go wcześniej, pomiędzy obydwoma zakrętami, gdzie miałby jeszcze mniejsze pole manewru.

Zza zakrętu wybiegło dwóch mężczyzn. Na jego widok przystanęli.

Widząc, że jest ich tylko dwóch, Declan niemal się uśmiechnął. Dwóch na jednego, a tym jednym był on sam – to niezbyt wielkie wyzwanie. Tylko że tym razem miał ze sobą Edwinę.

Stała za nim, jedną ręką wczepiając się w jego ubranie.

Napastnicy zmierzili go wzrokiem, a potem przesunęli spojrzenie na Edwinę – na tyle, na ile mogli ją dojrzeć.

Ten z przodu uśmiechnął się, pewny siebie i spokojny.

Declan zobaczył, jak jego mięśnie spinają się do ataku.

Ale to on uderzył pierwszy.

Uśmiech mężczyzny się ulotnił. Napastnik miał w ręce krótkie ostrze i zdołał zasłonić się przed pchnięciem, jednakże Declan nacierał dalej. Tamten odsunął się, przeklinając i z trudem parując ciosy.

Kątem oka Declan zobaczył, jak drugi z mężczyzn, który do tej pory trzymał się w cieniu, przesuwa się pod ścianą do przodu.

Nie czekał, by się przekonać, czy tamten chce rzucić się na Edwinę, czy zaatakować go z boku. Nie przerywając zacieklej wymiany ciosów z pierwszym napastnikiem, nagle ciął zamasyście, raniąc drugiego przeciwnika w przedramię i zmuszając go do odskoczenia.

Declan skupił się teraz całkowicie na pierwszym napastniku, który wyraźnie był lepszym szermierzem niż jego współnik.

Wtedy jednak ten drugi wyciągnął nóż; Declan kątem oka dojrzał błysk ostrza. Robi się gorąco, przemknęło mu przez głowę. Musiał jak najszybciej rozprawić się z pierwszym...

Drugi zaczął skradać się dookoła, wyraźnie zamierzając podejść go z boku.

Zaczynają się kłopoty, pomyślał Declan. A jego żona – jego ciężarna żona – znajdowała się o wiele za blisko. Ale powóz był tuż tuż, na końcu krętej alejki.

Drugi z bandytów, warcząc jak wściekły pies, uniósł nóż.

– Edwino... Uciekaj!

– Nie!

Declan nie miał pojęcia, czy krzyczy do niego, czy do napastnika.

Zanim ktokolwiek zdołał się zorientować, skoczyła do przodu.

Mężczyzna – ciężki i nabity, co najmniej trzy razy od niej większy – po raz pierwszy zobaczył ją dokładnie. Znieruchomiał zaskoczony i uśmiechnął się pożądliwie, kiedy się na niego rzuciła.

Korzystając z chwilowej przewagi, pierwszy napastnik zdwoił wysiłki. Declan zaklął w myślach. Jak najszybciej musiał się z nim rozprawić, by zakończyć potyczkę. Obrócił się, zadał serię błyskawicznych pchnięć, a potem odskoczył i ciał szeroko.

Mężczyzna puścił z krzykiem broń i chwycił się za brzuch.

Declan nie czekał na jego upadek, lecz natychmiast odwrócił się, by zmierzyć się z tym drugim...

Który stał zgięty wpół, jęcząc i trzymając się za twarz. Wypuścił nóż z ręki i cofał się na ślepo, zataczając...

Declan popatrzył na Edwinę. Na jej twarzy malowała się wojownicza furia, w dłoni załśniło coś małego i wąskiego. Nie widział, co zrobiła, ale nie było czasu na pytania. Chwycił ją za rękę i pociągnął w alejkę.

Mieli już bardzo blisko do powozu, ale obawiali się reakcji okolicznych mieszkańców, którzy mogli słyszeć odgłosy starcia.

Declan biegł w najszybszym tempie, jaki mogła znieść Edwina. Wyobrażał sobie tłum, który się przeciwko nim obraca. Edwina nie wyrzekła ani słowa – w ogóle po tamtym jednym rozpaczliwym „nie!” nie wydała z siebie żadnego dźwięku; on także.

Zbliżyli się do ostatniej alejki, którą musieli przeciąć.

W tej chwili wyskoczyła z niej kolejna para mocno zbudowanych zbirów.

Declan nawet nie zwolnił. Puścił dłoń Edwiny, uniósł ostrze i niesiony rozpędem pchnął pierwszego w brzuch. Mężczyzna natychmiast padł. Nie spodziewał się ataku z marszu i nie zdążył nawet unieść miecza.

Po raz drugi Declan obrócił się w miejscu, by zetrzeć się z pozostałym napastnikiem; po raz drugi Edwina zdążyła już uderzyć i unieszkodliwić łajdaka, który zatoczył się na mur, ścisnął za twarz i zawył.

Ludzie na pewno musieli usłyszeć ten upiorny jęk; ani chybi wyjrzą zobaczyć, co się dzieje.

Nie puszczając rękojęści miecza, Declan zamachnął się, uderzył mężczyznę pięścią w głowę i powalił go na ziemię. Zapadła cisza.

Oglądając się szybko do tyłu, chwycił Edwinę za rękę i puścili się biegiem ku wylotowi alejki.

Wkrótce znaleźli się za ostatnim zakrętem i dojrzeli zapyłony dziedzińczyk znajdujący się u wejścia do alejki. Wydawało się, że panuje tam spokój, nikt więcej

się na nich nie czaił. Nie widzieli powozu, lecz Declan wiedział, że pojazd już na nich czeka. Nie zatrzymując się, rozejrzał się szybko na prawo i lewo, a potem wypchnął Edwinę przed siebie i puścił jej rękę.

– Biegnij prosto do powozu. Będę tuż za tobą.

– Spróbuj nie być – rzuciła przez ramię. Zakasała suknię i pomknęła jak strzała.

Biegnąc tuż za nią, Declan nasłuchiwał odgłosów pościgu.

Wypadli na otwartą przestrzeń. Powóz stał po przeciwnej stronie dziedzińczyka, zwrócony już w kierunku miasta. Billings opierał się o niego niedbale.

Kiedy zobaczył, jak Edwina i Declan pędzą ku niemu, wyprostował się i wytrzeszczył oczy, ale natychmiast otworzył drzwi.

Edwina dobiegła do powozu. Declan złapał ją w pasie i podsadził.

– Wsiadaj! – ponaglił Billingsa. Przytrzymał się framugi i krzyknął do Decha: – Ruszaj! Do domu, byle szybciej!

Podciągnął się do środka powozu i padł obok Edwiny. Pojazd szarpnął. Kiedy zaczął przyspieszać, Declan wychylił się, złapał drzwi i je zatrzasnął.

Opadł na siedzenie. Serce waliło mu, jakby chciało wyrwać się z piersi. Brał udział w niezliczonych bitwach, bójkach i potyczkach, bywał w sytuacjach krytycznych, ale nigdy jeszcze nie odczuwał tego tak intensywnie. Nigdy wszystkie zmysły nie wydawały się aż tak wrażliwe, tak wyostrzone strachem o wiele większym niż zwyczajna i naturalna obawa o własne życie.

Przez długie chwile siedzieli w ciemności, a jedynymi dźwiękami były stłumiony odgłos końskich kopyt, terkotanie powozu podskakującego w koleinach i na wybojach – oraz ich przyspieszone oddechy.

Declan odtworzył w głowie całe zajście, oceniając je i analizując jak każdy dobry dowódca po bitwie. Napad został sprytnie zaplanowany; on i Edwina powinni byli zostać schwytani.

I tak by się stało, gdyby usłuchała go i uciekła. Wpadłaby prosto w ręce pozostałych zbirów, tych czekających przy ostatnim skrzyżowaniu, i to byłby koniec, niezależnie od wyniku jego walki z pierwszymi dwoma.

Napastnicy nie zlekceważyli go. Ale zlekceważyli ją.

I nic dziwnego. On też jej nie doceniał.

To odkrycie... odebrało mu chęć na jakąkolwiek zasłużoną tyradę; karcic ją za to, że nie usłuchała polecenia i sama z niezaprzeczalnym powodzeniem przejęła inicjatywę, byłoby całkowitą hipokryzją.

Mimo to trudno mu było pogodzić się z faktem, że jego żona nie jest ani w połowie tak bezradna, delikatna i krucha, jaką się zdawała; że choć miał powody martwić się o jej bezpieczeństwo, to byłoby głupotą nadmiernie ją krępować z powodu własnych, czasem przesadnych obaw. Na pewno nie zdoła tego

zaakceptować w ciągu jednego dnia.

Czy nawet tygodnia.

Świadomość, że Edwina nosi pod sercem ich dziecko, na pewno mu w tym nie pomoże.

Dojechali do okolic, gdzie drogi były lepsze i mniej wyboiste. Declan i Edwina zaczęli równiej, spokojniej oddychać.

Edwina wsunęła palce w dłoń męża.

Uścisnął je mocno.

Odwzajemniła uścisk.

Po chwili odezwała się bardzo cicho:

– Wygląda na to, że chyba dowiedzieliśmy się czegoś, co ktoś wolałby zachować przed nami w tajemnicy.

Declan przemyślał jej słowa i zastanowił się na głos:

– Śledzili nas? A może obserwowali dom kapłanki?

Żadne z nich nie znało odpowiedzi.

Wreszcie Edwina wysunęła rękę z uścisku. Declan zobaczył, że szpera w torebce, która przez cały wieczór wisiała na jej nadgarstku. Wyciągnęła chusteczkę, dobrze widoczną nawet w mroku, po czym podniosła coś z podołka i wytarła do czysta ostrożnymi ruchami.

– Co to? – chciał wiedzieć Declan.

– Szpilka do kapelusza. – Kiedy podniósł ją, przyglądając się uważnie i obracając w słabym świetle na wszystkie strony, poprawiła: – Zmodyfikowana szpilka do kapelusza.

Malutka broń – bo tym niewątpliwie była – miała ozdobną złotą główkę i bardzo cienki szpic długości około czterech cali. Nie było to ostrze – nie miało krawędzi tnącej – ale kiedy Declan sprawdził wytrzymałość, poczuł opór najszlachetniejszej hartowanej stali.

– Dostałam to od Juliana. Każda z nas, Millie, Cassie i ja, otrzymała od niego na szesnaste urodziny zestaw sześciu takich szpilek. – Po chwili milczenia Edwina dodała: – Powiedział, że skoro nie może nas strzec, to chce przynajmniej zaopatrzyć nas w broń, byśmy same mogły się bronić.

Declan zapisał sobie w pamięci, by przy następnym spotkaniu podziękować szwagrowi.

Edwina wzruszyła ramionami.

– Jak widziałeś, są bardzo skuteczne, zwłaszcza że mężczyźni nigdy się nie spodziewają, iż takie damy jak my mogą mieć przy sobie coś podobnego, a tym bardziej się tym posłużyć.

To prawda, Declan sam widział, że napastnicy nawet nie próbowali się zasłonić przed atakiem.

Edwina odebrała mu szpilkę. Wytarła ją jeszcze kilkakrotnie chusteczką,

chwyciła szeroką klapę przy staniku podróżnej sukni i wsunęła miniaturową broń na miejsce.

Declan zdał sobie sprawę, że w drugą klapę wpięta była taka sama szpilka.

– Myślałem, że są do kapelusza.

– Do kapelusza, do włosów, szali, chust, klap... Łatwo je ukryć. – Edwina popatrzyła na męża w mroku. – Prawie zawsze, kiedy wychodzę z domu, mam przy sobie co najmniej dwie.

Declan uściśnął jej dłoń, a potem uśmiechnął się powoli i szeroko, podniósł ją do ust i musnął wargami.

– Dobrze wiedzieć.

Świadomość, że Edwina nie jest bezradna – że poza sprytem i językiem dysponuje też prawdziwą bronią i w razie zagrożenia umie zachować przytomność umysłu i się nią posłużyć – nie mogła zupełnie uciszyć jego obaw, ale na pewno w tym pomagała.

Powóz wjechał w bardziej cywilizowaną okolicę i przestał podskakiwać, a oni siedzieli obok siebie i myśleli o wszystkim, czego się dowiedzieli.

## Dwanaście

– Nie możemy jeszcze wyjechać – powiedziała Edwina, wydeptując ścieżkę w salonowym dywanie.

– Rozkazy Wolverstone’a były jednoznaczne. Mam wyjechać natychmiast, gdy napotkam jakikolwiek opór, jakąkolwiek reakcję. – Declan siedział w jednym z foteli. Przez wzgląd na swoją załogę i na Edwinę zachowywał zewnętrzny spokój, jednak z trudem powstrzymywał się przed tym, by nie przyłączyć się do jej nerwowego krążenia. – Atak nie jednego, lecz czterech opryszków z pewnością można zaś uznać za reakcję.

Edwina rzuciła tylko krótkie „Hm!”, nie zaprzestając chodzenia.

Declan przyglądał się jej zaciśniętym ustom, skupieniu widocznemu na twarzy; może była pobudzona, lecz pobudzenie to nie wypływało z paniki, tylko z zaciętej determinacji.

– Wolverstone wie, co robi – powiedział.

On sam wciąż jeszcze miał kłopot z przyswojeniem drugiej informacji, którą uzyskali od kapłanki – tej dotyczącej ich prywatnego życia.

– Stracili przez tę sprawę już trzech ludzi – dodał ciszej. Ze swej strony nie zamierzał ryzykować, że sam utraci Edwinę.

– No właśnie! Nie mam zamiaru się upierać, że musimy się dowiedzieć więcej albo dążyć głębiej. To, że nas napadnięto, sugeruje, że już trafiliśmy na kluczowy trop. Więcej jeszcze, potwierdziliśmy niezbicie, że cokolwiek się tu dzieje, jest to poważny problem, ci ludzie są porywani, nie uciekają z własnej woli. Zgadzam się, że musimy przekazać do Londynu to, czego się dowiedzieliśmy. Ale czy dysponujemy na tyle konkretnymi informacjami, by Wolverstone i Melville mogli pociągnąć sprawę i podjąć stosowne działania? Czy to dość, by zdołali odszukać zaginionych?

Zanim Declan zdążył odpowiedzieć, ciągnęła:

– Zastanów się, co tak naprawdę wiemy. Ustaliliśmy, że w ciągu ostatnich miesięcy zaginęła grupa najwyraźniej niepowiązanych ze sobą ludzi. Nie odeszli sami. Ktoś ich uprowadził. Nic jednak nie sugeruje, że ich zabito; najprawdopodobniej wciąż żyją i są gdzieś przetrzymywani. Powiedziano nam, że wszyscy dorośli spośród zaginionych uczęszczali do kościoła Undoto. To jednak można uznać za zbieg okoliczności. I jeśli ktoś spyta o zdanie Holbrooka, dokładnie to usłyszysz w odpowiedzi. Nasz jedyny dowód, że jest w to uwikłany Undoto, nie wspominając już o handlarzach niewolników, to ustne świadectwo jakiejś kapłanki wodun. Wolverstone’owi może to wystarczy, ale Melville’owi na pewno nie, i nikomu innemu w politycznej hierarchii też nie.

Przerwała, by zaczerpnąć oddech.

– Jeśli pominąć informacje od kapłanki, a raczej zostaną pominięte, jedynym faktem, jaki zdołaliśmy niezbitnie potwierdzić, jest to, że poza mężczyznami giną także młode kobiety oraz dzieci i że prawdopodobnie wszyscy jeszcze żyją. Nie mamy nic, co pomogłoby nam odkryć, gdzie się podziali, kto ich porwał czy chociażby w jaki sposób tego dokonał; nic, co mogłoby pchnąć dalsze śledztwo w jakimś konkretnym kierunku. Nie potrafimy nawet dowieść, że cokolwiek im grozi, a fakt, że nic nie wskazuje na ich śmierć, może wręcz spowolnić poszukiwania!

– O ile wiem, polityczna presja, by rozwiązać tę sprawę, to skutek obaw przed potencjalnymi konsekwencjami, gdyby okazało się, że mamy do czynienia z sytuacją w rodzaju incydentu z Czarną Kobrą. Wolverstone wie, że z takim zagrożeniem można rozprawić się wyłącznie poprzez natychmiastowe i zdecydowane działanie -powiedział Declan, lecz po chwili przyznał niechętnie, wiedząc, że te słowa to argument na korzyść żony: – Zbyt często jednak w kręgach politycznych strach prowadzi do wahania i powoduje paraliż. A Wolverstone nie może już zwyczajnie zignorować pozostałych i wydać polecenia. To on mnie wezwał, ale rozkazy jako takie wydał Melville.

– No właśnie! – Edwina na powrót zaczęła krążyć, jakby nie potrafiła ustać w miejscu. Potem znowu przystanęła i gwałtownie zwróciła się w stronę męża. – Dokładnie tego się obawiam: że popędzimy z naszymi informacjami do Londynu, a Melville i jemu podobni zaczną marudzić, że są nie dość jasne, że sytuacja jest skomplikowana, że trudno coś postanowić, aż w końcu stanie na niczym. Nie uwierzą nam, nie zrozumieją, a przede wszystkim nic nie zrobią.

Spojrzała na Declana: widział w jej oczach napięcie i poruszenie i zdał sobie sprawę, że chodzi jej o coś więcej niż o przygodę. Kiedy znowu przemówiła, jej ton nie był błagalny, lecz pełen perswazji:

– Wiem, że przysłano cię tu, byś odkrył, co się stało z tymi czterema zaginionymi mężczyznami, ale mnie bardziej obchodzą młode kobiety i dzieci. Tylko łasce boskiej zawdzięczam, że sama nie jestem jedną z tych dziewcząt. Gdyby Julian nie poświęcił się przez wzgląd na nas wszystkie, może byłabym zmuszona przyjąć tu stanowisko guwernantki albo damy do towarzystwa. To ja mogłam zostać uprowadzona.

Declan wreszcie zaczął rozumieć. Lojalność i poczucie *noblesse oblige*; Edwinie nie brakowało ani jednego, ani drugiego.

Przemyślał jej słowa i nie potrafił się z nią spierać; wszystko, co powiedziała, było świętą prawdą.

Edwina odetchnęła głęboko i patrząc Declanowi w oczy, oświadczyła:

– One... i los, jaki mógł je spotkać... będą mnie prześladować, jeśli nie uczynię wszystkiego, absolutnie wszystkiego, co w mojej mocy, by je odnaleziono i uwolniono, by odzyskały swoją przyszłość. – I dodała ciszej: – To, że my sami



mamy takie szczęście... że spotykają nas same błogosławieństwa... to sprawia, że ciąży na nas jeszcze większa odpowiedzialność.

Rzeczywiście, *noblesse oblige*, ale w jej przypadku chodziło o coś znacznie głębszego, bardziej prawdziwego niż zwykły ukłon w stronę konwenansu. Edwina naprawdę była szlachetnie urodzona; pragnienie niesienia pomocy innym i naprawiania społecznych krzywd miała we krwi.

On sam także wiedział, co oznacza wyższa konieczność, niepodważalne oddanie ideałom. Inaczej co by tu robił? Jak Wolverstone i Melville mogliby wzywać jego ród na pomoc i mieć pewność, że wezwanie to nie pozostanie bez odpowiedzi?

Edwina jakby wyczytała z jego milczenia zrozumienie. Skinęła lekko głową.

– To na nas, którzy mają taką możliwość, ciąży obowiązek pomocy tym, którzy sami sobie pomóc nie mogą. – Zmarszczyła brwi i na powrót zaczęła krążyć po pokoju. – A w tym przypadku oznacza to, że zanim stąd uciekniemy, musimy uzyskać potwierdzenie naszych informacji z jakiegoś bardziej... szacownego źródła niż Lashoria.

Słowo, którym się posłużyła – „ucieczka” – uwypukliło tylko dylemat, przed jakim stanęli.

– Niemniej musimy stąd uciec – powiedział Declan. – Ci ludzie, którzy nas zaatakowali, w każdym razie ci, którzy przeżyli... doniosą o swojej porażce temu, kto ich nasłał. A kimkolwiek jest ta osoba, szczerze wątpię, by zwlekała z kolejnym atakiem. – Przerwał, by się zastanowić, i dokończył: – Moim zdaniem powinniśmy spodziewać się następnego napadu przed świtem. Nie możemy tu zostać...

W tym momencie w drzwiach pojawił się Henry i Declan zamilkł.

– Kolacja podana.

– Dziękuję, Henry. – Declan podniósł się i wyciągnął rękę do Edwiny. – Prawie na pewno mamy czas co najmniej do północy. Zjedzmy i zastanówmy się, co zrobić. – Kiedy Edwina podała mu dłoń, zwrócił się do Henry'ego: – Zbierz pozostałych. Wszyscy przynieście swoje talerze do jadalni. Dench i Billings na pewno powiedzieli wam już, w jakim pośpiechu wracaliśmy ze spotkania z kapłanką. Musimy wam wyjaśnić, co się stało, a potem zaplanować nasz kolejny ruch.

Edwinie, kiedy usadzono ją przy stole i podano smaczny posiłek, w zupełności wystarczało słuchanie relacji Declana, podczas gdy sama rzuciła się na jedzenie. Czy to z powodu podniecenia wywołanego ich przygodą, czy spodziewanego dziecka, miała wilczy apetyt.

Declan poinformował swoich ludzi, że udało im się zdobyć przynajmniej częściową listę zaginionych, która potwierdziła, że grupa ta jest o wiele większa i bardziej zróżnicowana, niż przypuszczano w Londynie, i że dzięki Sampsonowi

mają dość informacji, by podejrzewać, że ogniwem łączącym część zaginionych są nabożeństwa Obo Undoto. Potem zrelacjonował szczegółowo słowa Lashorii, która twierdziła, że wszyscy zaginioni brali udział w tych modłach, a w porwania uwikłany jest sam Undoto, który ma konszachty z handlarzami niewolników. Wyjaśnił też, że bez potwierdzenia zarzuty nie zostaną poważnie potraktowane. Tymczasem Edwina zdążyła wyczyścić talerz i teraz gotowa była pospieszyć z sugestią.

– Nie mamy wiele czasu, ale mimo to powinniśmy poszukać czegoś, co potwierdziłoby wersję Lashorii. – Odsunęła talerz, oparła się łokciami o stół i wsparła brodę na złożonych dłoniach. Wszyscy mężczyźni skupili na niej uwagę, ona zaś mówiła dalej: – Nawet gdybyśmy się tak nie spieszyli, wątpię, byśmy zdołali znaleźć kogokolwiek, kto mógłby wiedzieć, czy Undoto spotykał się z tymi ludźmi, o których nikt nie chce wspominać. Ale jeśli znajdziemy kogoś cieszącego się szacunkiem, kto potwierdzi pierwszą informację Lashorii, czyli że wszyscy zaginioni dorośli chodzili na nabożeństwa, to trudniej będzie odrzucić zarzut, iż sam Undoto współpracuje z handlarzami niewolników i jest uwikłany w porwania. W najgorszym razie trzeba będzie przynajmniej zbadać sprawę; Melville i jemu podobni nie mogliby tego zignorować.

Popatrzyła na Declana z niemym pytaniem w oczach.

– Masz rację – przyznał po chwili namysłu. – Po całym zamieszaniu z Czarną Kobrą, jeśli zdołamy potwierdzić udział zaginionych w nabożeństwach, nie będzie można zignorować możliwości, że Undoto ma związek ze sprawą i być może nawet współpracuje z handlarzami niewolników. To byłoby zbyt niebezpieczne.

Edwina przytaknęła mu.

– Zastanawiam się, kto mógłby potwierdzić, że wszyscy zaginioni chodzili na nabożeństwa – powiedziała. – Przypuszczam, że Sampson, ale tak samo jak w przypadku Lashorii, jego słowo nieoparte cudzym świadectwem nie będzie miało dostatecznej wagi. – Popatrzyła na Declana. – Inni jednak... wiarygodni członkowie wojska i marynarki... potwierdzili, że czterej zaginioni mężczyźni bywali u Undoto. A gdyby udało nam się znaleźć kogoś, kto poświadczyłby także udział tych czterech młodych kobiet z listy pani Hardwicke? Dowiedziałam się już od pani Sherbrook, że uczęszczała na nie Katherine, ale nie wypytywałam jeszcze o pozostałą trójkę.

Declan zmarszczył brwi, postukując palcem o blat.

– Trudno byłoby zignorować zgodność osiem na osiem. To mogłoby wystarczyć, by zwiększyć wiarygodność Lashorii. Kogo chciałaś spytać, biorąc pod uwagę nasz brak czasu? – zapytał, patrząc na Edwinę.

– Najpierw myślałam o pani Hitchcock, ale ona pewnie, tak samo jak pani Sherbrook, będzie mogła potwierdzić tylko jedną osobę, która niekoniecznie nawet

znajduje się na naszej liście, więc wcale nam to nie pomoże. Jest jednak ktoś, z czym słowem by się liczone, a kto, o ile wiem, był obecny na wszystkich nabożeństwach w ciągu ostatnich kilku miesięcy i powinien znać wszystkie Brytyjki w kolonii przynajmniej z widzenia. – Edwina popatrzyła Declanowi w oczy, po czym dokończyła: – Lady Holbrook.

Declan potrząsnął głową, zaciskając usta.

– Holbrookowi nie możemy ufać.

– Nie miałam takiego zamiaru. Przypuszczam zresztą, że zanim usłyszysz od żony o mojej wizycie, będziemy już daleko.

– Co zatem proponujesz? – spytał Declan, wyraźnie niechętny pomysłowi.

– Chcesz opuścić to miejsce jeszcze dziś w nocy... Zakładam, że pragniesz przenieść się z powrotem na „Kormorana”?

Declan przytaknął.

– Najszybciej, jak możemy. Kiedy wstaniemy od stołu, Billings pobiegnie zawiadomić resztę na statku, najmie wóz i sprowadzi część załogi do pomocy. – Spojrzał na Billingsa, który zsalutował krótko, i ciągnął: – Tymczasem my spakujemy wszystko, co pochodzi ze statku, żeby było gotowe do załadunku, gdy tylko Billings wróci z wozem.

Wszyscy mruknęli cicho na potwierdzenie.

– Możemy to doskonale zgrać z moim zadaniem – oświadczyła Edwina.

Ułożyła sobie w głowie ostatnie szczegóły, po czym zwróciła się do Declana:

– Kiedy już będziemy gotowi do wyjazdu, ty i reszta zabierzecie nasze rzeczy na statek, tymczasem Dench może zawieźć mnie do domu gubernatora. – Spojrzała przelotnie na zegar. – Będzie już dość późno. Nie słyszałam, by odbywało się dziś jakieś spotkanie towarzyskie, a na pewno by mi o tym powiedziano. Co oznacza, że lady Holbrook powinna być w domu i móc się ze mną zobaczyć. Zamierzam jej powiedzieć, że otrzymałeś jakieś nagłe wieści związane z interesami, toteż musimy wyjechać w pośpiechu, a że jesteś pochłonięty przygotowaniem, przyjechałam sama, by pożegnać się w imieniu nas obojga i podziękować jej i gubernatorowi za gościnność.

Declan przez chwilę patrzył na nią bez słowa, po czym stwierdził:

– Sądziłem, że lady Holbrook zajmuje w tej sprawie takie samo stanowisko jak jej mąż i uważa, że te zniknięcia nie zasługują na uwagę. Jak zamierzasz przekonać ją, że zniknięcia tych czterech młodych kobiet ma coś wspólnego z Undoto, by powiedziała ci, czy brały udział w jego nabożeństwach, czy też nie?

– Wcale tego nie zamierzam... To jest, nie zamierzam w ogóle wspominać o zaginięciach. Spytałem tylko, czy orientuje się, czy te dziewczęta pojawiały się w jego kościele. To wszystko, co musi nam potwierdzić. – Edwina urwała na chwilę i wyjaśniła: – Najpierw pokieruję rozmową tak, by przyznała, że zna

wszystkie Brytyjki, które tam bywają. Wtedy nie będzie mogła odpowiedzieć zwyczajnie, że nie wie.

Minęła długa chwila.

– Pojadę z tobą – oznajmił zdecydowanie Declan.

– Nie możesz – odparła Edwina, a kiedy spojrzał na nią z niezadowoleniem, dodała spokojnie: – Holbrook, pamiętasz? Jeśli pojadę do nich w pojedynkę i poproszę o spotkanie z lady Holbrook, niemal na pewno przyjmie mnie sama. Nawet jeśli Holbrook będzie w domu, przywitamy się tylko i zamienimy parę zdań, po czym pójdzie sobie, żebym mogła porozmawiać z jego żoną. Ale jeśli i ty tam będziesz, Holbrook na pewno postanowi dotrzymać nam towarzystwa. A ponieważ nam się spieszy, nie będziemy mogli długo siedzieć i trudno będzie doprowadzić do sytuacji, w której moglibyście zostawić nas same.

Declan wyraźnie nie był zachwycony jej planem. Po chwili oświadczył tonem nieznośnym sprzeciwu:

– Kiedy wszystko spakujemy, Henry z resztą ludzi zawiozą nasze rzeczy do portu i przetransportują je na „Kormorana”. A w tym czasie ty, Dench, Carruthers, Billings i ja pojedziemy najętym powozem do Holbrooków. Ja zostanę w środku, nikt nie musi wiedzieć o mojej obecności. Billings odprowadzi cię do bramy. Wejdiesz sama, rozmówisz się z lady Holbrook, wydobędziesz z niej potrzebne informacje, a potem wrócisz do powozu i pojedziemy prosto do portu i na statek.

Edwina przemyślała ten scenariusz. Nie miała żadnych obaw przed wejściem do domu gubernatora i rozmową z gościnną matroną pokroju lady Holbrook, lecz nie ulegało wątpliwości, że w drodze tam i potem do portu czułaby się o wiele bezpieczniej, mając u swego boku Declana. Na pewno przypasa miecz – kiedy wrócili do domu, dał go Henry’emu do oczyszczenia, teraz jednak broń czekała już w pochwie na stoliku w holu wejściowym.

Aż do tego wieczoru nigdy nie wyobrażała sobie Declana w prawdziwej walce. W wąskiej alejce nie miała może czasu, by przyjrzeć się jego umiejętnościom szermierzom, ale zobaczyła dość, by utwierdzić się w przekonaniu, że jej mąż doskonale wie, jak posługiwać się ostrzem.

Świadomość, że Declan czeka na nią w powozie, gdy ona po raz ostatni przed opuszczeniem kolonii będzie próbować szczęścia w dochodzeniu, na pewno doda jej pewności siebie.

Uśmiechnęła się więc i kiwnęła głową.

– Wyśmienity plan.

Declan parsknął, ale pochylił głowę, jakby przypieczętowując pakt. Potem omówił rozkazy ze swoimi ludźmi.

Kiedy podniósł się i odsunął jej krzesło, uśmiechnęła się do niego wesoło, zupełnie usatysfakcjonowana, po czym wraz z pozostałymi wyszła z jadalni i rzuciła się w wir pakowania.

\*\*\*

Dwie godziny później, wciąż odziana w niebieską podróżną suknię, Edwina podjechała pod tymczasową rezydencję gubernatorostwa. Billings pomógł jej wysiąść z powozu i odeskortował pod samą bramę, której pilnował żołnierz.

– Lady Edwina Frobisher do lady Holbrook – oświadczyła Edwina swym najbardziej władczym tonem.

Żołnierz stanął na baczność, zasalutował i otworzył bramę.

Billings spojrzawszy jej mimochodem w oczy, pochylił z szacunkiem głowę i wrócił do powozu.

Idąc ogrodową ścieżką, Edwina usłyszała terkot kół, a potem znowu zapadła cisza. To Declan kazał Denchowi zawrócić powóz w stronę portu na wypadek, gdyby musieli odjechać w pośpiechu.

Uśmiechnęła się czule, wchodząc po stopniach na frontowy ganek. W Declanie niemal buzowało z napięcia, które wzrastało w miarę, jak zbliżali się do domu Holbrooków. Bardzo mu się nie podobało, że miała wejść tam w pojedynkę, lecz mimo tych wyraźnie dręczących go obaw pozwolił jej przejąć ster i odegrać swoją rolę.

Zapanował nad sobą i nie próbował jej powstrzymać pomimo możliwego ryzyka – nawet jeśli wydawało się wyraźnie przesadzone.

Kiedy kamerdyner Holbrooków otworzył drzwi i rozpoznawszy ją, wpuścił do środka ze służalczym ukłonem, miała ochotę pokręcić głową na myśl o irracjonalnych obawach męża, że cokolwiek mogłoby jej tu grozić – w domu gubernatora Brytyjskiej Afryki Zachodniej!

Kamerdyner zostawił ją na krótką chwilę w holu, by poinformować panią domu o przybyciu gościa, po czym zgodnie z planem zaprowadził ją do salonu, gdzie zastała lady Holbrook, niczym specjalnie niezajętą i bez męża.

Czytała książkę, którą właśnie odkładała na bok. Wyprostowała się i uśmiechnęła promiennie.

– Droga lady Edwino! Co za miła niespodzianka.

Edwina płynnym ruchem podeszła do gubernatorowej i łaskawym gestem podała jej dłoń.

– Musiałam przyjechać, choć niestety powodem jest konieczność pożegnania się z panią i jej mężem.

– Pożegnania? – Lady Holbrook ujęła jej palce i dygnęła przepisowo, po czym gestem zaprosiła Edwinę na sofę. – Nie sądziłam, że planują państwo tak szybki wyjazd.

Edwina usiadła i poczekała, aż gospodyni na powrót zajmie swoje miejsce.

– Obawiam się, że dogoniły nas interesy. Declan musi natychmiast wyjechać... i mówiąc zupełnie szczerze, nie do końca nawet wiem, dokąd.

– Będzie nam przykro stracić pani towarzystwo. Wiem, że jest tu wiele osób, które chciałyby panią poznać, a teraz nie będą już miały tej przyjemności.

– Pani jest zbyt łaskawa. Na pewno pani rozumie, że Declan jest pochłonięty przygotowaniem statku do drogi... Nie spodziewaliśmy się tak szybkiego wyjazdu. Powierzył mi zadanie przekazania pozdrowień gubernatorowi Holbrookowi i pani. Oboje pragniemy też wyrazić wdzięczność za gościnność, jaką nam państwo okazali.

Lady Holbrook przyjęła te słowa z uśmiechem, z którym było jej bardzo do twarzy, i z łaskawym pochyleniem głowy.

– Powtórzę raz jeszcze, że to była dla nas przyjemność. Jeśli możemy państwu w czymkolwiek pomóc przed wyjazdem, proszę tylko zapytać.

Edwina ledwo wierzyła w swoje szczęście – oto miała doskonałą okazję, by zacząć temat, podano go jak na tacy. Zrobiła zaskoczoną minę i szepnęła pod nosem:

– Być może... – Po czym otrząsnęła się i skupiła uwagę na rozmówczyni. – Z naszych wcześniejszych rozmów wnoszę, że dzięki swojej pozycji zapewne zna pani wszystkie mieszkanki kolonii... Oczywiście mam na myśli mieszkanki pochodzenia brytyjskiego.

Wyraz twarzy lady Holbrook pozostał swobodny i niewzruszony.

– Traktuję swoją pozycję żony gubernatora bardzo poważnie, więc owszem, sądzę, że to prawda. Co miesiąc urządzamy niewielkie przyjęcie, by powitać nowo przybyłych do miasta, niezależnie od ich pozycji społecznej. Tylko herbatka, by nie przytłaczać niższych klas. Zazwyczaj każdy korzysta z zaproszenia, więc rzeczywiście poznałam wszystkich mieszkańców kolonii, z bardzo niewielkimi wyjątkami.

– Wyśmienicie. – Edwina rozpromieniła się, przywołując na twarz swój najbardziej niewinny uśmiech. – W takim razie może mogłaby pani pomóc mi w wyświadczeniu kilku przysług... a dokładnie czterech, wszystkie podobnej natury... Prosiły mnie o to pewne panie w Londynie. Tuż przed wyjazdem wzięliśmy udział w dużym balu i Declanowi wymknęło się, że jeśli pozwoli nam na to czas i pogoda, chciałby zatrzymać się we Freetown. Na balu było mnóstwo ludzi i oczywiście wieść się rozniosła, toteż aż cztery damy zwróciły się do mnie z pytaniem, czy mogłabym pomóc im się czegoś dowiedzieć. Wszystkie znają młode kobiety spokrewnione z ich służbą, które objęły tu różne posady. Córka głównego ogrodnika, siostrzenica kamerdynera, coś w tym stylu. Podobno ich rodziny w Anglii bardzo czekają na wieści od swych młodych krewniaczek, lecz niestety poczta nic nie przynosi, przynajmniej ostatnio. – Urwała i zmarszczyła leciutko brwi. – Teraz, kiedy mówię o tym na głos, brzmi to nieco dziwnie, ale jestem pewna, że we wszystkich przypadkach istnieje zupełnie zwyczajne wyjaśnienie... Jedna była zbyt zajęta, żeby napisać, inna zaganiana, i tak dalej.

Lady Holbrook poruszyła się i stelaż jej gorsetu zaskrzypiał lekko, kiedy prostowała plecy.

– Do tej listy powodów można zapewne dodać też torbę pocztową zagubioną na morzu, co się czasem zdarza.

Gubernatorowa przyglądała się jej z nieprzeniknioną miną i Edwina po raz pierwszy w trakcie ich znajomości nie miała pojęcia, co się kryje w szarych oczach starszej kobiety i za jej miłym, łagodnym wyrazem twarzy.

Nagle lady Holbrook się uśmiechnęła.

– Jeśli powie mi pani, jak się nazywają te cztery młode damy, spróbuję sobie przypomnieć wszystko, co o nich wiem. Niestety w tym wieku może to chwilę potrwać. – Lady Holbrook się podniosła. – Proszę pozwolić, że zaproponuję pani coś do picia... to taki kordiał, który sama robię. Jest bardzo odświeżający, zwłaszcza w tym upale.

Edwina pochyliła głowę i zgodziła się szybko, by nie dopuścić do zmiany tematu; zresztą powietrze było naprawdę straszliwie wilgotne i propozycja odświeżającego kordiału brzmiała kusząco.

Lady Holbrook podeszła płynnie do barku pod ścianą.

– Proszę mi tymczasem powiedzieć, o kogo chodzi.

Edwina rozsiadła się wygodniej.

– Jedna to Katherine Fortescue, guwernantka, chyba pracuje u pani Sherbrook. Miałam ją o to zapytać przy okazji, ale zupełnie wypadło mi z głowy. Potem była Rose Mallard... – ciągnęła, po czym wymieniła też dwie pozostałe kobiety z listy pani Hardwicke.

– Hm. – Lady Holbrook zakrzętnęła się przy barku i wróciła z dwoma kieliszkami zawierającymi złocisty płyn, przypominający barwą sherry. Podała jeden Edwinie, marszcząc brwi, jakby się nad czymś zamyśliła, po czym na powrót usiadła w fotelu. – Niech no się zastanowię...

Edwina upiła niewielki łyk kordiału; smakował bardzo podobnie do wina imbirowego, które lubiła. Napiła się więcej i rzuciła zdawkowo:

– Zapomniałam zapytać, od jak dawna te młode kobiety tu przebywają, ale może widziała je pani w mieście... Choćby na nabożeństwach Obo Undoto? Już samo to na pewno ulżyłoby ich rodzinom w domu.

Lady Holbrook popatrzyła w oczy swego gościa.

Jej spojrzenie wyostrzyło się, a wyraz twarzy stał się dziwnie czujny. Edwina udała, że tego nie zauważa. Uśmiechnęła się swobodnie, po czym napiła się jeszcze i ponowiła pytanie:

– Przypomina sobie pani, czy widziała je kiedyś na nabożeństwach Undoto?

Spojrzenie lady Holbrook się zamgliło.

Edwina uznała, że gubernatorowa próbuje sobie po prostu przypomnieć. Sączyła kordiał. Pożegna się, gdy tylko zdobędzie odpowiedź.

Wreszcie lady Holbrook otrząsnęła się z zamyślenia. Skierowała wzrok na Edwinę i kiwnęła głową.

– Owszem. Wszystkie pojawiły się na nabożeństwach. – Na sekundę zapadła cisza, po czym lady Holbrook dodała: – Tak samo jak pani.

Edwina zamrugwała.

– Jest pani pewna?

Wielkie nieba! Czyżby język jej się plątał?

Usta lady Holbrook wolno rozciągnęły się w uśmiechu.

Edwina patrzyła na ten uśmiech... i poczuła przebiegający po grzbiecie dreszcz.

– Całkiem pewna, moja droga. – Gubernatorowa wyciągnęła rękę. – A teraz lepiej podaj mi ten kieliszek, zanim go upuścisz. To jeden z kompletu.

Edwina, oniemiała ze zdumienia, podniosła prawie pusty kieliszek, z wielkim trudem ruszając ociężałymi nagle kończynami. Spojrzała na niego z narastającym przerażeniem. Potem, poruszając się coraz wolniej i bardziej nienaturalnie, odwróciła głowę i popatrzyła – uważnie popatrzyła – na lady Holbrook.

– Pani...?

Uśmiech gubernatorowej zrobił się nieprzyjemny.

– Głupiutka jesteś, moja droga. Zadajesz za dużo pytań.

Edwina zamrugwała raz, drugi. Resztką sił, z ogromnym trudem, podniosła rękę i zmusiła palce, żeby się otworzyły. Kieliszek wyślizgnął się z jej dłoni i rozprysnął o ceramiczną podłogę.

Usłyszała soczyste przekleństwo z rodzaju takich, jakich dama nie powinna nawet znać.

Zwązające się pole widzenia wypełniła zniekształcona wściekłością twarz lady Holbrook.

Potem powieki Edwiny opadły i pogrzyły się w ciemności.



## Trzynaście

Uwięziony w powozie pod domem gubernatora Declan nie mógł nawet wstać, nie mówiąc już o chodzeniu.

– Co u licha zajmuje jej tyle czasu?

Już kilka razy wymruczał pod nosem to pytanie, za każdym razem z rosnącym zniecierpliwieniem.

Czuł się bezradny, bezsilny, i bardzo mu się nie podobało to uczucie. Zastanawiał się nawet, czy nie przekraść się przez mur do ogrodu i sprawdzić, czy zdoła dojrzeć Edwinę w salonie... Powstrzymała go wyłącznie myśl o tym, co by pomyślała, gdyby go zauważyła.

Ledwo zdołał poskromić swój instynkt na tyle, by pozwolić jej wejść samej do strzeżonego domu. Teraz, w miarę jak minuty płynęły, a ona nie wracała, rozważał wyjście z powozu, przejście przez ulicę i pójście po nią. Strażnik zorientuje się, że cały czas siedział w środku, ale Declan nie dbał o to, co tamten sobie pomyśli i co może potem wspomnieć Holbrookowi o jego dziwnym zachowaniu...

Do diaska! Nie powinien – nie mógł – zwracać na siebie w ten sposób uwagi. Nie miał pojęcia, kogo przyślą tu po nim Melville i Wolverstone, żeby poprowadził dalej śledztwo. Może któregoś z jego braci lub kuzynów... Po prostu nie mógł.

Mimo to z minuty na minutę rosło w nim podskórne pragnienie, by znaleźć Edwinę i upewnić się, że nic jej nie grozi.

Nie odrywał wzroku od bramy rezydencji. Odetchnął głęboko i przypomniał sobie, że kierowany paranoją kazał załodze obserwować dom. Kiedy powóz stanął, wymknął się na zewnątrz pod osłoną mroku i razem z Billingssem i Carrutherssem zrobili szybki rekonesans; do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że rezydencja to ostatnie domostwo w okolicy – na jego tyłach rozciągała się w dół Tower Hill dzielnica biedoty. Pozostawił Billingsa, by pilnował tylnego muru i wejścia do alejki prowadzącej do slumsów. Carruthers został w pobliżu furtki, którą odkryli z boku posesji. Poza nią i główną bramą nie było już żadnych wyjść, więc Edwina musiała nadal być w środku i na pewno...

Z wąskiej uliczki prowadzącej do tylnej furtki wybiegł pędem Billings. Rzucił się do okna powozu.

– Kapitanie... Niech pan przyjdzie! Zabrali ją z domu! Carruthers idzie za nimi.

Declan otworzył drzwi na oścież, wyskoczył na zewnątrz i zanim zdążył się dobrze zastanowić, pędził już do alejki.

– Co się stało?

Wbiegając w uliczkę, obejrzał się i zobaczył, że Dench podwiązał wodze,

zeskoczył na ziemię i biegnie za nimi. Declan odwrócił się i zagłębił w ciemne przejście.

– Jakieś dwadzieścia minut temu z domu wymknął się miejscowy chłopiec – wydyszał zza jego pleców Billings. – Pobiegł do slumsów, a kiedy wrócił, było z nim trzech tutejszych osiłków. Weszli przez boczną furtkę, a potem wyszli. Jeden prowadził, jeden zabezpieczał tyły, a ten w środku niósł pana żonę, zawiniętą w dywan.

Declan poczuł, jak w brzuchu narasta mu wściekłość, obawa i panika.

– Jesteście pewni, że to ona?

– Tak. Nie ma tu wiele kobiet o tak jasnej karnacji i złotych włosach. Carruthers ich widział i poszedł za nimi. Minęli mnie. Od razu po pana przybiegłem.

– Zuch. – Declan dobiegł do końca posiadłości; odstąpił na bok i przepuścił Billingsa przed siebie. – Prowadź, tylko cicho.

Billings prześlizgnął się obok niego, biegnąc w mroku niemal bezgłośnie. Declan deptał mu po piętach, a tuż za nim podążał Dench.

Jeszcze pięć kroków i Billings skręcił w alejkę, która prowadziła, meandrując, do dzielnicy biedoty. Uliczka była tak wąska, że dwóch mężczyzn ledwo mogłoby stanąć obok siebie, a ziemia w niej ubita na twardo przez niezliczone stopy. Wiła się między niedbale postawionymi chatami z drewna, gliny, trzciny, płótna i plecionki; zaledwie jedna spośród labiryntu ścieżek, przypominających tętnice żyjącego organizmu, niosące ze sobą ludzi – krew osiedla.

Zmysły Declana przytłoczyła świadomość otaczającej go zwartej ludzkiej masy; na szczęście jednak to zagęszczenie, w połączeniu z budulcem domów i zapyloną ścieżką, pomagało tłumić odgłosy ich pościgu.

Nie mieli żadnego światła poza księżycem, który tej nocy świecił słabo, ale wystarczał, żeby rozjaśnić im drogę; oczy przyzwyczajone do nocnej czerni oceanu bez trudu przebijały mrok, który innym wydawałby się dezorientujący.

Było późno; większość mieszkańców okolicy wstawała wraz ze słońcem i o tej porze leżała już w czymkolwiek, co uchodziło w tych stronach za łóżka.

Wszechogarniający strach, który ścisnął serce Declana żelaznym imadłem – że nie zdołają dogonić Carruthersa i porywaczy Edwiny, że zgubią trop i straci ją na zawsze – narastał w miarę, jak zbiegali w dół wzgórza po idącej zakosami ścieżce.

Wtedy jednak Billings obejrzał się przez ramię.

– Widzę Carruthersa. Nadal idą przed siebie.

Dzięki Bogu. Do tej pory mózg Declana był jak zablokowany, przyswajał informacje dostarczane przez zmysły, ale narastająca panika nie pozwalała mu skupić się na jakimkolwiek działaniu. Teraz, gdy trwoga ścisnąca mu serce

odrobinę zelżała, wróciła przytomność umysłu.

– Jak daleko? – zapytał po chwili Billingsa.

– Za następnym zakrętem – rzucił marynarz.

Declan dzięki długim nogom z łatwością dotrzymywał kroku swemu podwładnemu, a jednocześnie układał w głowie plan działania. Wreszcie klepnął Billingsa w ramię.

– Daj znać Carruthersowi... – polecił. – Zasygnalizuj mu, że tu jesteśmy, a potem puśćcie mnie i Dencha przodem i podążajcie za nami.

Billings kiwnął głową. Wchodząc w ostatni zakręt, przyspieszył mocno, a po kilku sekundach zwolnił, cichy jak kot.

Declan zobaczył, że doganiają Carruthersa. Szedł zgarbiony z rękami w kieszeniach, ze wzrokiem pozornie wbitym w ziemię, w bezpiecznej odległości jakichś siedmiu jardów za wielkim, uzbrojonym osiłkiem.

Osilek z kolei podążał za innym mocno zbudowanym mężczyzną, niosącym przerzucony przez ramię zrolowany dywan. Spod krawędzi zwisały splątane jasne loki i drobna, bardzo biała dłoń.

W Declanie rozpałała się wściekłość, która ostygła nagle do lodowatej furii.

Poza tymi dwoma Declan zauważył jeszcze jednego uzbrojonego człowieka na przodzie. Porywacze wyraźnie się nie spieszyli. Szli swobodnym tempem w kierunku portu – nie do głównych kei, ale w stronę mniejszej zatoczki, gdzie cumowały łodzie miejscowych rybaków.

Carruthers usłyszał, jak się zbliżają; obejrzał się szybko i na jego twarzy pojawiła się ulga. Billings zasygnalizował mu ręką i obaj usunęli się na bok, pozwalając Declanowi i Denchowi wysunąć się na prowadzenie.

Declan natychmiast zaczął poruszać się tym samym niedbałym krokiem co Carruthers. Gdyby któryś z porywaczy obejrzał się, wyglądałoby w jego oczach jak czwórka zataczających się marynarzy, którzy wracają na statek po kilku miłych godzinkach w towarzystwie okolicznych pań. Był to w tych stronach na tyle zwyczajny widok, że nie wzbudzi niepokoju.

Declan szybko wprowadził w swój plan zmiany. Nachylił się do Dencha.

– Zamień się miejscami z Carruthersem.

Kiedy wykonali polecenie, kazał całej trójce podejść bliżej. Wykonując od czasu do czasu gesty mające sugerować, że opowiada kolegom jakiś dowcip – to na wypadek, gdyby śledzeni się obejrzeliby – przekazał plan bitwy. Bitwy, którą musiał wygrać. Należało wykorzystać efekt zaskoczenia – a przede wszystkim odbić Edwinę tak, by nie odniosła żadnej szkody.

Kiedy skończył omawiać polecenia, odetchnął głęboko i kolejno popatrzył Billingsowi, Carruthersowi i Denchowi w oczy.

– Gotowi?

Wszyscy trzej kiwnęli głowami, a wyraz ponurej determinacji w oczach

zadawał kłam tępym minom, jakie przybrali.

Declan spojrział przed siebie. Wydłużył krok i jakby mimochodem zaczął zmniejszać dystans dzielący ich od ostatniego z porywaczy. Gdy był już bardzo blisko, zmienił tempo i zaczął się skradać, bezgłośnie stawiając stopy na miękkiej ziemi.

Widział wyraźnie, że porywacze niezbyt się mieli na bacności – to było ich terytorium i nie spodziewali się zagrożenia.

Dench po cichu wśliznął się na miejsce obok Declana. Carruthers czaił się z prawej strony, a Billings szedł o krok z tyłu.

Declan cicho i powoli wysunął miecz z pochwy, obnażając klingę bez zdradzieckiego świstu.

Rzucił spojrzenie Denchowi i skinął głową.

Dench skoczył do najbliższego mężczyzny i zatkał mu usta, zanim ten zdążył wydać z siebie choćby dźwięk.

Declan uderzył – pojedyncze pchnięcie, które zupełnie unieszkodliwiło osiłka.

Kiedy ten opadł bezwładnie w uścisku Dencha, Declan i Carruthers nie tracąc ani sekundy przemknęli obok i szybko dogonili człowieka, który niósł Edwinę.

Porywacz podniósł głowę – na pewno wyczuł ruch za plecami.

Zanim jednak zdążył się odwrócić, klinga Declana podcięła mu ścięgna.

Mężczyzna krzyknął zaskoczony. Jeszcze zanim ugięły się pod nim nogi, Carruthers chwycił zwinięty dywan z Edwiną w środku i wyjął go z osłabłych rąk zbira.

Declan zobaczył kątem oka, jak marynarz zgarnia ją bezpiecznie w ramiona. Zmusił się, by powierzyć ukochaną swoim ludziom.

Zostawiając Billingsa, by zajął się powalonym złoczyńcą – co ten bezzwłocznie uczynił – wystąpił na środek alejki i stanął twarzą w twarz z ostatnim porywaczem, prowodyrem szajki.

Słyszając krzyk współnika, mężczyzna odwrócił się na pięcie. W prawej ręce trzymał maczetę, której szeroka i długa klinga lśniła złowieszczo w bladym świetle.

Declan poczuł, jak jego usta rozciągają się w uśmiechu zapowiadającym zemstę. Wsuwając z buta długi nóż, skinął na przeciwnika.

– No dalej. O niczym bardziej nie marzę.

Mężczyzna otworzył szerzej oczy. Jego spojrzenie pomknęło ku obu druhom leżącym bez ruchu w piachu, po czym przeniosło się na Dencha i Billingsa, którzy ustawili się po obu stronach Declana.

Odetchnął głęboko... a potem odwrócił się i zaczął uciekać, jakby goniły go piekielne bestie.

Declan czuł się prawie rozczarowany. Nasłuchiwał przez chwilę, ale nie

wychwycił żadnego odgłosu zbliżającego się ataku. Popatrzył pytająco na Billingsa.

Marynarz pokręcił głową.

– Nic nie słyszę.

Declan schował broń i cofnął się, by odchylić piękny jedwabny dywan zasłaniający twarz Edwiny, która leżała w mocnych ramionach Carruthersa. Powieki miała opuszczone, twarz rozluźnioną; wydawała się pogrążona w głębokim śnie. Declan zbadał jej puls – był mocny i regularny.

– Wygląda na uspioną – stwierdził Carruthers.

Declan pokiwał głową.

– Dasz radę donieść ją aż na keję? – spytał marynarza.

– Tak. – Carruthers podźwignął cenny ładunek i ułożył go sobie wygodniej.

– Taka z niej ptaszyna, waży nie więcej niż chusteczka.

Declan co prawda sam wolałby dźwigać w ramionach ciepłe ciało Edwiny, by ukoić rozchwiane emocje, jednak miał świadomość, że nie są jeszcze zupełnie bezpieczni. Potrzebował swobodnych rąk na wypadek, gdyby musiał jej bronić. Był spośród nich najlepszym szermierzem.

Wysłał Billingsa na zwiady, a Denchowi, który teraz miał w rękach miecz, kazał zabezpieczać tyły. Rezygnując z ostrożności na rzecz szybkości, wiedzeni połyskiem księżycy na wodzie i wszechobecnym zapachem morza, szybko przeszli przez dzielnicę biedoty i kilka wąskich uliczek okalających mniejsze nabrzeże handlowe, po czym weszli na twarde deski Kei Rządowej.

Bez przeszkód dotarli do łodzi „Kormorana”, przycumowanej obok podwójnych schodów. Już wcześniej omówili wyjazd. Ich powóz był najęty – ktoś go znajdzie i zwróci jutro do stajni. Henry, ich rzeczy i cała załoga zostali już przewiezieni na statek; szalupa z czteroosobową obsadą czekała tylko na nich, by zawieźć ich na pokład „Kormorana”, kołyszącego się daleko na wodach portu.

Declan zawczasu kazał Caldwellowi wyprowadzić statek dalej od brzegu, bliżej otwartych wód, na wypadek gdyby coś poszło nie tak i musieli w pośpiechu opuścić kolonię.

Teraz, przejmując z rąk Carruthersa bezwładną Edwinę i schodząc szybko po schodkach do łodzi, błogosławił instynkt, który kazał mu to zrobić.

Usiadł na dziobie z Edwiną na kolanach i spróbował zebrać myśli, by zrozumieć, co się stało. Musiało przecież do czegoś dojść. Lecz choć ze wszystkich sił wpatrywał się w twarz ukochanej, musiał się zgodzić z Carruthersem. Coś jej podano, i cokolwiek to było, po prostu ją uspiło. Policzki nadal miała różane, usta miękkie i pełne, na twarzy nie widać było śladu napięcia ani bólu.

Nadal była ubrana dokładnie tak samo, jak kiedy przekraczała bramę gubernatorskiego domu. Sznur pereł z Morza Południowego, które podarował jej z okazji zaręczyn, nadal otaczał szyję, a z uszu wciąż zwisały pasujące do pereł

kolczyki. Nic nie wskazywało na brutalny atak i z pewnością nie doszło do rabunku. Po prostu ją...

Porwano.

Marszcząc brwi, otulił Edwinę na powrót dywanem, by osłonić jej twarz przed odrywającymi się od wiosł kroplami wody. Potem uniósł głowę i wpatrzył się w ciemny, lecz dodający otuchy zarys statku, do którego stopniowo się zbliżali.

Co by było, gdyby nie udało mu się uratować Edwiny? Czy spotkałoby ją to samo, co pozostałe zaginione kobiety?

Nie miał co do tego wątpliwości.

Ktoś w domu gubernatora ją uspił, a potem oddał temu, kto wykradał Europejczyków z kolonii.

Ale kto?

Edwina niemal na pewno знаła odpowiedź.

Była córką księcia; jedno jej słowo, a Holbrooka zakują w dyby i odstawią do Londynu, żeby wypowiadał się przełożonym.

Ale przecież wcale nie zamierzała widzieć się z Holbrookiem.

Niemniej...

Dotarli do statku. Declan przerzucił sobie Edwinę przez ramię i szybko wspiął się po drabince.

Wszedł na pokład i delikatnie przesunął żonę, tak że znowu znajdowała się w jego ramionach. Zamiast jednak udać się prosto do zejściówki, skierował się w stronę rufy.

Przystanął pod drabinką prowadzącą na pokład rufowy i mostek; za sterem stał Caldwell, a obok niego Johnson. Obaj popatrzyli na Edwinę.

– Panie Caldwell... podnieść kotwicę i wszyscy do wiosł, jak najostrożniej i jak najciszej.

Caldwell wyprostował się na baczność. Znał ten ton, rozumiał, co oznaczało polecenie zachowania ostrożności i ciszy.

– Tak jest, kapitanie.

Natychmiast zaczął wydawać po cichu rozkazy, które Johnson równie cicho przekazywał do Grimsby'ego na głównym pokładzie. Bosman z kolei kierował polecenia do załogi, która – powiadomiona już o powrocie Declana – wylewała się spod pokładu.

Nakaz zachowania ciszy szybko rozszedł się wśród ludzi; wszystkie usta były pozamykane, wszystkie kroki stłumione. Większość załogi, usłyszawszy polecenie „Do wiosł”, zeszła na niższy pokład.

Declan przeniósł spojrzenie na swojego nawigatora, który również czekał w gotowości.

– Panie Johnson, proszę natychmiast wyprowadzić nas z portu i ujścia rzeki na otwarte morze i ustalić najszybszy kurs do Southampton.

– Tak jest, kapitanie! – Johnson zsunął się po drabince i pospieszył do swoich wykresów.

Obok Declana wynurzył się nagle Henry. Wzrok miał wbity w nieruchomą twarz Edwiny.

– Boże, zmiłuj się. Nic jej nie jest?

Było to jedyne pytanie, na które Declan nie znał odpowiedzi.

– Chyba podano jej środek usypiający – odparł zduszonym głosem.

– No cóż. – Henry skinął w stronę zejściówki. – W takim razie najlepiej ułóżmy ją wygodnie, niech to odeśpi.

– Mógłbyś się tym zająć? – spytał Declan. Jeśli sam zanieś Edwinę do kabiny, nie będzie w stanie jej zostawić, a musiał być na pokładzie na wypadek gdyby ktoś chciał powstrzymać ich ucieczkę.

Przez ponad dziesięć lat bez mrugnięcia okiem znosił brzemień dowództwa – odpowiedzialność, jaką każdy kapitan ponosi za swój statek i załogę. Teraz było mu ono ciężarem, lecz Declan nie potrafił odwrócić się plecami do obowiązków, które stały się już jego drugą naturą. No i ostatecznie jego obecność na pokładzie mogła okazać się konieczna, by zapewnić Edwinie dalsze bezpieczeństwo.

– Oczywiście. Proszę mi ją dać. – Henry wyciągnął ramiona i Declan ostrożnie złożył w nich cenny ładunek. – Zajmę się nią razem z chłopcami, proszę się o nic nie martwić.

Declan zobaczył dwóch chłopców okrętowych, którzy biegli na pomoc Henry'emu. Skinął głową całej trójce i odwrócił się w stronę mostka.

Wszyscy jego ludzie wiedzieli, co mają robić; z niejednego portu musieli się już wymykać po cichu. Księżyc i gwiazdy świeciły akurat na tyle jasno, by ich poprowadzić. Wiosła zanurzały się raz po raz z bezgłośnie precyzją i „Kormoran” niemal bezdźwięcznie wysunął się z łagodnych wód portu w ujście rzeki, wchodząc w silniejsze prądy. Declan zza steru rozkazał wciągnąć wiosła i rozwinąć żagle.

Główne żagle schwytały wiatr, załopotały, po czym wypełniły się i naciągnęły.

Statek ruszył do przodu i Declan poczuł ulgę.

Kierując dziób „Kormorana” na pierwszy odcinek wytyczonego przez Johnsona kursu w kierunku zachód-północny zachód i pozostawiając za sobą nieliczne świecące jeszcze światła Freetown, zaczerpnął głęboki oddech, smakując słoną morską bryzę, która była mu jak tchnienie życia, po czym wypuścił powietrze i poczuł, jak opuszcza go napięcie walki.

Nikt ich nie ścigał i nie próbował zatrzymać. A teraz, kiedy „Kormoran” znalazł się na pełnym morzu, nikt już tego nie robi; na falach jego statek był niedościgniony.

Kolejno kazał wciągać następne żagle. Jego załoga pracowała jak dobrze naoliwiony mechanizm, którym w istocie była; wkrótce mogli zmienić kurs na

północ i pomknąć na pełnych żaglach.

Dopiero wtedy Declan oddał ster Caldwellowi i zszedł pod pokład.

Zrobił, co mógł, by dopilnować, że nic im już nie zagrozi, by zapewnić bezpieczeństwo Edwinie i jego załodze.

Kiedy wszedł do kabiny, Edwina wciąż spała.

Henry czuwał nad nią, siedząc na jednym z krzeseł przed biurkiem. Podniósł się i zasalutował.

– Wygląda, jakby nawet włos jej z głowy nie spadł, oddech też ma równy. – I dodał, czerwieniejąc nieco pod opalenizną: – Pozwoli pan, że zasugeruję... może lepiej byłoby poluzować gorset. Będzie jej łatwiej oddychać.

Declan kiwnął głową.

– Tak zrobię.

Henry szybko zasalutował i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Declan podszedł do łóżka i stanął, patrząc na swoją żonę, na anielski obrazek, jaki przedstawiała z lokami lśniącymi złościście w świetle lampki i leciutkim rumieńcem barwiącym blade policzki. Wydawała się całkowicie spokojna.

Wyglądała jak Madonna.

Przesunął spojrzeniem po jej ciele, które znał teraz tak dobrze. Jego wzrok zatrzymał się tuż pod talią. W pozycji, w jakiej leżała, na plecach, mógłby niemal uwierzyć...

Odetchnął szybko i wypuścił powietrze. Dopóki Edwina się nie przebudzi, nie dowie się niczego więcej. A tymczasem najlepiej, żeby nie puszczał wodzy wyobraźni.

Henry miał jednak rację. Declan nachylił się nad Edwiną, łagodnie obrócił ją na bok i zaczął rozwiązywać tasiemki sukni. Uwolniwszy ją z materiału, rozwiązał troczki ściskającego ją gorsetu i zsunął go. Po chwili zastanowienia zdjął jej także buty oraz podwiązki i zrolował delikatne jedwabne pończochy.

Stopy Edwiny były niemożliwie drobne i miękkie; Declan objął dłonią podbicie. Ciepło jej ciała nappełniało go otuchą i Declan poczuł, jak coś głęboko w nim się rozluźnia.

Byli już na otwartym morzu, gdzie powietrze było chłodniejsze; temperatura w kabinie stopniowo opadała. Przewrócił Edwinę z powrotem na plecy i naciągnął pościel oraz narzutę na jej okryte koszulką ramiona.

Nie wiedział, co jeszcze może zrobić. Rozejrzał się dookoła, ale jego spojrzenie niemal natychmiast wróciło do łoża.

Po kilku minutach niezdecydowania wziął krzesło sprzed biurka, przystawił je do łóżka i usiadł. Ujął Edwinę za rękę i gładząc kciukiem delikatną skórę, czekał, aż przebudzi się i powie mu, że wszystkie obawy, jakie w sobie teraz tłumił, są bezpodstawne.



W końcu zdał sobie sprawę, że właściwie istnieje jedna rzecz, którą może zrobić.

Mógł się modlić.

\*\*\*

Edwina wolno wynurzała się z głębiny mocnego, pokrzepiającego snu. Zazwyczaj nie sypiała głęboko, ale tego ranka czuła się całkowicie wypoczęta...

Nagle gwałtowną falą napłynęły wspomnienia.

Otworzyła oczy, wciągnęła powietrze... i zobaczyła znajomy sufit z polerowanego dębu, upstrzony pierwszymi refleksami odbitego od fal wschodu słońca. Ostatnio oglądała ten widok dostatecznie często, by natychmiast zdać sobie sprawę, gdzie się znajduje.

Odetchnęła z ulgą. Cokolwiek się stało po tym, jak straciła przytomność, Declan zdołał ją uratować. Ją oraz ich dziecko. Opiekuńczym gestem położyła dłoń na brzuchu. Ona i jej dziecko są bezpieczni.

Ale co z nim? Leżała na środku łóżka, a nie jak zazwyczaj przy ścianie. Pomacała ręką miejsce po lewej stronie. Było puste.

Ogarnęła ją panika.

Otwierając szerzej oczy, odwróciła głowę... i zobaczyła go.

Siedział bezwładnie na krześle tuż przy niej, pogrążony we śnie tak głębokim, jak ona sama przed chwilą. Ramię miał wyciągnięte, jego dłoń spoczywała na nakryciu, jakby trzymał ją za rękę, kiedy spała.

Przesunęła po nim spojrzeniem. Nie miał na sobie bandaży, nie widziała żadnych obrażeń. Po raz kolejny poczuła głęboką ulgę.

Wtedy zauważyła, że odpiął od pasa miecz, który leżał teraz na podłodze obok pochwy. Na klindze była krew.

Co się stało po tym, jak straciła przytomność? Czy musiał walczyć, by ją odbić?

Przez chwilę krzepiła się widokiem jego szerokiej piersi podnoszącej się i opadającej w regularnym rytmie. Stopniowo odzyskiwała zwykłe opanowanie, choć emocje wciąż miała nieco rozchwiane.

I nic dziwnego, w końcu oboje tyle przeszli w ciągu ostatniego dnia.

Odchyliła głowę i popatrzyła w okno rufowe. Rzeczywiście nadchodził świt; przespała całą noc.

Znów przeniosła spojrzenie na Declana i przewróciła się na bok, żeby wygodniej na niego patrzeć.

Powieki mu zadrżały i uniosły się lekko. Popatrzył na nią przez zasłonę rzęs.

Minęły trzy sekundy i nagle usiadł prosto, zgarnął ją w ramiona razem z pościelą i narzutą, wciągnął sobie na kolana i zaczął całować.

Całował ją tak, jak jeszcze nigdy przedtem, z głodem, od którego stanęło jej

serce.

Stańło, a potem zaczęło bić, walić, kołatać. Oswobodziła ramiona, sięgnęła do niego, wsunęła palce w jego włosy i sama zaczęła go całować.

Przez niezliczone minuty ich emocje wzbierały, rozszalałe jak morze i równie potężne. Ich usta łączyły się, stapiały, rozdzielały tylko po to, by mogli westchnąć, i natychmiast znowu stykały się w chciwym, rozpaczliwym, rozszalałym pragnieniu.

Przyciągnęła go do siebie, rozpalona i namiętna, a on zdawał się ją pochłaniać.

Uniosła się i przyjęła go w siebie. Szybkim, płynnym ruchem zawładnęła nim – i świat stanął w miejscu.

Zastygli z przytłumionymi oddechami, z oczami szeroko otwartymi, ze spojrzeniami zagubionymi w sobie nawzajem...

I nagle poniosły ich zmysły, porwała namiętność i oboje przymknęli oczy, w pełni oddając się nieokiełznanej radości.

Razem.

Nawet w swym zapamiętaniu, w tych nieogarnionych, nieposkromionych emocjach.

Razem mknęli przed siebie, niepowstrzymanie, z mocno bijącymi sercami, prosto w przepaść na krańcu ich świata.

I razem wzniesli się pod niebo.

Nigdy jeszcze ekstaza nie rozbłysła tak jasno, nigdy nie zawładnęła nimi tak całkowicie i dogłębnie.

Jak wszystkie burze, i ta jednak w końcu uciszyła się, pozostawiając ich zdyszanych i przytulonych bezwładnie na krześle. Ramiona Declana zaciskały się wokół Edwiny, jej zaś obejmowały go najdalej, jak mogła sięgnąć.

Oboje pragnęli trwać w tym uścisku na zawsze.

Po wielu minutach milczącego zespolenia odsunęli się od siebie. Edwina podniosła się i skorzystała z ubikacji, po czym wróciła w ramiona męża, podwijając pod siebie nogi i wtulając się wygodnie w jego objęcia.

Wreszcie, gładząc ją łagodnie po plecach, jakby chcąc ukoić i ją, i siebie, Declan szepnął z ustami przy jej włosach:

– Nie wiem, czy dam radę jeszcze raz to zrobić. – Po chwili dodał, jakby dla jasności: – Czy przeżyję coś takiego po raz drugi.

Wiedziała, że nie miał na myśli tego, co robili przez ostatnie trzydzieści minut. Nadal nie miała pojęcia, co zaszło w trakcie ich ostatnich kilku godzin w kolonii, ale...

– Ale przeżyłeś – powiedziała, nie podnosząc głowy. – Oboje przeżyliśmy. Więcej nawet: zdobyliśmy informację, której potrzebowaliśmy, i nie tylko.

Podniosła wzrok i popatrzyła mu w oczy.

– Odnieśliśmy zwycięstwo. Wspólnie. – I dodała, nie odrywając od niego spojrzenia: – Nigdy nie mogłabym z taką odwagą wkroczyć do domu gubernatora, gdybym nie wiedziała, że czekasz na mnie na zewnątrz. Nie przypuszczałam, że do czegokolwiek dojdzie, ale wiedziałam, że gdyby tak się stało, uratujesz mnie. Wiedziałam, że mnie obronisz. Mnie i nasze dziecko. I tak się stało. Zaufałam ci, a ty mnie nie zawiodłeś.

Przechyliła głowę, przekonując go nie tylko swoimi słowami, ale i wzrokiem.

– Osiągnęliśmy cel, w jakim cię tu przysłano; a dzięki temu będzie można pomóc wielu innym ludziom i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ocalić niejedno życie. Mamy więc dowód, że to działa! Że to dobry pomysł, bym z tobą podróżowała. Właśnie udowodniliśmy ponad wszelką wątpliwość, że razem możemy osiągnąć o wiele więcej niż ty sam w pojedynkę.

Declan popatrzył na żonę ze spokojem, ale i pewnym niedowierzaniem połączonym z rezygnacją. Po długiej chwili milczenia odezwał się:

– Nie rozumiem, jak ty to robisz. W jaki sposób potrafisz sprawić, że... – pokazał gestem ich oboje – ...że twój udział w mojej misji wydaje się zupełnie rozsądny, na litość boską. Wręcz logiczny. A nawet korzystny.

– Bo to prawda. – Edwina postarała się, by w jej głosie zabrzmiała pewność, którą odczuwała. – Przynajmniej w naszym przypadku. Zgodnie z moją wiedzą tym razem popełniliśmy tylko jeden błąd, ale na przyszłość będziemy umieli się go wystrzegać.

– Doprawdy? – spytał ze zwątpieniem.

Edwina stanowczo kiwnęła głową.

– Następnym razem, kiedy będę się wybierać do jaskini lwa, dopilnuję, byś poszedł ze mną.

Declan wiedział, że to tylko delikatny wabik, by odwrócić jego uwagę. Wiedział też, że w tej jednej kwestii nigdy nie wygra. W głębi duszy musiał przyznać, że kiedy poślubiał lady Edwinę Delbraith, tak naprawdę wcale nie oczekiwał konwencjonalnego małżeństwa.

Oboje mieli niespokojne dusze poszukiwaczy przygód. Rozumiał ją, a – Bogu niech będą dzięki – ona rozumiała jego.

Tak więc mimo straszliwego strachu, jaki dręczył go przez ostatnich kilka godzin, jedno niewzruszone postanowienie, które dawno już powziął, pozostało niezmiennie.

Jeśli nie będzie mógł zabierać Edwiny ze sobą, sam także nigdy już nie wyruszy po przygodę. Sama myśl, że miałby ją zostawić... wiedział, że nigdy tego nie zrobi. To była jedyna rzecz, której rzeczywiście nie byłby w stanie znieść. Nie widzieć co rano jej słodkiej twarzyczki na poduszce obok siebie. Nie słyszeć jej melodyjnego głosu, być pozbawionym jej uśmiechu, który rozjaśniał mu dzień.

Oto były teraz jego skarby. Jego największe radości.

Jasne klejnoty duszy, bez których nie potrafił już żyć.

Edwina ślubowała trwać przy nim w chorobie i w zdrowiu, w niebezpieczeństwie i chaosie, aż do śmierci. Co oznaczało, że zawsze powinni być razem.

Wiedział, że tak właśnie się na to zapatrywała i tak zamierzała wypełnić swoją małżeńską przysięgę.

On musiał dać z siebie przynajmniej tyle samo.

Nawet pod tym względem stanowiła dla niego wyzwanie – Declan nie mógł i nie zamierzał jej rozczarować.

Nadal wpatrywała się w niego badawczo, bez wątpienia odgadując tok jego myśli. Czekala, by przekonać się, jaka będzie jego reakcja – czy sięgnie po gałązkę oliwną, przestąpi ten drobny wybój na ich drodze i pójdzie z nią dalej ręka w rękę, czy też postanowi się spierać.

Declan popatrzył badawczo w jej błękinie oczy i uniósł brwi.

– Więc kto okazał się lwem?

– Lady Holbrook – odpowiedziała bez wahania.

– To ona cię uspiła? – upewnił się Declan z niedowierzaniem.

Edwina skinęła głową.

– Czy gubernator o tym wiedział?

– Nie sądzę. Właściwie mógł nawet nie wiedzieć o mojej wizycie. Widział mnie tylko strażnik przy bramie, kamerdyner i gubernatorowa.

– Wiesz, co ci podała? – Declan z trudem wyraził słowami swoją drugą największą obawę. – Czy to mogło zaszkodzić dziecku?

– Nie. To tylko waleriana, wiele kobiet ją zażywa, nawet w ciąży. Jestem tego pewna, bo podawano mi ją już kiedyś, lata temu, kiedy złamałam rękę. Efekty były dokładnie takie same. No i musiała trzymać ją w barku... co rozumiałe, jeśli sama z niej korzysta... bo postanowiła mnie uspić dopiero, kiedy zapytałam o te cztery młode kobiety. Nie miała czasu przynieść nic innego, ale zaproponowała mi jakiś specjalny kordiał, podczas gdy sama rzekomo zastanawiała się nad odpowiedzią na moje pytanie.

– O co dokładnie ją zapytałaś? I czy odpowiedziała?

Edwina się zastanowiła.

– Najpierw skłoniłam ją do przyznania, że jest w stanie rozpoznać wszystkie Brytyjki w kolonii. A potem zapytałam... – Przymknęła oczy, wracając myślami do tamtego momentu. – Zapytałam, czy przypomina sobie, czy zaginione chodziły na nabożeństwa Undoto. – Otworzyła oczy i popatrzyła na męża. – Kiedy zobaczyła, że wypięłam dość, by waleriana zaczęła działać, zanim straciłam przytomność, powiedziała wyraźnie, że wszystkie cztery były w kościele Undoto; podobnie jak ja. – Ostatnie słowa wypowiedziała z pewnym naciskiem, jakby ten

właśnie fakt – obecność na modłach – był niezbędnym warunkiem poprzedzającym uprowadzenie.

– Dokładnie tak, jak mówiła Lashoria.

Edwina popatrzyła mu w oczy.

– Czy mnie również... porwano? – Kiedy Declan zacisnął wargi i skinął głową, wtuliła się mocniej w jego ramiona. – Opowiedz mi, co się stało.

Spełnił jej prośbę. Edwina była pewna, że pominął co bardziej drastyczne momenty, ale jego opowieść wypełniła przynajmniej lukę w jej pamięci do momentu, kiedy złożono ją na łóżku.

Wyjrzała za okno; dziób statku uniósł się na fali, dostrzegła niebieskoszary bezmiar morza rozciągającego się aż po odległy horyzont.

– A zatem jesteśmy w drodze powrotnej do Londynu.

– Zgadza się. – Statek znowu się zakołysał. – Idziemy pod pełnymi żaglami, więc spodziewaj się lekkich przechyłów.

Wzruszyła ramionami; w drodze do kolonii przywykła do kołysania pokładu.

– Ile nam zajmie dotarcie do Southampton?

– Co najmniej dwanaście dni. – Declan przerwał i popatrzył jej w oczy. – Sugerowałbym, byśmy spędzili ten czas, składając w całość wszystkie elementy układanki, którymi dysponujemy. Cokolwiek się tam dzieje, dokądkolwiek zabrano porwanych, zasługują na ratunek. Coś trzeba zrobić.

– To prawda – potwierdziła zdecydowanie. – Wolverstone i Melville muszą natychmiast zacząć działać, a naszym zadaniem jest dopilnować, by tak się stało.

Declan mimowolnie uśmiechnął się szeroko.

– Co cię tak rozbawiło?

– Wyobraziłem sobie tylko naszą rozmowę z Wolverstone'em i Melville'em.

– I?

– To dopiero będzie rozrywka, patrzeć, jak dyktujesz im, co mają robić.

Skarciła go spojrzeniem.

– Z całą pewnością nie będę im niczego dyktować. Są lepsze metody.

W głowie Declana rozbrzmiały słowa ojca: „One potrafią sobie radzić”.

– Ach tak? Jakie zatem?

Podrzuciła głowę zadziornym ruchem.

– To bardzo proste. Trzeba tylko naprowadzić ich na pożądany przez siebie wniosek i dopilnować, by uwierzyli, że sami do niego doszli.

– Aha. – Declan wyczuwał, że ta wiedza może mu się przydać w dalszym życiu. Życiu pełnym Edwiny – i przez nią kierowanym.

– A zatem... – znowu nachyliła się i wtuliła w niego – zgadzam się, że musimy poświęcić trochę czasu na zastanowienie, jak przedstawić sytuację. – Popatrzyła na Declana spod rzęs oczami błękitnymi jak angielskie niebo w ciepłe lato. – Masz jakiś pomysł, jak spędzimy resztę tych dwunastu dni?

Niby od niechcenia przebiegła lisica rozpięła guzik jego koszuli.

Declan oblizał usta.

– Znam chyba jedno lub dwa... ćwiczenia, które może chciałabyś wypróbować.

– Doprawdy? – Uśmiechnęła się zachęcająco. – Będziesz musiał mi je pokazać.

Declan popatrzył jej w oczy i ochoczo pogodził się z wizją niezliczonych godzin, podczas których będzie zręcznie manipulowany przez żonę.

## Czternaście

Dwanaście dni później wpłynęli w cieśninę Solent i do portu Southampton. Słońce dopiero wstawało, malując scenerię w odcieniach cynowej szarości i różu. Las masztów odcinał się na tle porannego nieba niczym armia śpiących strażników, a pierwsze promienie słońca połyskiwały na niezliczonych miedzianych elementach. Było bardzo wcześnie, dzień wciąż stanowił bardziej obietnicę niż fakt; widok spowity był w milczący majestat, a wrażenie malowidła zakłócał niekiedy tylko krzyk mew i cichy chłopot fal objających się o niezliczone kadłuby.

Edwina stała przy barierce na sterburcie i chłonęła widok. Kiedy się zbliżyli, nabrzeże napełniło się ruchem i życiem. Załoga „Kormorana” wprowadzała statek do portu w asyście znajomych już pokrzykiwań, łopotu żagli, skrzypienia i pobrzękiwania. Tymczasem poza przystanią na zboczu klifu wznosiły się rzędy łupkowych dachów uszpiętego miasta, za którym rozciągały się zielone pola Anglii.

Odetchnęła i poczuła, jak jej serce rośnie, uniesione radością powrotu do domu i do... może niezupełnie nowego początku, ale kolejnego początku, kolejnego etapu ich wspólnego życia. Obejrzała się na Declana, który stał na mostku z rozstawionymi nogami i rękami założonymi za plecy; nie odrywając wzroku od żagli, rozkazywał swoim ludziom zwinąć ten, naciągnąć tamten, aż „Kormoran” prześlizgnął się z gracją przez zatłoczone tory wodne, idąc prosto w stronę nabrzeża kompanii.

Jeszcze przez kilka minut przyglądała się swemu przystojnemu mężowi i temu, z jaką koncentracją kierował statkiem. Pochwyciła też przelotne spojrzenie, które rzucił w jej kierunku; wiedział dokładnie, gdzie stała, tak jak zawsze zdawał się wiedzieć, gdzie przebywa.

Pogodziła się z tym, że to dla niego ważne. Mogła z tym żyć.

Oglądając się z powrotem na nabrzeże, oparła się o barierkę i patrzyła, jak zbliżają się do Southampton, a zarazem do kolejnego etapu ich życia.

Zgodnie z tym, co postanowili, czas powrotnej podróży minął im na cyzelowaniu szczegółów raportu dla Wolverstone’a i Melville’a. Chcieli mieć pewność, że ci natychmiast podejmą działania, aby odnaleźć i uratować zaginionych. Spędzili też długie baśniowe godziny w pościeli wielkiego łóża w kabinie na rufie, upewniając się nawzajem, że wszystko jest w jak najlepszym porządku – że przynajmniej w tej sferze nic w ich małżeństwie nie uległo zmianie.

Równie wiele czasu poświęcili konwersacji. Rozmawiali, chodząc ramię w ramię po pokładzie, siedząc przy stole podczas posiłków, i w ciche wieczory, kiedy Declan stał za sterem, a ona czuwała wraz z nim, owinięta w szal.

W ciągu tamtej sekundy w salonie Holbrooków, kiedy uświadomiła sobie, że dała się zwieść lady Holbrook, zrozumiała z oślepiającą jasnością, na jak wielkie

ryzyko się naraziła.

Ale Declan był na miejscu, by ją ocalić.

Teraz godzinami o tym rozmawiali, dzielili się wszystkim, czego się dowiedzieli, nie tylko o sobie nawzajem, ale też o sobie samych. Dzielili się całym swoim jestestwem aż do ostatniej, najpilniej strzeżonej emocji.

Zrozumieli się nawzajem tak dogłębnie, jak jeszcze nigdy dotąd.

Patrząc na zbliżające się nabrzeże, słuchając energicznych rozkazów swego męża i krzyków Grimsby'ego, kiedy załoga pospiesznie zwijała ostatnie żagle, szykowała liny cumownicze przy burtach i obsadzała kotwicę, Edwina przypomniła sobie swoje wyobrażenie małżeńskiego życia w dniu, kiedy wniesiono ją w kufrze na pokład – jakież było proste i naiwne!

Pomyślała, w jaki sposób zapatruje się na to w tej chwili – na ich wspólne życie, małżeństwo, przyszłość – i nie mogła się nadziwić, jak ogromnie poszerzyły się jej horyzonty, jakiej głębi i szczegółowości nabrała jej wizja.

Nigdy nie pożałuje, że zakradła się na statek, by wyruszyć w tę pierwszą podróż z mężem.

Tyle na tym zyskali. Tyle się nauczyli. O sobie nawzajem, ale przede wszystkim o sobie samych.

O swoich słabościach i jak je niwelować lub omijać, o szukaniu oparcia w drugiej osobie, wzajemnym zaufaniu, przewidywaniu nawzajem swoich reakcji.

O małżeństwie – o tym, czym jest ta żywa relacja i jak dopilnować, by rozkwitała.

Podstawą tego wszystkiego była zaś akceptacja faktu, który oboje otwarcie uznali: że razem osiągnęli, mogli osiągnąć i najprawdopodobniej zawsze osiągną więcej niż każde z nich z osobna. Razem tworzyli coś większego – byli potężniejsi, skuteczniejsi, mocniejsi.

Bliżsi stania się ludźmi, jakimi chcieli być.

Bliżsi ułożenia sobie życia, jakiego pragnęli dla siebie i swoich dzieci.

O tym również rozmawiali i zdołali nawet ustalić kilka szczegółów. Żadne z nich nie chciało wychowywać potomstwa w Londynie; uzgodnili, że znajdą jakiś dworek niedaleko Southampton, ponieważ stamtąd wypływał przeważnie „Kormoran”. Mówili też o nadziejach starszego Frobishera, że Declan obejmie zarząd firmowego biura w Londynie i będzie nadzorować kontakty z rządem. Zgodzili się zatem, że potrzebna im także baza w stolicy, i postanowili skorzystać z możliwości wykupu domu na Stanhope Street, który bardzo im odpowiadał.

Zaś jeśli chodzi o przyszłe podróże, uzgodnili, że decyzje w ich sprawie będą podejmować na bieżąco przed każdym rejsem. Edwina dowiedziała się, że najmłodszy brat Declana, Caleb, urodził się na morzu, toteż nie miała wątpliwości, że w razie potrzeby znajdzie wsparcie w teściowej. Tak czy inaczej, Declan zgodził się, że zasadniczo nie ma powodu, by nie mogła towarzyszyć mu w wyprawach –



a wręcz, jak udowodnili we Freetown, istniały mocne przesłanki, by w miarę możliwości to robiła.

Obejrzała się, wyczuwając obecność męża.

Popatrzył na miasto, a potem podniósł wzrok i powiódł nim w dal. Po chwili opuścił głowę i spojrzał na nią. Światło w jego oczach przyprawiło ją o szybsze bicie serca.

– Gotowa? – spytał z lekkim uśmiechem.

– Tak. – Wiedziała, że nie miał na myśli zejścia na ląd.

Wciąż patrząc na Edwinę, ujął jej dłoń, podniósł do ust i musnął lekko wargami.

– Przed tą wyprawą nie potrafiłbym sobie wyobrazić, że kiedykolwiek powiem te słowa, ale dziękuję, że zależało ci na tyle... na mnie, na nas... by zakraść się na statek.

Uśmiechnęła się promiennie. Musiała zamrużyć, by powstrzymać łzy, ale nie oderwała wzroku od męża i jeszcze przez chwilę wpatrywali się w siebie.

Potem w tym samym momencie spojrzeli na miasto powyżej portu.

– Dokąd najpierw? – spytała Edwina, gdy statek uderzył burtą o keję.

– Muszę zajrzeć do biura kompanii, by dać znać o naszym powrocie i kazać przygotować wypłatę dla załogi. A potem... złapiemy dylizans do Londynu.

Popatrzył na Edwinę.

– Chciałabyś poczekać w hotelu?

– Nie. Pójdę z tobą – odparła natychmiast.

Declan uśmiechnął się szeroko, uściśnął mocniej jej rękę i razem poszli w stronę trapu.

\*\*\*

Dotarli na Stanhope Street wczesnym popołudniem. Liścik wysłany do londyńskiej rezydencji Wolverstone'a, w którym wspomniano o ważnej roli, jaką odegrała Edwina, zaowocował wezwaniem na spotkanie z księciem i Melville'em w Wolverstone House na Grosvenor Square jeszcze tego samego dnia.

Dziwiąc się nieco wyznaczonemu miejscu, Declan i Edwina posłusznie stawili się w książęcej rezydencji o czwartej po południu. Kamerdyner, niewzruszony jak przystało na każdego przedstawiciela tej profesji, wpuścił ich z ukłonem i zaprowadził do dobrze wyposażonej i zbyt kownie urządzonej biblioteki.

Książę podniósł się z jednego z foteli ustawionych przed kominkiem. Podszedł, by ich powitać.

– Frobisher. Lady Edwino.

Wbił w nią spojrzenie ciemnobrązowych oczu, po czym, jakby zadowolony z tego, co widzi, nachylił się nad jej ręką.

– Bardzo się cieszę, że was widzę. Nie miałem pojęcia, że zamierza pani towarzyszyć Frobisherowi w wyprawie.

Edwina widziała Wolverstone’a kilka razy w towarzystwie; zdawała sobie sprawę z jego wysokiej pozycji, a od Declana dowiedziała się, że w trakcie wojen kierował pod innym nazwiskiem licznymi niebezpiecznymi misjami, zatem wielu wciąż postrzegało go jako osobę posiadającą nieokreśloną władzę. Niczego jednak nie wiedziała na pewno, toteż jako osoba doskonale wprawna w grze pozorów postanowiła zignorować te, która stwarzał Wolverstone. Uśmiechnęła się promiennie.

– Przecież był to nasz miodowy miesiąc, a poza tym nie widziałam powodu, by przesiadywać w domu, podczas gdy Declan miał cieszyć się przygodą.

Wolverstone zaniemówił.

Rozległ się cichy śmiech. Edwina spojrzała na damę, która podniosła się z sofy; rozpoznała w niej małżonkę Wolverstone’a, księżną Minervę.

– Wygląda na to, moja droga, że chwilowo odebrałaś memu mężowi mowę.  
– W oczach Minervy pojawił się figlarny błysk. – Rzadki to wyczyn.

Znały się już, więc księżna przywitała się serdecznie z Edwiną, po czym ruchem ręki zaprosiła ją na sofę obok siebie.

– Wyznaję, że umieram z pragnienia, by posłuchać o waszej przygodzie, ale chyba musimy poczekać na Melville’a. Powinien niedługo się zjawić. Może tymczasem napijemy się herbaty?

Popatrzyła znacząco na męża, który posłusznie podszedł do dzwonka i pociągnął za sznur. Potem spojrzał w stronę Declana.

– Zdaje mi się, że Frobisher i ja, a najprawdopodobniej Melville także, potrzebować będziemy czegoś mocniejszego.

Minerva zgodziła się z królewskim skinieniem głowy. Kiedy wydawała polecenia kamerdynerowi, Wolverstone i Declan podeszli do kredensu i wrócili z kielichami z rżniętego kryształu.

Wolverstone wskazał Declanowi jeden z dwóch foteli przed sofą, a sam na powrót usiadł w fotelu nieco dalej.

Declan upił z kielicha łyk bursztynowego płynu, po czym zapytał:

– Dlaczego tutaj?

– Biorąc pod uwagę, że w tej chwili nie możemy być pewni gubernatora Holbrooka, majora Eldridge’a ani wiceadmirała Deckera, Melville zgodził się, że wszystkie dalsze spotkania w tej sprawie powinny odbywać się poza Admiralicją – odparł spokojnie Wolverstone.

Zanim Declan zdążył to skomentować, drzwi stanęły otworem i kamerdyner zapowiedział Melville’a.

Do pokoju wszedł Pierwszy Lord. Obecność Edwiny wyraźnie go krępowała, a jeśli odczuwał pewną nieufność w stosunku do Wolverstone’a, była ona niczym

w porównaniu z jego uczuciami do żony księcia.

Gdy uklonił się damom i potrząsnął dłonie panów, Wolverstone podał mu kieliszek brandy, który Melville z wdzięcznością przyjął. Minerva wskazała mu drugi z foteli przy sofie. Kiedy wszyscy na powrót usiedli, powiedziała:

– Zacznijmy więc od początku, panie Frobisher; od momentu, kiedy pan i lady Edwina zjawiliście się we Freetown.

Declan ochoczo wykonał polecenie i wraz z Edwiną przedstawili swój szczegółowo skomponowany raport, podając kolejno odkrywane informacje. Przekazali listę ułożoną przez panią Hardwicke, a poza tym ograniczyli się do podawania faktów i z rozmysłem unikali wyciągania jakichkolwiek wniosków.

Z każdą kolejną informacją Melville wpadał w coraz większe poruszenie. Gdy tylko zamilkli, wykrzyknął:

– Żona Holbrooka? Wielkie nieba!

– A co sądzicie o samym Holbrooku? – spytał Wolverstone, przyszpilając Declana bystrym spojrzeniem ciemnych oczu.

– Na podstawie tego, co wiemy, nie da się stwierdzić, czy jest w to zamieszany – odparł młodzieniec.

Po krótkiej chwili Wolverstone przeniósł wzrok na Edwinę.

– Lady Edwino?

– Spędziłam zbyt mało czasu w jego towarzystwie, by ocenić, jaki ma charakter. Jednak, choć większość osób zwróciła uwagę, jak obojętnie odnosił się do wszelkich prób wszczęcia oficjalnego dochodzenia w sprawie zaginionych, to moim zdaniem działał głównie pod wpływem żony.

Melville zmarszczył brwi.

– To znaczy?

– No cóż, łatwo mi sobie wyobrazić, jak lady Holbrook kreśli przed nim obraz społecznych i ekonomicznych następstw oficjalnego uznania, że w kolonii masowo giną ludzie. – Edwina uniosła rękę. – Wybuchłaby panika i wszyscy ci, którzy mogliby wyjechać, zrobiliby to czym prędzej, co miałyby ogromne polityczne konsekwencje. Poza tym większość zaginionych pochodzi z niższych klas, a jak rozumiem, gubernator niezbyt o nie dba.

Zamilkła na chwilę.

– Jeśli, jak razem z mężem wierzymy – kontynuowała – lady Holbrook odgrywała kluczową rolę w wyborze osób, które miały zniknąć, to znajomość uprzedzeń męża musiała oczywiście sprawić, że częściej wybierała ofiary, których zniknięcie nie prowokowało go do działania.

– A ponieważ relacje między Holbrookiem a Eldridge'em są dość napięte – dodał Declan – to jeśli Holbrook postanowił ignorować te zniknięcia, Eldridge ma związane ręce, w końcu większość zaginionych to cywile. – Po czym dorzucił po pauzie: – Na temat Deckera nie mogę się wypowiadać... nie było go w kolonii

podczas naszej bytności.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Wolverstone oparł brodę na złożonych razem czubkach palców, a jego twarz przybrała twardy, nieustępliwy wyraz.

– Sądzę, że podaliście nam dostatecznie dużo twardych danych, byśmy mogli wyciągnąć kilka wniosków. Po pierwsze i najważniejsze, we Freetown naprawdę dzieje się coś bardzo poważnego. Istnieje jakiś nikczemny spisek, którego nie można ignorować, bo może przerodzić się w coś o wiele gorszego, jak to miało miejsce z kultem Czarnej Kobry. – To mówiąc, rzucił ostre spojrzenie z ukosa w stronę Pierwszego Lorda. – Innymi słowy, Melville, nie masz wyboru, musisz natychmiast podjąć zdecydowane działania.

Melville skrzywił się i poruszył w fotelu, ale nie zaprzeczył.

Minerva prychnęła.

– Jeśli sprawy zaszły na tyle daleko, że uwikłana jest w to żona samego gubernatora, to mamy niezbity dowód, że cokolwiek się tam dzieje, w grę wchodzi albo władza, albo duże pieniądze, albo jedno i drugie.

Wolverstone przytaknął ruchem głowy.

– Właśnie tak.

Melville miał minę, jakby włożono mu do ust plaster cytryny, lecz i on kiwnął głową.

– Racja.

– Po drugie – mówił dalej Wolverstone – o spisku tym wiemy jak dotąd tyle, że w ciągu ostatnich czterech miesięcy z kolonii zniknęła nieznana liczba mężczyzn w sile wieku, w tym Dixon, Hopkins, Fanshawe i Hillsythe, a do tego co najmniej cztery młode kobiety i siedemnaścioro dzieci, przy czym wszystkie znane nam ofiary mają brytyjskie obywatelstwo. Zniknięcia te nie są przypadkowe. Przeciwnie, sprawiają wrażenie, jakby porwani zwrócili na siebie uwagę przestępców, choć nie wiemy jeszcze, jaka była tego przyczyna lub przyczyny; w każdym razie wydaje się, że ofiary zostały starannie wyselekcjonowane, nie zaś wybrane arbitralnie lub porwane li tylko z powodu sprzyjających okoliczności. Pod tym względem duże znaczenie może mieć przypadek kapitana Dixona, jednego z najwcześniejszych zaginionych, być może nawet pierwszego. To wykwalifikowany saper, ma dużą wiedzę na temat drążenia tuneli i materiałów wybuchowych. Te umiejętności miałyby dużą wartość dla kogoś, kto chciałby zbudować kopalnię. Trudniej natomiast zrozumieć, do czego w takim przypadku potrzebne by były kobiety i dzieci. Bez dalszych informacji nie jesteśmy w stanie wydedukować motywów porywaczy.

Wolverstone przerwał na chwilę, po czym ciągnął:

– W świetle pani rozmowy z lady Holbrook i jej dalszych działań możemy uznać, że jest ona w jakimś stopniu zamieszana w tę sprawę, być może nawet dokonuje selekcji ofiar. Jest też w kontakcie z tymi, którzy aranżują uprowadzenia.

Ponadto z jakiegoś powodu niezbędnym czynnikiem jest udział ofiar w nabożeństwach Obo Undoto. Co to dokładnie za powód, nie wiemy. Lecz kapłanka Lashoria, której zeznania okazały się prawdziwe przynajmniej pod jednym względem, a mianowicie uczestnictwa wszystkich zaginionych w modlitwach w kościele Undoto, obciążyła odpowiedzialnością jego samego. W tej chwili powinniśmy więc uważać go za jednego z winnych. Być może lady Holbrook działa z nim w porozumieniu. Istnieje także podejrzenie, że Undoto współpracuje z handlarzami niewolników, choć nie mamy jeszcze dowodu, że są oni bezpośrednio zamieszani w porwania zaginionych osób.

Wolverstone opuścił ręce i rozejrzał się po słuchaczach, lecz nie było już nic, co można by dodać do jego szczegółowego podsumowania.

– Doskonale. W takim razie idźmy dalej – powiedział książę, po czym zwrócił się do Declana: – Komu w kolonii można twoim zdaniem zaufać? Czy też, mówiąc nieco inaczej – tu Wolverstone skrzywił się – kogo możemy uznać za sprzymierzeńca?

Declan lekkim skinieniem głowy uznał słuszność ostatniej poprawki.

– Na początek kapłankę Lashorię – powiedział. – Poza tym kapitan Richards z fortu i być może inni żołnierze mogliby być skłonni do pomocy.

– Pani Hardwicke – dorzuciła Edwina. – A najprawdopodobniej także jej mąż, przynajmniej jeśli chodzi o udzielanie informacji. Jest też pani Sherbrook, choć wątpię, by wiedziała coś więcej niż to, co już mi powiedziała.

Declan potwierdził ruchem głowy i popatrzył na Wolverstone'a.

– Jest jeszcze jedna osoba, której niestety nie miałem czasu wypytać dokładniej. Charles Babington. Martwi się o jedną z zaginionych dziewcząt... nie wiem, o którą dokładnie. Będzie wiedział sporo o tym, co się dzieje w kolonii, i w razie potrzeby ma możliwość dowiedzenia się więcej. Może będzie skłonny pomóc.

– To lepiej, niż sądziłem – stwierdził Wolverstone. – Kogokolwiek pošlemy tam w dalszej kolejności, będzie miał solidny fundament na starcie.

Melville zmarszczył brwi.

– Powinniśmy natychmiast skontaktować się z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, by odwołano Holbrooka.

– Nie. – Odpowiedź Wolverstone'a była zimna jak lód i równie twarda.

Zmarszczone brwi Melville'a uniosły się ze zdziwieniem.

– Przecież jeśli każą mu wrócić, jego żona będzie musiała wrócić razem z nim, a wtedy będziemy mogli ją przesłuchać i dowiedzieć się więcej, nawet jeśli sam Holbrook nie ma pojęcia, co się dzieje pod jego nosem. Czemu mielibyśmy go tam zostawiać? – zapytał, wpatrując się w Wolverstone'a.

– Ponieważ w obecnej sytuacji – odparł książę – zupełnie nie pomoże nam to w rozwiązaniu sprawy, a przeciwnie, może spowodować nieodwracalne szkody.

Zastanów się tylko. Minęło trzynaście dni, odkąd lady Holbrook próbowała zaaranżować uprowadzenie lady Edwiny, a Frobisher zniweczył ten plan. Czy naprawdę sądzisz, że zanim jakakolwiek wiadomość zdąży dotrzeć do Freetown, lady Holbrook wciąż jeszcze tam będzie?

– Myślisz, że i ona zniknie? – spytał Melville.

– Nie. Myślę, że kiedy nasz następny agent zjawi się we Freetown, zostanie w domu gubernatora jedną z dwóch możliwych sytuacji. Jeśli Holbrook jest równie winien jak jego małżonka, to oboje do tego czasu wyjadą; zapewne wsiądą na jakiś statek do Nowego Świata pod pretekstem nagłej sytuacji rodzinnej lub czegoś podobnego, by uspić podejrzenia, przynajmniej dopóki nie zdążą bezpiecznie odpłynąć. Druga możliwość to taka, że Holbrook istotnie nie zdaje sobie z niczego sprawy, a w takim razie pozostanie w domu sam, pożegnawszy żonę, która wyruszy w podróż pod podobnym pozorem. – Wolverstone popatrzył Melville'owi w oczy. – Jednego jestem całkowicie pewien. Zanim jakakolwiek informacja zdąży dotrzeć do Freetown, lady Holbrook już tam nie będzie.

Zamilkł, by pozbierać myśli.

– A teraz zastanówmy się, co o tym wszystkim pomyślą porywacze – kontynuował po chwili. – Nieważne, czy Holbrookowie znikną razem, zmyśliwszy jakąś historię, czy też lady Holbrook ucieknie sama; gwarantuję, że nasi złoczyńcy nie będą niczego podejrzewać. Niezależnie od tego, pod jakim pretekstem wyjedzie lady Holbrook, sama czy z mężem, na pewno nie będzie to nic, co wzbudziłoby niepokój lub podejrzenia. Jeśli nawet porywacze pytali ją o lady Edwinę, to gubernatorowa dla ratowania własnej skóry na pewno zlekceważyła jej znaczenie i potencjalne konsekwencje ucieczki... a jeśli działa w porozumieniu z ludźmi pokroju Undoto, kto odważy się jej zaprzeczyć? Tak więc teraz porywacze wiedzą tylko, że ich ludzie usiłowali uprowadzić z domu gubernatora pewną damę, lecz po zbrojnej potyczce została ona uratowana przez marynarzy, z którymi opuściła Freetown. Czego oczywiście szkoda, ale nie będą w tym widzieć powodu do zaniepokojenia. Potem zaś żona gubernatora będzie musiała opuścić miasto w pilnej sprawie rodzinnej, zupełnie niezwiązanej z tą kwestią, z mężem lub bez niego.

Wolverstone popatrzył spokojnie na Melville'a.

– Ani Holbrookowie, ani porywacze, ani nikt inny we Freetown nie podejrzewa, że Frobisher zajmuje się czymś jeszcze poza dowodzeniem statkiem handlowym i z rzadka poszukiwaniem skarbów. Jeszcze mniej wiedzą o lady Edwinie; dla nich to tylko wysoko urodzona dama z towarzystwa, nic więcej. Moim zdaniem porywacze nie mają powodów przypuszczać, że stali się obiektem oficjalnego dochodzenia. A dokładnie o to nam chodzi.

Przerwał, po czym mówił dalej chłodniejszym tonem:

– W tych okolicznościach niezależnie od tego, czy Holbrook nadal przebywa

we Freetown, czy nie, rozkaz jego odwołania wywoła tylko skandal. Wieść rozniesie się po kolonii jak pożar i porywacze natychmiast się dowiedzą, że sprawą zainteresowały się władze. A co wtedy zrobią?

W ciszy, która zapadła po tych słowach, odezwała się Edwina:

– Mogą zabić porwanych ludzi... mężczyzn, kobiety i dzieci.

– Właśnie tak. – Wolverstone skinął jej głową i ponownie skupił spojrzenie stalowych oczu na Melville'u. – Bez względu na całą resztę tego jednego musimy za wszelką cenę uniknąć. Jak wykazał rzetelny rekonesans Frobishera, którego zresztą należy mu pogratulować, w tej chwili nie mamy dowodów, które wskazywałyby, że uprowadzeni zostali zabici. Nie wolno nam podejmować żadnych działań, które mogą zagrozić ich bezpieczeństwu.

Melville był wyraźnie sfrustrowany. Wolverstone przyglądał mu się przez chwilę, po czym stwierdził:

– Jako członek rządu Jego Królewskiej Mości tak samo jak reszta ponosisz odpowiedzialność za rozwiązanie sytuacji we Freetown. Jednak żadne rozwikłanie problemu nie może się wiązać z poświęceniem bezbronnych ludzi. W końcu wszyscy jesteśmy w taki czy inny sposób zobowiązani do obrony niewinnego życia. – Po czym dodał po chwili przerwy: – I nie muszę ci chyba przypominać, że po sprawie z Czarną Kobrą wszelka rzeź niewiniątek, a w tym przypadku chodzi przecież ni mniej, ni więcej o obywateli brytyjskich, nie spotka się z pobłażliwością opinii publicznej.

Wszyscy – Wolverstone, Minerva, Edwina i Declan – popatrzyli na Melville'a wyczekująco.

Pierwszy Lord niemal wił się jak na mękach; był politykiem do szpiku kości i wyraźnie kusilo go, by zadziałać pod wpływem chwili i zyskać sobie publiczny rozgłos jako osoba potrafiąca podjąć zdecydowane działania. W końcu jednak skrzywił się i oświadczył, choć dość naburmuszonym tonem:

– No dobrze. Skoro zatem nie możemy odwołać Holbrooka, co proponujesz?

Declan przesunął spojrzenie na Wolverstone'a.

Jego były dowódca nie sprawił mu zawodu.

– Proponuję – powiedział książę – byśmy natychmiast wysłali do Freetown kolejnego agenta z poleceniami podobnymi do tych, jakie wydaliśmy Frobisherowi. Zacznie on jednak swoje dochodzenie, będąc o krok bliżej do poznania prawdy o uprowadzeniach. Naszym ostatecznym celem jest uratowanie porwanych i zniweczenie planu porywaczy, na czymkolwiek on polega, lecz w pierwszej kolejności musimy się dowiedzieć, przy zachowaniu wszelkiej możliwej dyskrecji, w jaki sposób porwano ofiary lub kto tego dokonał. Domyślam się, że jeśli odpowiemy na te pytania, dowiemy się także, dokąd i w jakim celu zabrano uprowadzonych. – Skończywszy mówić, spojrział pytająco na Declana.

– I ja doradzałbym taki kierunek działań – przytaknął Declan.

– Wyśmienicie.

Minęło kilka sekund, po czym Wolverstone wstał z fotela.

Pozostali także się podnieśli.

Wolverstone podał Declanowi rękę.

– Dziękuję – powiedział. A kiedy Declan ujął ją i potrząsnął, dodał: – Wypełniłeś swoją misję. Twój wkład w tę sprawę jest dla nas, jak zwykle zresztą, niezwykle cenny. – Puszczając rękę Declana, książę zwrócił się z uśmiechem do Edwiny: – Podobnie jak bardzo znaczący wkład lady Edwiny.

Edwina odwzajemniła jego uśmiech, dygnęła, po czym pożegnała się z Minervą i Melville'em i ujęła podane przez Declana ramię. Wolverstone odprowadził ich do drzwi.

Kiedy sięgał po klamkę, Edwina spytała:

– A zatem na pewno wyślecie kogoś, kto przejmie po nas sprawę?

Wolverstone popatrzył na nią i uśmiechnął się z takim przekonaniem, jakiego tylko mogła sobie życzyć.

– Najszybciej, jak to będzie możliwe. Gdy tylko wyszukam jakąś dostatecznie wykwalifikowaną i zręczną osobę.

– Kiedy już pan ją znajdzie – wtrącił Declan – chętnie udzielimy jej bardziej szczegółowych informacji o kolonii i grożących w niej niebezpieczeństwach. – Popatrzył Wolverstone'owi w oczy. – Wszystko, byle tylko ułatwić naszemu następcy misję i, miejmy nadzieję, sukces.

Wolverstone uśmiechnął się szerzej.

– Na pewno to doceni.

Otworzył drzwi i kiwnął głową.

– Możecie być pewni, że i on, i ja jeszcze się z wami skontaktujemy.

\*\*\*

Wrócili na Stanhope Street – do domu, który wkrótce miał się stać ich własnością – gdzie zastali uszczęśliwioną ich powrotem służbę.

Humphrey chodził rozpromieniony w sposób, który zupełnie nie przystawał kamerdynerowi, a pani King i kucharka rzuciły się przygotować bankiet godny powracających bohaterów.

Edwina ani Declan nie wyjawili co prawda jakichkolwiek szczegółów tego, gdzie byli, a tym bardziej co robili, jednak satysfakcja, jaką czerpali ze swych osiągnięć i z siebie nawzajem, była najwyraźniej na tyle widoczna, że zaraziła całe domostwo. Wszyscy chodzili sprężystym krokiem z uśmiechami na twarzach. Nawet Wilmot, która na widok wchodzącej do domu Edwiny poczuła taką ulgę, że zalała się łzami, szybko doszła do siebie tak dalece, że nuciła, szcztokując i porządkując ubrania swej pani.

Korzystając z tego, że w jej domu panuje radość i wre praca, Edwina



zafundowała sobie długą kąpiel w wodzie z dodatkiem ulubionego olejku zapachowego. Odchylając głowę na krawędź wanny, przymknęła oczy i pozwoliła, by zalały ją wspomnienia wszystkiego, co widzieli, przeżyli i czego się nauczyli.

Nie ulegało wątpliwości, że ani Declan, ani ona nie byli już tymi samymi ludźmi, co przed opuszczeniem Londynu.

Dojrżeli i zrosli się razem, jak para splecionych drzew.

Satysfakcja, zadowolenie i cicha radość uniosły się i osnuły wokół Edwiny jak para. Leżała z zamkniętymi oczami, pozwalając, by wszystkie przeżycia zapadły jej w serce i w duszę.

\*\*\*

Na dole w ich małej bibliotece Declan przeglądał zaległą korespondencję; po raz pierwszy w życiu cieszył się z powrotu do domu. Z tego, że będzie miał czas razem z Edwiną bawić się życiem towarzyskim, nim oboje znowu wyruszą na morze. To „oboje” nie budziło w nim już żadnych obaw ani wątpliwości. Edwina dowiodła, że ma duszę żądną przygód, stanowiła dla niego idealną towarzyszkę. Była zdecydowana zająć miejsce nie tylko w jego sercu, ale też u jego boku, i w którymś momencie ich podróży do domu Declan się z tym pogodził.

Nie było ich zaledwie przez cztery tygodnie, zatem w stercie korespondencji nie znalazł żadnych zaskakujących wieści; tylko zwykłe rachunki, dwa banalne listy od znajomych i notkę od swego brata Roberta, wysłaną z Nowego Jorku. Robert zapowiadał w niej, że skoro płynie do Londynu, by wysadzić tam na ląd ambasadora, którego polecono mu przewieźć, skorzysta z okazji i odwiedzi Declana i Edwinę na Stanhope Street.

Declan uśmiechnął się na myśl o tym i zapisał sobie w pamięci, by powiadomić żonę. Sądząc po dacie liściku, mogli się spodziewać wizyty już niedługo.

Ponownie przerzucił listy, po czym odłożył je na bok. Jak zwykle jego zmysły nie zdążyły się jeszcze przyzwyczaić do tego, że podłoga nie unosi się i nie kołysze.

Drzwi się otworzyły i do środka wsunęła się Edwina, odziana w chabrowy jedwab, z lokami upiętymi z tyłu, z przodu zaś spływającymi w wypracowanym nieładzie wokół delikatnej twarzyczki. Declan zamarł na ten widok, po czym serce zaczęło mu bić szybciej.

Wstał i odłożył nożyk do papieru, przyłapując się na tym, że uśmiecha się jak głupi. Podeszedł do żony i ujął ją za rękę.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Dobry wieczór, drogi mężu. Bardzo jesteś zajęty?

Otworzył usta, by zaprzeczyć, gdy nagle zabrzączał dzwonek.

Oboje spojrzeli w kierunku drzwi.

Declan popatrzył na Edwinę pytająco.

– Myślałem, że jemy dziś kolację we dwoje.

– Ja także... – Nagle na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. – Och, nie. Wysłałam wiadomość matce, bratu i siostrze.

Declan westchnął w myślach, skradł szybkiego całusa z różanych ust Edwiny, po czym ujął ją pod rękę i poprowadził do holu na spotkanie hordy najeźdźców.

Nie było nadziei, że odeprą atak. Nie tylko Lucasta i jej dama do towarzystwa, Anthea, ale też Millicent i Catervale, Cassie i Elsbury zsuwali z siebie płaszcze i składali w holu kapelusze i laseczki. Do tej licznej gromady dołączył też właśnie lord Julian Delbraith wraz z żoną Mirandą, co wyraźnie dowodziło, że mimo zapewnień Edwiny, iż mają się o nią nie martwić, cała rodzina jak najbardziej się martwiła.

Od pierwszej chwili zapanował całkowity chaos – wszyscy pytali i odpowiadali naraz, tworząc istną wesołą wieżę Babel. Wymieniano uściski i całusy, potrząsano dłońmi i klepano się po plecach do wtóru licznych okrzyków i napomnień, aż w końcu Declan i Edwina wspólnymi siłami zdołali zagonić wszystkich do salonu.

Ich dom nie był duży, ale nikomu nie przeszkadzała ciasnota. Przeciwnie, było im bardzo przytulnie. Trwał sam środek sezonu i goście byli wyjściowo ubrani; na pewno mieli plany na później, lecz kiedy Edwina wymknęła się na chwilę – zapewne by naradzić się z kucharką – po czym wróciła i zaprosiła ich na kolację, wszyscy ochocho się zgodzili.

Kiedy padła już pierwsza seria pytań – Czy są cali i zdrowi? Dokąd wyjechali? – i gospodarze udzielili odpowiedzi, towarzystwo rozsiadło się wygodnie, a Declan i Edwina rozpoczęli opowieść, zaprzysięgłszy najpierw słuchaczy do zachowania tajemnicy.

W przeciwieństwie do raportu złożonego w Wolverstone House zaczęli od tego, jaki był prawdziwy początek wspólnej wyprawy. Oczywiście wszystkie panie zgodziły się z Edwiną, że musiała towarzyszyć mężowi w misji, i gratulowały jej zaradności, z jaką zaplanowała przedostanie się na statek. Z kolei szwagrowie byli tym wstrząśnięci i stanęli po stronie Declana z takim przekonaniem, jakiego tylko mógłby sobie życzyć – lecz, podobnie jak on, z rezygnacją zaakceptowali nieunikniony rezultat.

– I tak – powiedziała Edwina – wpłynęliśmy w końcu do portu Freetown.

Tu przerwała, gdyż wszedł Humphrey, by oznajmić, że podano do stołu.

Wszyscy podnieśli się i przeszli do jadalni, gdzie na prośbę gości Edwina natychmiast podjęła opowieść. Za obopólną zgodą, wyrażoną w kilku spojrzeniach rzuconych sobie poprzez stół, małżonkowie pominęli kilka co bardziej osobistych szczegółów, w tym fakt, że spodziewają się dziecka. Całą resztę przedstawili

zgodnie z tym, jak było naprawdę.

Opowieść, niespieszna i często przerywana prośbami o bardziej szczegółowy opis lub wytłumaczenie, zajęła im czas pięciodaniowego posiłku, po którym wszyscy wrócili do salonu. Nikt nawet nie proponował rozdzielenia towarzystwa, by panowie mogli napić się whisky i brandy – nie w tym rodzinnym gronie. Mężczyźni nie mieli zresztą najmniejszego zamiaru narażać się na to, że ominą ich jakieś ważne szczegóły.

– Więc tych nieszczęśliwców uprowadzono, a mimo to nikt nie zarządził żadnych poszukiwań? – Ton Lucasty zawierał w sobie taką dezaprobatę, jaką potrafią wyrazić wyłącznie księżne wdowy.

– Zgadza się. – Declan powiódł wzrokiem po obecnych. – To właśnie było zło, które wyruszyliśmy naprawić. Położyliśmy fundamenty pod dalsze działania, potwierdzając konieczność dochodzenia na pełną skalę, choć prowadzonego w sekrecie. Ktokolwiek zostanie wysłany tam po nas, rozpocznie prawdziwe poszukiwania, będzie jednak musiał zachować ostrożność. Ostatnie, czego chcemy, to żeby porywacze uśmiercili więźniów, by zatrzeć za sobą ślady.

Wszyscy popatrzyli po sobie i z pośępnym zrozumieniem pokiwali głowami.

Melville pewnie dostałby apopleksji, wiedząc, że rozmawiają o sprawie tak otwarcie, lecz Declan nie robił sobie najmniejszych wyrzutów, że wyjawia takie szczegóły; znajdował się wśród osób, które potrafiły dotrzymać tajemnicy.

Znajdował się w gronie rodziny.

Gdy wreszcie słuchacze upewnili się, że nie pominięto żadnego szczegółu, rozmowa przeniosła się na wydarzenia towarzyskie, które ominęły młodych małżonków podczas ich nieobecności. Declan rozejrzał się znowu po otaczających go twarzach – rozluźnionych, ożywionych, zainteresowanych wspólnymi sprawami, pełnych troski – i zdał sobie sprawę, że to właśnie jedna z największych zalet zwyczajnego życia. Rodzina. Dom. Żona, którą można nazywać swoją.

Co więcej, żona, która pragnie i jest zdecydowana towarzyszyć mężowi w jego przygodach.

I pierwsze dziecko w drodze.

Nie mógłby prosić o nic więcej; niczego więcej też nie pragnął.

Wreszcie goście przypomnieli sobie o towarzyskich zobowiązaniach i zaczęli się żegnać. Uściskom i pocałunkom nie było końca. Panie uzgodniły, że spotkają się rano na herbatę w Catervale House. Panowie podali sobie dłonie i umówili się na popołudnie przy Dolphin Square, by w bardziej sprzyjających okolicznościach omówić kilka pomysłów inwestycyjnych, na jakie wpadł Julian.

Wreszcie, kiedy już pomachano gościom na pożegnanie, a Humphrey zamknął drzwi, Edwina westchnęła głęboko, wyraźnie zadowolona. Odpowiadając na spojrzenie Declana, uśmiechnęła się z lekkim zmęczeniem.

– Kocham ich wszystkich, ale cieszę się, że już poszli.

– To był bardzo długi dzień – przyznał Declan i wyciągnął rękę do żony. – Wstałaś jeszcze przed świtem.

– Faktycznie. – Wsunęła palce w jego dłoń. – Ale cieszę się, że nie przegapiłam wschodu słońca nad cieśniną.

Declan pokierował ją w stronę schodów.

Razem zaczęli się wspinać na górę.

– Oczywiście – dodała Edwina, rzucając mu spojrzenie z ukosa – spodziewam się jeszcze nieraz go oglądać...

Declan uśmiechnął się do niej.

– ...ale pierwszy raz zasługuje w moich wspomnieniach na szczególne miejsce – zakończyła, wysuwając prowokująco podbródek.

Declan sięgnął po klamkę do drzwi ich sypialni, otworzył je szeroko i popatrzył Edwinie w oczy.

– Niewątpliwie – zgodził się.

Jej uśmiech był wspaniały, rozświetlał jej oczy i rozjaśniał oblicze.

Tak jak rozświetlał i rozjaśniał jego życie.

Była jego kompasem, który zawsze prowadzi go będzie do bezpiecznej przystani.

Z nią u swego boku nigdy nie zgubi drogi.

To ona okazała się jego najbardziej porywającą przygodą.

Weszła tyłem do pokoju, nie puszczając jego dłoni i wciągając go za sobą. Zatrzasnął nieuważnie drzwi i pozwolił jej się prowadzić.

Prosto do ich łóża.

Do ich własnego, prywatnego nieba.

Zdjęli ubrania, rzucając je, gdzie popadnie.

Przypadli do siebie i nic ich nie dzieliło – ani fizycznie, ani emocjonalnie.

Ich kochanie zmieniło się w ciągu ostatnich kilku dni. Nadal była w nim namiętność, wciąż tak samo płomienna, jednak pośpiech wygasł, pozwalając im smakować i cieszyć się każdym westchnieniem, każdym pocałunkiem. Każdą intensywną, domagającą się odpowiedzi pieśczętą.

To, że nosiła w sobie jego dziecko – że tak naprawdę było ich już troje, a nie dwoje – było dla niego czymś niezwykłym. Ledwo zauważalne zaokrąglenie jej brzucha napełniało go absolutnym zachwytem.

Co do niej samej... nie potrafił zrozumieć, jak mogła tak dojrzeć w ciągu czterech tygodni, a jednak każdą jej czynność cechowała teraz pewność – pewność co do niego, co do siebie samej, co do nich razem. Emanował nią każdy jej ruch, każde spojrzenie, każde śmiałe słowo. Tu zaś, w ich łóżu, ta świeża pewność siebie łączyła się z jego doświadczeniem, zwiększając ich rozkosz, wynosząc ją oraz więź, która z niej płynęła, na wcześniej nieosiągalne wyżyny.

W miejsce, gdzie ich dusze stykały się i kształtowały na nowo.

Jako jedność.

To właśnie było szczęście.

Małżeństwo zbudowane na mocnej skale i z oddaniem pielęgnowane.

Kiedy poślubił Edwinę, nie miał właściwie pojęcia, co może oznaczać związek z nią. Czego może potrzebować, czego może od niego wymagać. Miał co prawda jakieś wyobrażenia, ale bardzo szybko się ich wyzbył, kiedy zaczął się uczyć prawdy o Edwinie i o tym, jaką naprawdę jest kobietą.

Teraz zaś... wiedział doskonale, że wielu z jego rówieśników nie czułoby się dobrze w małżeństwie, jakie zbudowali, jednak dla niego i to małżeństwo, i ona sama, były doskonale. Zaspokajały wszystkie jego potrzeby, łącznie z tymi, z których istnienia nie zdawał sobie wcześniej sprawy.

Pragnął tego związku – ich związku – równie mocno jak ona.

Jeśli cokolwiek mu zagrozi, Edwina będzie o niego walczyć, a on wraz z nią.

Razem. Ramię przy ramieniu. To właśnie było im pisane.

Obejmując ją, kiedy jak zwykle położyła mu głowę na piersi, wbił spojrzenie w sufit, nie mając pojęcia, w którą stronę powędrują jego myśli. Te jednak wydawały się dziwnie uporczywe. Declan rozluźnił się całkowicie i pozwolił im swobodnie płynąć.

Mieli wszystko... wszystko, czego mogłaby pragnąć jakakolwiek para przy zdrowych zmysłach.

Ich przyszłość jawiła mu się świetlana, czekając tylko, aż wyciągną po nią rękę.

Wszystko było dobrze, a jednak nadal dręczyło go uparte wrażenie, że... że pozostało coś jeszcze do zrobienia.

Jakiś cel wciąż nie został osiągnięty.

Stopniowo źródło niepokoju zaczęło wyraźniej rysować się w jego głowie.

Zawahał się, po czym skierował uwagę na Edwinę – i zdał sobie sprawę, że ona również jeszcze nie śpi.

Nie był pewien, jak poruszyć ten temat; może Edwina będzie miała inną opinię. Po kilku chwilach niezdecydowania powiedział cicho:

– Będziemy musieli zacząć szukać sobie domu na wsi.

– Nie, póki ta sprawa nie zostanie rozwiązana.

Dzięki Bogu.

– Oczywiście. – Teraz, kiedy wiedział już, że są tego samego zdania, mógł sobie pozwolić na dalszą refleksję. – Nadal nie potrafię sobie wyobrazić, co u licha może się kryć za tymi...

– Tymi dziwnymi uprowadzeniami... – Edwina przerwała, a potem szepnęła:

– Cokolwiek to jest, żadne z nas nie będzie mogło o tym zapomnieć, póki sprawa się nie zakończy.

– To prawda. – Zastanowił się i dodał: – Wolverstone przyprowadzi do nas

swojego następnego agenta, tego możemy chyba być pewni. Przekonajmy się, kto to taki, i zobaczymy, co dalej. Zakładając, że Wolverstone wyda mu takie samo polecenie; że każe mu wrócić natychmiast, gdy tylko się czegoś dowie, zamiast pójść za tropem... – zmrużył oczy i wbił niewidzące spojrzenie w sufit, podążając za tokiem myśli do logicznego wniosku – ...to ktokolwiek to jest, skupi się pewnie na obserwacji Undoto.

Edwina kiwnęła głową, muskając jedwabistymi włosami skórę Declana.

– Będziemy musieli przekonać tego nowego agenta, żeby po powrocie podzielił się z nami informacjami.

– To może być dość trudne, w zależności od tego, kogo wyślą, ale we dwójkę jakoś damy radę.

Po chwili Edwina uniosła się na łokciu, by popatrzeć mężowi w twarz.

– Miałeś nie wypływać nigdzie aż do lipca. Ktokolwiek popłynie do Freetown, wróci stamtąd o wiele wcześniej. – Przechyliła głowę. – Czy „Kormoran” może pozostać tymczasem w Southampton na wypadek gdybyśmy znowu go potrzebowali?

Declan uśmiechnął się szeroko.

– Teraz, kiedy wyrwałem go w końcu ze szponów Royda, nie mam ochoty mu go zwracać. Jutro pójdę do biura i wydam polecenie, że statek ma pozostać w Southampton. – Odwzajemnił spojrzenie Edwiny. – Poślę też wiadomość do Caldwell'a i Henry'ego, żeby dopilnowali, by zawsze był gotowy do ponownego rejsu do Afryki z dwunastogodzinnym wyprzedzeniem.

Edwina wyciągnęła się i musnęła ustami wargi Declana.

– Dziękuję. Może to tylko to moje *noblesse oblige*, ale czuję, że mamy niedokończone sprawy we Freetown. Wykonaliśmy to, po co cię tam posłano, ale to jeszcze nie wszystko, co możemy i powinniśmy zrobić. – Po czym szepnęła z posępnym wyrazem twarzy: – By pomóc tym, którzy w tych okolicznościach nie mogą pomóc sobie sami.

– Będziemy w gotowości, by odpowiedzieć na każde wezwanie i zrobić, co w naszej mocy, żeby te zagubione dusze wróciły do domu – obiecał Declan.

Po kilku sekundach wpatrywania się w jego twarz Edwina zmrużyła oczy.

– I nie zamierzasz się kłócić, że teraz, kiedy jestem w ciąży, muszę pozostać w Londynie?

Popatrzył na nią i pomyślał o wszystkim, czego się nauczył w ciągu ostatnich tygodni, od momentu, kiedy znalazł ją w kufrze w swojej kabinie jako pasażerkę na gapę.

– Nie. – Zawahał się, po czym wyraził to, co wypełniało jego serce: nadzieję, radość i miłość. – Twoje miejsce jest u mego boku. Znajdziemy jakiś sposób.

Był przecież poszukiwaczem przygód, podobnie jak Edwina.

Ich związek był zaś największą przygodą ze wszystkich – przygodą, która

trwać będzie do końca ich życia.

